

FRANCISZEK JAWORSKI



LWÓW ZA JAGIEŁŁY

OPOWIADANIA HISTORYCZNE

Z 10 RYCINAMI W TEKŚCIE



WE LWOWIE 1910 ❀ ❀ NAKŁADEM TOWARZYSTWA
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA ❀ ❀ ❀ ❀ ❀



CZCIONKAMI DRUKARNI
LUDOWEJ WE LWOWIE



BG-275755

W PIĘĆSETNĄ ROCZNICĘ
GRUNWALDU

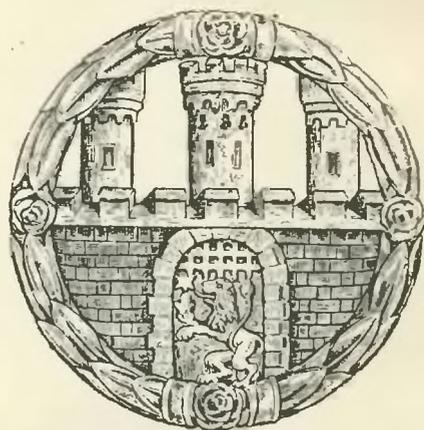
1410—1910

TOWARZYSTWO
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA



LWÓW ZA JAGIEŁŁY

BIBLIOTEKA LWOWSKA



✚ WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA ✚
MIĘOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA

XI. i XII.

LWÓW ZA JAGIEŁŁY

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ✚ ✚ ✚ ✚
GUBRYNOWICZA I SYNA WE LWOWIE ✚ ✚

Niniejsze opowiadania historyczne, których głównym zadaniem jest uprzytomnić dzisiejszemu czytelnikowi, przynajmniej w przybliżeniu, jakim był Lwów za czasów Władysława Jagiełły i w dniach wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem, oparte są prawie wyłącznie na materiałach, zawartych w pierwszych trzech tomach „Pomników dziejowych Lwowa“ wydanych przez dra A. Czołowskiego, a obejmujących okres czasu od r. 1382 do 1426, a dalej na aktach i dokumentach Archiwum miejskiego, w znacznej części drukowanych w wydawnictwie Aktów grodzkich i ziemskich (tomy III—X.), oraz na mało znanym materiale, który zawiera kodeks c. k. Uniwersytetu w Pradze, sygnowany A. VI. 7., a opisany szczegółowo w wydawnictwie Antoniego Prochaski p. t. Codex epistolaris Vitoldi.

Material ten, łącznie z bardzo szczupłą literaturą tego okresu, odnoszącą się bezpośrednio lub pośrednio do dziejów naszego miasta, a cytowaną przez autora w odnośnych miejscach, pozwolił na ujęcie główniejszych objawów życia mieszkańców Lwowa z czasów Władysława Jagiełły i na próbę odtworzenia ówczesnych stosunków, czasami z fragmentów tylko i pozornie nie mówiących drobiazgów życiowych, których mnóstwo śladów zawierają zwłaszcza rachunkowe księgi miejskie.

O ile obraz ten jest niezupełny, niejasny, o ile szczegóły nie są odpowiednio zgrupowane i nie tworzą jednolitej całości, to wina nie tylko fragmentarycznego materiału, ale może także i autora, któremu z pominięciem ram ogólnych

nych, chodziło raczej o to, ażeby przypomnieć mieszkańcom Lwowa dzisiejszego, w rocznicę grunwaldzką, że przed laty pięciuset, w czasach gdy się rozgrywała wielka wojna i wielka bitwa na polach Grunwaldu, miasto nasze kwitło pełnią życia i rozwoju, a w wypadkach współczesnych, wiekopomnych, żywy i ofiarny brało udział.

Autor.

I.

NA TLE DZIEJOWEM.

CIEŻARY PODWÓJNEGO BERŁA. MIĘDZY POLSKĄ A WĘGRAMI. KRÓLOWA JADWIGA. DZIEDZICTWO JAGIEŁŁY. ŻŁOTY WIEK HANDLU. ROZWÓJ ŻYCIA MIEJSKIEGO. KRÓLEWSKI GOŚĆ. GRA O POSIADANIE LWOWA. TRZECIA STOLICA POLSKI.

Krainie wiecznych wojen i wszechniszczącego najazdu tatarskiego niósł koniec czternastego i początek piętnastego wieku długo upragnioną palmę pokoju. A czas już był wielki, by scichły namiętności, rozgorzałe skutkiem gwałtownej śmierci ostatniego księcia halicko-włodzimierskiego, czas by ukoła się walka, wywołana strasznym czynem ruskich bojarów, co w czarze trucizny podanej Jerzemu II. utopił niezależność Rusi, a ziemię całą wydał na łup ościennej polityki dynastycznej, opartej na prawie dziedziczenia, na tytule dawnego panowania, lub na pokrewieństwie kultury. Od chwili bowiem pierwszego wkroczenia wojsk Kazimierza Wielkiego do Lwowa w r. 1340 znalazła się Ruś cała jakby na wadze dziejowej, której szala raz wraz przechylała się to na stronę Polski, to Litwy, lub wreszcie Węgier. Po śmierci zaś Kazimierza poczuły grody ruskie cały ciężar podwójnego berła polsko-węgierskiego, złączonego w rękę króla Ludwika, a wśród mnogiego ucisku i zastępczych rządów psuło się wszechstronnie dzieło ostatniego Piasta. Stosunki kościelne doszły do największego nieładu i rozprzężenia, bezpieczeństwo publiczne nie istniało, miejsce władzy państwowej zajęła samowola wielkorządców węgierskich.

Jedynie tylko w obrębie murów miasta Lwowa istniał jaki taki ład i porządek. Zamknięty sam w sobie i własnym

życiem żyjący, dawał odrodzony gród Lwa mieszkańcom swoim i osobiste bezpieczeństwo i prędkie wymiar sprawiedliwości według Zwierciadła saskiego i magdeburskich ortyłów, rząd sprężysty i tyle wygody, ile jej tylko dać mogły średniowieczne miasta.

Ale chociaż spokojnie usypiał lwowski mieszczanin w cieniu warowni swoich, to jednak troską napęłniać go musiał taki niepewny stan stosunków państwowych, tem większą, że godził dotkliwie w kieszeń jego i groził ekonomiczną ruiną. Bo miastem handlowem był Lwów przede wszystkim; handel i nadzieja zysku pędziły tu reprezentantów różnych ras, narodowości i wyznań — stosunki też i konjunktury handlowe decydowały o egzystencji i stanowiły zarazem niezbędny warunek jego rozwoju. A takim głównym ogniskiem handlu między Zachodem a tajemniczymi krainami Wschodu stał się Lwów dopiero od czasów Kazimierza Wielkiego. O starożytnym Włodzimierzu wspominali już powoli kupcy od Krakowa i z Prus dalekich, obecnie aż dwoma szlakami ciągnący wyłącznie tylko do Lwowa. A z nimi razem szły od Torunia, albo na Sandomierz, Lubaczów, albo też na Jarosław i Przemyśl mnogie szeregi wozów, naładowanych suknem, beczkami śledzi, bursztynem, płótnem i innymi produktami krajów zachodnich.

Wyrzuciwszy swój towar na rynku i w składach lwowskich, brali znowu kupcy z Zachodu przede wszystkim воск i futra, a potem to, co karawany wschodnie, albo mieszczanie lwowscy „drogą tatarską“ przywieźli do Lwowa, a więc jedwab w różnych gatunkach i korzenie, jak pieprz, imbir, szafran i t. d.

Odzierżywszy, dzięki dobremu położeniu, energii mieszczan i polityce Kazimierza Wielkiego, prym nad Włodzimierzem, znalazł Lwów po śmierci tego króla groźnego współzawodnika w Krakowie, który pośrednictwo handlowe pragnął zmonopolizować w swoim ręku i uzyskał nawet w tym kierunku przywilej od króla Ludwika. Wprawdzie udało się Lwowianom przywilej ten zneutralizować do pewnego stopnia, ale współzawodnik groźny pozostał: potężny jako stolica, czujny, dobrze zorganizowany.

Z drugiej strony droga na Wschód pełną była przygód i groźnych niebezpieczeństw tuż prawie za bramami Lwowa.

Części Rusi, jak Podole, przechodziły z rąk do rąk, a już za Kamieńcem, dzięki zdradnej i rozbójniczej Wołoszy, droga do Kaffy, Tany, czy Białogrodu jeżyła się co chwila śmiertelną niespodzianką.

Za wielkorządztwa Władysława Opolczyka, który lat siedm włodarzył z ramienia króla Ludwika Rusią Czerwoną, był przynajmniej jakiś pan na miejscu, sprawujący rząd i sąd, przesiadujący we Lwowie, rad miastu i jego potrzebom. Ale kiedy król Ludwik, pragnąc raz na zawsze wcielić Ruś Czerwoną do Węgier, odwołał z niej w r. 1379 Opolczyka, został kraj cały wydany zupełnie na łaskę i niełaskę węgierskich starostów, lub takich ludzi jak arcybiskup halicki Bernard, który miał pasterskiego błogosławieństwa, niósł owieczkom swoim gromy klątwy kościelnej, interdaktu i jadowity splot procesów, kłębiący się po wszystkich trybunałach i sądach duchownych.

Ale początek węgierskiego panowania nad Rusią i Lwowem był równocześnie tegoż panowania zmierzchem. Po śmierci Ludwika, gdy starożytny tron Arpada krwią ociekł zamordowanego króla Karola Małego, gdy mąż królowej Maryi, Zygmunt Luksemburski, bawił poza krajem w ucieczce, a królowa matka Elżbieta śmierć poniosła z ręki Janusza bana Chorwatów — został Lwów istotnie bez pana i trudno było przewidzieć, pod jaką koroną ostoi się lewek herbowy miasta Lwowa, sam do tego wraz z całym miastem pod klątwą kościelną arcybiskupa Bernarda zostający.

Wówczas to zjawiała się nad miastem młodziutka królowa polska Jadwiga. Dobre prawo dziedzictwa było nad nią, wnuczką Kazimierza Wielkiego, córką Ludwika i świeżo co zamordowanej królowej Elżbiety, a orszak panów krakowskich ją otaczał, gdy zimą, niedługo po Nowym roku 1387, szła śnieżystą, a bezludną drogą po swoje dziedzictwo. Wśród sędziwych panów, co ich wielu jeszcze koło tronu Kazimierza Wielkiego stało mądrą radą i rozważą — szła Ona — piękna jak objawienie i piękna w smutku swoim, w spełnionej ofierze serca, w tej świeżej żałobie, która ją oblokła śmiercią matki, więzieniem siostry, całunem, co pokrył wszystkie jej serdeczne pragnienia, całą radość życiową. Jeszcze to nie była święta i cudotworna niewiasta

lat późniejszych, jeszcze w niej drgała energia, toporem drzwi — zaporę szczęścia próbująca wyważyć — jeszcze wówczas, konno prawdopodobnie, leciała na to pokojowe zdobycie Rusi — a słuchali, jej siedemnastoletniej, panowie krakowscy, jakby męża jakiego.

I na wieki stał się dla Lwowa pamiętnym ów tydzień, wyprzedzający drugą niedzielę postu r. 1387, kiedy stopa królowej Jadwigi stanęła cztery mile od Lwowa, na zamku gródeckim. Słuchy już dawno ją wyprzedziły. Przyjazd królowej wiadomy był wszystkim Lwowianom i wyczekiwany z całym spokojem, na jaki się tylko zdobyć mogło flegmatyczne usposobienie Niemców, piastujących naówczas urzędy radzieckie. Nawet nerwowy list Władysława Opolczyka, zakazujący otwarcia bram miejskich Jadwidze, z równoczesnem poleceniem szukania rady wobec nowych wypadków u króla Waclawa Czeskiego i Zygmunta Luksemburskiego, nikogo nie wyprowadził z równowagi. Magistrat złożył go z pietyzmem „do aktów“, a sam zabrał się do systematycznego tępienia hazardu w mieście. I właśnie wówczas, kiedy królowa Jadwiga była prawie u bram Lwowa, obywatelstwo lwowskie uchwalało srogi wilkierz na wszelakiego rodzaju kosterów i tych, którzy utrzymywali spekulunki i nory hazardowe.

Tymczasem Jadwiga razem z całym swoim orszakiem była już w Gródku. Rajcy lwowscy, otrzymawszy tak od niej jak i od panów krakowskich list żelazny z gwarancją bezpieczeństwa osób swoich, ruszyli strojno i zbrojno na ratuszowym rydwanie do Gródka, gdzie dokonał się wiekopomny fakt ostatecznego przyłączenia Lwowa do korony polskiej. Za kilka dni odbył się uroczysty wjazd Jadwigi do stolicy Rusi, a pierwszym czynem rezydującej na Niskim Zamku wnuczki Kazimierza Wielkiego było zatwierdzenie wszystkich przywilejów, jakie Lwów posiadał za ostatniego Piasta i Ludwika Węgierskiego.

W jesieni tegoż samego roku stanął we Lwowie po raz pierwszy Władysław Jagiełło, a trzymiesięczny pobyt jego w naszym mieście obfitował w zdarzenia wielkiej wagi i doniosłości. Zaraz we wrześniu odbyła się na rynku niezwykła ceremonia hołdu, który królowi składał Piotr, gospodar wołoski: w obecności Jadwigi, panów koronnych

całował „drzewo żywota“, które mu podał metropolita Cypryan, wygnaniec z Kijowa, a za Piotrem pięciu bojarów przysięgało, że siebie i lud, ziemię i grody oddają koronie polskiej po wieczne czasy¹⁾.

Na Niskim Zamku znowu Dymitr, wielki ksiązę moskiewski, zawierał za pośrednictwem syna swego Wasyla przymierze z Polską. Otrzymywali panowie krakowscy wielkie obszary ziemi, podstawy późniejszych fortun magnackich, a dla Lwowa było ponowne zatwierdzenie wszystkich poprzednich i nadzieja nowych przywilejów, nadzieja tak wielka i pewna, że gdy niebawem rozeszła się wieść, jakoby kraj miał być oddany, czy podzielony między członków rodziny królewskiej, jeździli mieszczanie aż do Lublina i uzyskali tam w r. 1388 dokument na pergaminie z przyrzeczeniem, że Lwów i ziemia lwowska na wieki zostanie przy koronie polskiej cała i niepodzielona²⁾.

Tak tedy Lwów oswoił się bardzo prędko z nowymi stosunkami, a i Władysław Jagiełło był tutaj i na Rusi jakoś bardziej u siebie niż nawet na zamku krakowskim. Czuł się swobodniejszym, panem i władcą nieograniczonym tem bardziej, że Ruś nie od razu stała się integralną częścią Korony, że mu przysłała jako wiano królowej Jadwigi, dziedzictwo, które kawałkami mógł dzielić, darrowywać, zyskując tem dla siebie potężne już naonczas rody polskie. Nieprzejrzane bory tutejsze dostarczały mu rozrywki, którą namiętnie lubił, to jest polowania, ruscy gęślarze miłej uchu muzyki, a kraj wyludniony dawał upust królewskiej szczodrobliwości i żarliwej wierze, z jaką świeżo nawrócony chrześcijanin uposażał w ziemię kościoły i klasztory.

Lwów zaś od dobrego i chętnego władcy zyskiwał coraz to nowe prawa i przywileje, uposażenie w ziemi, a przede wszystkim dogodne warunki handlu, tej, jak już mówiliśmy, podstawy dobrobytu mieszczaństwa. Specjalni historycy handlu polskiego³⁾ wykazali, że Lwów u prze-

¹⁾ Dr. Czołowski: Sprawy wołoskie w Polsce do r. 1412. Lwów 1891.

²⁾ A. gr. z. t. II. str. 29.

³⁾ Dr. Stanisław Kutrzeba: Handel polski ze Wschodem w wiekach średnich. Kraków 1903.

łomu czternastego i piętnastego stulecia stanął na szczycie swojej potęgi handlowej, jako znane w całej Europie emporium handlowe. Z tych czasów pochodzi oznaczenie Lwowa (*ciuitat de Leo*) na słynnej mapie katalońskiej, jako najważniejszej stacyi handlowej między Wschodem a całym Zachodem, lwowską wagą interesowali się równie dobrze kupcy w Krakowie, Wrocławiu, Toruniu, jak nawet w dalekiej Norymberdze, a tacy gospodarowie wołoscy wprost w bezpośrednie wchodzą stosunki z kupcami lwowskimi.

Otwarcie drogi handlowej na Wołoszczyznę i do wołoskich rynków, wskutek wejścia gospodarów wołoskich w stosunek zależności od Polski, jak niemniej otwarcie bezpośredniego dostępu kupcom lwowskim do miast pruskich i dzierżaw krzyżackich było główną podstawą tego rozkwitu handlowego. Już wtedy bowiem wszedł Lwów w stosunki handlowe z Zakonem krzyżackim, który z równą łatwością zmieniał habit mniszy tak na rozbójniczy pancerz, jak na kupiecką kapotę. Rachunki wielkorządcy królewieckiego, który obok wielkorządcy malborskiego był naczelnikiem organizacji handlowej Zakonu, znają Lwów bardzo dobrze i lwowskich kupców, z którymi utrzymują stosunki kredytowe. Komisanci krzyżaccy (*dyner*), prowadzący i sprzedający poszczególne partye towarów na rachunek Zakonu, są częstymi gośćmi na bruku lwowskim, a ponadto siedzi we Lwowie stały agent handlowy Zakonu (*wirt*), rodzaj konsula do wszystkich interesów. Był nim w początkach piętnastego stulecia jeden z najpoważniejszych obywateli lwowskich, wielokrotny rajca i burmistrz lwowski Aberko Smedhaus.

O ile jednak wielka wojna i bitwa grunwaldzka położyła kres stosunkom handlowym z Krzyżakami, o tyle w tym właśnie czasie handel Lwowa z Wołoszczyzną pogłębił się i oparł na trwałym fundamencie przywilejów gospodarskich. Do gospodarów wołoskich, zjeżdżających dla złożenia hołdu królowi polskiemu, zawsze umieli trafić mieszczanie lwowscy i wyjednać sankcyę a bezpieczeństwo tych dróg handlowych i stosunków, które potrzeba i zwyczaj już przedtem wyrobiły i utarły. Od r. 1407 poczyna się szereg przywilejów mołdawskich, utwierdzających handel Lwowa z Wołoszą, nierzadko pod grozą klątwy „od Chrystusa i Zbawiciela naszego i od 318 świętych i bogobojnych ojców Nicejskiego soboru“, ktoby

zaś poważył się złamać przywilej ten, „niech ma uczestnictwo z Judaszem i Aryuszem i z innymi niegodziwcami onymi, którzy rzekli do Chrystusa, Boga i Zbawiciela naszego, by krew jego spadła na nich i na dzieci ich“.

Pod taką tedy silną osłoną chodzili kupcy lwowscy bezpiecznie dwoma drogami, na Śniatyn i Kamieniec do Suczawy, skąd rozchodziły się drogi na wszystkie strony, do Białogrodu, do Bystrzycy w Siedmiogrodzie, do Braiły i Kilii u ujść Dunaju, a stąd znowu do Kaffy drogą morską, łatwiejszą znacznie i bezpieczniejszą, aniżeli dawny „szlak tatarski“. Suczawa była głównem ogniskiem handlu na konie, bydło, futra, воск, a zarazem składnicą wszystkich towarów wschodnich, których tu można było dostać bez ryzyka dalszej podróży do osad genueńskich nad Czarnem Morzem. Ale i to ryzyko nie odstraszało wcale kupców lwowskich, między którymi byli tacy, jak zmarły w r. 1376 Ormianin Tayczadin, który Kaffę uważał niejako za drugą swoją ojczyznę, a w testamencie swoim o jej kościołach pamiętał tak samo, jak o kościołach lwowskich, zapisując równo i sprawiedliwie każdemu z nich po grzywnie groszy.

W miarę coraz ściślejszego związku Wołoszczyzny z Polską, stawała się droga na Suczawę tem wygodniejszą dla kupiectwa lwowskiego, które w r. 1407 otrzymało nadto od hospodara mołdawskiego Aleksandra pozwolenie na założenie tutaj własnego domu handlowego, gdzieby mogło wygodnie zajeżdżać i składać swoje towary, tak sukno z dalekiego Zachodu sprowadzone, jak bursztyn krzyżacki, jak wreszcie przemysłowe wyroby rzemieślników lwowskich: spodnie, czapki, pasy, naczynia cynowe, żelaza do pługów, kordy, miecze i inne wyroby, idące w zamian za zamorskie korzenie i wołoskie bydło a воск.

Ten dom lwowski w Suczawie jest też jedynym śladem organizacyi handlowej lwowskich kupców. W przeciwieństwie do kupieckich związków w Niemczech, albo nawet w Krakowie, nie znajdujemy we Lwowie spółek handlowych, prowadzących interesy na wspólny rachunek. Za wszystko starczyła energia jednostek, ta energia, która stanowi kupieckiemu zapewniała szacunek i dobre imię w całym świecie handlowym, która z każdej umiała skorzystać sposobności dla zapewnienia całemu miastu potęgi

i znaczenia i zwycięsko współzawodniczyła z samą stolicą państwa, Krakowem. Zwłaszcza to, co średnie wieki uważały za kamień węgielny przywilejów handlowych, to jest prawo składu (*ius depositorii*) potrafili mieszczanie lwowscy wywalczyć dla siebie i obronić, mimo istotnie bardzo niesprzyjających warunków i mimo potęgi i wpływów, które Kraków rzucił na szalę walki. Przy końcu panowania Władysława Jagiełły Lwów wykonywał bezwzględne prawo składu wobec kupców wschodnich, to znaczy, że każdy kupiec, dążący od Wschodu, tak długo musiał się we Lwowie zatrzymać, dopóki na miejscu nie sprzedał wszystkiego przywiezionego ze sobą towaru. To samo dotyczyło się kupców pomniejszych miast i miasteczek od Zachodu do Lwowa ciągnących. Wyjątek był tylko dla kupców krakowskich, dla których droga na Wołoszczyznę stała otworem, o ile zaś szli „drogą tatarską“ do osad geneueńskich, zatrzymywać się musieli we Lwowie przez dwa tygodnie i dopiero z resztą tutaj niesprzedanego towaru iść mogli dalej¹⁾.

Ale nie tylko rozwojem handlu znaczy się w dziejach Lwowa panowanie Władysława Jagiełły. Na każdym polu życia miejskiego widać i naprawę tego, co było złem w niedalekiej przeszłości i bujny rozrost miasta pod każdym względem. Z nastaniem polskich rządów znikł przede wszystkim bez śladu ów prawdziwy bicz boży, arcybiskup Bernard, a miejsce jego zajął mąż świątobliwy, wypróbowany przyjaciel Lwowian, częsty gość ratusza lwowskiego, później w poczet błogosławionych policzony Jakób Strepa, który rozpoczął swe rządy od ulgi w opłatach dziesięcinnych. Za Władysława Jagiełły udało się ostatecznie przeniesienie stolicy arcybiskupiej z Halicza do Lwowa, skutkiem czego Lwów stał się urzędową metropolią Rusi, a pierwszy arcybiskup Jan Rzeszowski zasiadł na niej w otoczeniu kapituły, hojnie dotacją królewską uposażonej²⁾. Samo miasto porasta w dostatek, staje się panem wiosek

¹⁾ Por. Dr. Stanisław Lewicki: *Lembergs Stappelrecht. Lemberg 1909*, oraz tegoż: *Prawo składu w Polsce. Lwów 1910*.

²⁾ Por.: Dr. Wład. Abraham: *Początki arcybiskupstwa lw.* Bibl. lw. t. IV.



Władysław Jagiełło
(z sarkofagu w katedrze na Wawelu).

okolicznych, a mieszczanie bracią ziemian, przyjaciółmi co najlepszych ze szlachty.

Na ten rozwój, na ten pamiętny po wszystkie czasy pierwszy okres złotego wieku w dziejach Lwowa patrzył Władysław Jagiełło własnymi oczyma, tak jak patrzy ogrodnik na rozwój zasadzonej przez siebie rośliny. Jako coroczny gość w murach lwowskich znał osobiście co wybitniejszych mieszczan, widział dźwigające się mury kościołów i baszt miejskich, zaludniające się puste obszary. Znał go też Lwów cały bez wyjątku, podziwiał gdy w majestacie, z koroną na głowie i berłem w ręce, odbierał na rynku hołdy wołoskie i kochał króla najłaskawszego (*regem gratiosissimum*), gdy skromnie, w baranym kozuchu wybierał się na polowanie do ulubionych Dobrostan, gdzie bardzo chętnie latem prześadywał, bawiąc się polowaniem, śpiewem słowika, gęźbą ruskich gęślarzy.

Ale nie same tylko przyjemności i chęć wytchnienia wiodły Władysława Jagiełłę w strony ruskie i do Lwowa. Każdy prawie jego pobyt tutaj łączył się z mniej lub więcej ważnym zdarzeniem historycznym, czynnością państwową, nakazany był względami polityki, lub wypływał ze stanu duszy królewskiej.

Tak w r. 1399, zaraz po śmierci królowej Jadwigi, znajdujemy króla we Lwowie. Szukał ukojenia w bojach po swojej ciężkiej stracie i w towarzystwie świątobliwego Jakóba Strepy, fundując u Dominikanów lwowskich wieczystą fundację mszalną za duszę przedwcześnie zgasłej małżonki.

Odbywszy w r. 1404 we Wrocławiu zjazd z Wacławem czeskim w sprawie zwrotu Śląska, ruszył znowu Jagiełło, razem z drugą swoją żoną Anną do Lwowa, dla odzyskania Podola z rąk Świdrygiełły. Był w Kamieńcu, nie zapomniał o Dobrostanach, a od mieszczan lwowskich otrzymał 4 ćwiartki piwa, 30 bochenków chleba, długi postaw sukna, królowa zaś materyę jedwabną i kamień pieprzu. Toż samo w latach następnych 1405 i 1406 wozili mieszczanie lwowscy królowi do Gródka pieprz, szafran, miód i cytryny, albo darzyli go tymi specyałami we Lwowie.

Sprawy wołoskie, hołd wojewody Aleksandra, potrzeba obwarowania Kamieńca przywiodły Jagiełłę zaraz nastę-

pnego roku również do Lwowa, razem z królową, całym dworem i kancelaryą. Dla mieszczan lwowskich był ten pobyt bardzo kosztowny, samych butów ormiańskich dziewiętnaście par rozdano między dworaków i panów, nie licząc jedwabiu, pieprzu i t. p. Wydatki jednak opłaciły się sowicie, bo w tym właśnie roku — jak już wspomnieliśmy — otrzymało miasto pierwszy przywilej handlowy od hospodara mołdawskiego.

Równocześnie rozegrał się na dworze królewskim jeden z tych dramatów, w które obfitowało życie małżeńskie Jagiełły, schmurzone intrygą dworską i łatwowierną zazdrością samego króla. Posądzenie padło na królowę Annę i Jakóba z Kobylan herbu Grzymała o coś takiego, co Długosz „miłostkami“ nazwał, a co trudno dzisiaj określić, wobec tego, że królowa wcale się pięknnością nie odznaczała, a sam Jagiełło, gdy ją pierwszy raz zobaczył, srodze się zirytował na tych, którzy go tak niefortunnie wyswatali. Obecnie pogniewał się na Jakóba z Kobylan i osadził go w więzieniu na Wysokim Zamku, gdzie nieszczęśliwy, czy tylko rzekomy amant przesiedział dwa lata w wielkiem utrapieniu.

Wśród onych spraw domowych, królewskiej gościny we Lwowie, wśród śpiewu słowików i hukania rogów myśliwskich rozgrywały się na Niskim Zamku we Lwowie i okolicznych zameczkach w Glinianach, Gródku, a nawet w kniejach dobrostańskich zdarzenia pełne uroku lub siły dramatycznej. Tutaj, w kniei zwanej „Oziminą“, prawdopodobnie w Dobrostanach przyjmował Jagiełło posła dwu królów, francuskiego i angielskiego, kawalera Guilberta de Lannoy, na Niskim Zamku układał wspólnie z Witołdem list do soboru w Konstancyi, będący odpowiedzią na oskarżenia i matactwa krzyżackie, tutaj, jako dobry i rządny gospodarz porządkował zawikłane kwestyc posiadania poszczególnych dzierżaw ruskich, zabezpieczał granice od Wschodu, umacniał wpływy polskie na Wołoszy, tu wreszcie dumał nad zniweczeniem intrygi i matactw Zygmunta Luksemburskiego, wiecznie żądnego przyłączenia Rusi do korony węgierskiej.

Bo ze śmiercią królowej Jadwigi ożyły węgierskie pretensye, a Zygmunt uznając się za spadkobiercę domu Andegaweńskiego, nie pomijał żadnej sposobności dla podnie-

sienia swoich uroszczeń. Zmierzał do celu wszystkimi środkami. Wieczny wróg Polski i stały przyjaciel krzyżackiej gadziny, omawiał już nawet z Zakonem plan podziału Polski między Węgry, Marchię Brandeburską i cesarza niemieckiego, a równocześnie układał się, zawierał rozejmy z Jagiełłą, prowadząc wielką i długoletnią grę dyplomatyczną, której stawką była Ruś razem ze Lwowem.

I zdawało mu się, że u kresu marzeń swoich stanął w dniach „wielkiej wojny“, kiedy Zakon krzyżacki całą swoją potęgę rzucił na pole walki z Polską. Takiej chwili był chytry Zygmunta w najściślejszym przymierzu z Krzyżakami i za swoją pomoc miał sobie przyrzeczoną, na wypadek wygranej, całą Ruś razem ze Lwowem. Bitwa pod Grunwaldem rozwiązała jednak chciwe nadzieje i uratowała Lwów dla Polski na długie wieki: wiekopomna, na wszystkim polu urodzajna, w plon wielki obfita bitwa.

Tymczasem Lwów jednoczył się coraz ściślej z Polską, wiązał z nią tysiącami niemi spraw codziennych, interesów, coraz wyraźniej stawał się jedną ze stolic Polski, chętną, wierną i przez króla ulubioną. Delegacje mieszczan lwowskich stawały się, do pewnego stopnia, częścią składową dworu królewskiego, szły za nim jak cień wszędzie, gdzie tylko król przebywał, czy to w Krakowie, czy w Sandomierzu, w Łęczycy, w Korczynie, czy indziej, gdzie na chwilowym postoju rozkładał się dwór i kancelarya królewska, formułująca na pergaminie to, co król hojnie miastu użyczył.

Z rachunkowych ksiąg miejskich, z dat dyplomów we Lwowie wydanych, z Długosza, z rachunków wreszcie dworu, wydanych w XV. tomie pomników średniowiecza¹⁾, możnaby snadnie obliczyć, ile razy był Jagiełło we Lwowie. Ale rachunek byłby zanadto monotony, a daleko łatwiej byłoby wskazać te lata, w których króla we Lwowie nie było. Pędził we Lwowie święta wielkanocne w r. 1415, w dwa lata później bawił tu jako narzeczony trzeciej swojej żony Elżbiety Granowskiej, która tyle zgryzot przysporzyła Długoszowi niskim swem pochodzeniem, brzydota i zmarszczkami na twarzy. Po Wielkiej nocy mianowi-

¹⁾ Fr. Piekosiński: Rachunki dworu króla Wład. Jagiełły i Jądwigi. Mon. medii aevi historica. T. XV. Kraków 1896.

cie r. 1417, spędzonej we Lwowie, wyjechał Jagiełło do Sannoka, gdzie mu arcybiskup Jan Rzeszowski dał ślub z tak niefortunnie, zdaniem Długosza, wybraną oblubienicą, z którą wrócił do Lwowa.

Miodowe czasy jednakże niebardzo długo trwały u podstarzałej pary, bo wnet ruszył król do Halicza, a potem na zjazd z Witołdem, zostawiając królowę samą na lwowskim Niskim Zamku aż do czasów jej koronacyi, na którą mieszczanie lwowscy wywieźli do Krakowa między innymi aż 300 cytryn i 7 kamieni wyziny.

Toż samo i w czasach późniejszych spotykamy króla niejednokrotnie jeszcze we Lwowie, w pobliżu też miasta naszego i w drodze ku niemu spotkała go śmierć w Gródku — śmierć nielitosna, ciężką żałobę rzucająca na całą Polskę.

Panowanie Władysława Jagiełły było długie, pełne wiekopomnych zdarzeń i myśli szerokiej, z której szła potęga, niezrozumiała po wieki dla wszystkich chwalców brutalnej siły i bezwzględnej pięści — potęga otoczona jakimś niezwykłym blaskiem, na poziomie takim, gdzie już nie ludzie, ale się parają narody bez pośrednictwa miecza — otoczona jakby mistycznym, zaziemskim nimbem, płynącym z ofiary serca królowej Jadwigi i z mądrej, śmiałej myśli, wielkich idei rodzicielki. A ta moc razem z promienistym blaskiem nimbu szła na Lwów wszystkiemi dziełami mądrej rady, szczęśliwem powiązaniem wypadków, celowym planem pracy i politycznych zabiegów.

Ze strony drugiej ta myśl i polityka mądrego króla padała rzadko kiedy na grunt wdzięczniejszy, bardziej przygotowany, szczęśliwiej położony, jak we Lwowie. Były tu bowiem wszystkie zawiązki silnego stanu mieszczańskiego i wszystkie warunki ekonomicznego rozwoju. Była dzielność i krzepkość obywateli, dobre położenie na szlakach handlowych, było militarne znaczenie przedmurza Wschodu, całe dobrodziejstwo krzyżowania się i współzawodnictwa ras i narodów, był wreszcie zrąb i podstawa przygotowana przez budowniczego Polski, Kazimierza Wielkiego.

Toż urosło miasto nasze wielce i ponad zwykłą miarę lat jednego panowania. Ze składnicy, emporium handlowego, stało się jedną ze stolic Polski, a równocześnie jej

tarczą i przedmurzem, potężnym czynnikiem politycznym a równocześnie ogniskiem oświaty i kultury dla całej, olbrzymiej połaci dzierżaw polskich. Dom i ród królewski szukał tutaj oparcia i znalazł je w dokumentarnie na pergaminie stwierdzonem przyrzeczeniu rady i cechów lwowskich, że potomków Władysława Jagiełły po wieki uznają za panów i władców swoich i Polski całej, Rzym patrzył na arcybiskupstwo i kapitułę lwowską, jako na misję apostolską, a cała Polska widziała we Lwowie twierdzę i zaporę od wschodniej nawały.

A takim silnym, możnym organizmem, jak go zostawił Władysław Jagiełło, pozostał Lwów i nadal. Mocy tej nie zdołały zniszczyć postępy oręża tureckiego za Władysława Warneńczyka, ani zdobycie Konstantynopola, Kaffy, Kilii i Białogrodu, ani ruina i bankructwo stanu kupieckiego, odciętego od wschodnich rynków handlowych. Podczas gdy z handlowych osad genueńskich ani kamień nie pozostał na kamieniu, Lwów przetrwał zły czas i w niespełna sto lat po królowaniu Władysława Jagiełły drugi swój przeżył wiek złoty, świetności, bogactw i znaczenia.

II.

W DNIACH „WIELKIEJ WOJNY“.

DO ŁĘCZYCY. PISARZ JAN. JAGIEŁŁO WE LWOWIE. OFIARA NA CELE WOJENNE.
POŻYCZKA. PO BITWIE GRUNWALDZKIEJ.

Dnia 6. sierpnia 1409 padło na wielkiej kapitule Zakonu w Malborgu słowo: w o j n a ! Wypowiedział je wielki mistrz Ulryk Jungingen i przyniósł je równocześnie do Malborga arcybiskup gnieźnieński Kurowski wraz z całym poselstwem Jagiełły. Długoletnie matactwa Krzyżaków wezbrały wreszcie taką krzywdą i taką łuną pożogi na umęczonej Żmudzi, że już miecz tylko mógł zostać rozjemcą i sędzią między germańskim światem a świeżo zjednoczoną Polską i Litwą.

Wojna zresztą od dawna wisiała w powietrzu i już z wiosną r. 1409 wiedziano dobrze na lwowskim ratuszu, że nadchodzą czasy ciężkie, w których zaważą się losy państw i narodów, a także Rusi i samego Lwowa, na który pożądliwie patrzył Zygmunt Luksemburski, na tronie węgierskim siedzący. To też, gdy przybieżał do Lwowa goniec Jagiełły z królewskim nakazem, ażeby rajcy i ława miejska stawili się na zjazd generalny w Łęczycy dla dobrej rady i pomocy zagrożonemu państwu, nie było chwili wahania w ratuszu, że należy wysłać co najobrotniejszych i najpiśmienniejszych mężów na wspólną potrzebę.

Jakoż nazajutrz po Bożem Ciele, dnia 7. czerwca ruszyli ze Lwowa na zjazd łęczycki mężowie konsularni Mikołaj Goebel, sędziwy starzec, co rok prawie burmistrzem wybierany, dobry rządca majątku miejskiego i częsty poseł od miasta do Wołoszy i na dwór królewski i indziej, gdzie tylko miejska była potrzeba, a z nim razem wójt Konrad Rypen i pisarz miejski Jan, konieczny uczestnik każdego ważniejszego poselstwa, prawdziwy kanclerz ratuszowy,

najbardziej świadom polityki i wszystkich dyplomatycznych labiryntów.

Wobec spraw wielkiej wagi i poselstwo dłużej trwało i koszta jego znacznie były większe niż zwyczajnie. Wogóle bowiem wydali delegaci 22 grzywny zwykłych i 4 grzywny szerokich groszy, wydatek zupełnie usprawiedliwiony, gdyż okazała się potrzeba towarzyszenia królowi do Poznania, celem bliższego stwierdzenia wypadków, które się zaczęły rozgrywać. Gdy zaś czas naglił do powrotu, wrócili delegaci do domu, zostawiając pisarza Jana w Poznaniu, śnać, aby się o wszystkim informował i o wszystkim ważniejszym donosił miastu. Na tem wywiadowczem stanowisku wytrwał Jan siedm tygodni i wydał jeszcze dodatkowo 4 grzywny groszy polskich i 3 grzywny groszy czeskich¹⁾.

W ten sposób Lwów zapewnił sobie wiadomości autentyczne i z pierwszej ręki o bieżących wypadkach. Tak bowiem poselstwo, jak i pozostały na miejscu pisarz Jan widzieli zapewne odchodzące do Malborka poselstwo ze stanowczem słowem Jagiełły, pierwsze wici wojenne i pierwsze kroki Zakonu, który się począł ogniem i mieczem srożyć nad ziemią dobrzyńską, nie pozostawiając kamienia na kamieniu w jej grodach.

Równocześnie i inne nadchodziły wieści: od kupców z Krakowa, z Torunia i od Węgier, przez rozgałęzione stosunki rodzinne i handlowe mieszczan lwowskich, a wszystkie one, prawdziwe i przesadne, składały się na obraz chwili dziejowej bardzo schmurzony i niepewny, w której obywatelstwu lwowskiemu, jakkolwiek jednej było narodowości z Krzyżakami, życzyć przyszło całą siłą duszy i mocą własnego interesu powodzenia orężowi polskiemu, a stanowczej klęski Zakonowi.

Temu samemu Zakonowi, z którym bardzo wielu mieszczan lwowskich połączonych było prawie węzłami krwi, a w każdym razie wiarą, językiem, wspólnym interesem. Wszakże żyły we Lwowie rodziny mieszczańskie, mające swych krewnych w Toruniu i innych miastach krzyżackiej dzierżawy, wszakże żył jeszcze znany nam już burmistrz i rajca lwowski Aberko Smethaus, będący ró-

¹⁾ Pomniki dziejowe Lwowa, tom. II. p. 237.

wnocześnie gospodarzem krzyżackich interesów we Lwowie, agentem handlowym Zakonu. Na składach lwowskich leżał jeszcze bursztyn pruski i sukno, a w handlowych księgach wielkorządcy królewieckiego figurowało wielu kupców lwowskich w charakterze wierzycieli i dłużników.

Ale z drugiej strony pamiętali co starsi mieszczanie lwowscy ponury zmierzch rządów węgierskich nad Lwowem i wszystkie one korzyści, które przysły miastu pod berłem polskim. Wiedziano też, że nie zamknęła się jeszcze karta węgierskich pretensyi i że na wypadek klęski polskiego oręża, praca kilku lat dziesiątków nad podniesieniem Lwowa poszłaby na marne.

Nie wiadomo, czy pisarz miejski Jan, bawiąc przez siedm tygodni w Poznaniu, jako naoczny świadek rozgrywających się wypadków, zdołał się dowiedzieć o ścisłym przymierzu Zygmunta Luksemburskiego z Krzyżakami, w którym zastrzegł sobie na wypadek klęski Jagiełły, że Ruś, Podole i Mołdawia przypaść mają Węgrom, ale w każdym razie była we Lwowie świadomość chwili niesłychanie ważnej i dla przyszłych losów miasta decydującej. Dowodzą tego przedewszystkiem niezwykle ożywione stosunki z dworem królewskim, świadczące, że miasto wszystkimi swoimi środkami finansowymi popierało toczącą się wojnę. Jako wolne od służby wojennej nie miało obowiązku wziąć udziału w pospolitem ruszeniu, zwołanem na dzień 9. września, ale już na dwa dni przed tym terminem wyjeżdża po raz drugi pisarz miejski Jan do Łęczycy, wioząc pieniądze dla króla. Gdy zaś suma, którą miasto dać mu mogło, była, zdaje się, niewystarczająca, zboczył pisarz do Lucka, do Żyda Jakóba, z którym ratusz lwowski częste łączyły stosunki i tam prawdopodobnie dopożyczył brakującą resztę do sumy, którą już przedtem pożyczono od obywatela lwowskiego Jana Czerkisa w kwocie 28 grzywien. Dodano do tego jeszcze dwa dywany specjalnie dla króla.

Już po wyjeździe pisarza okazało się, że miasto ma znowu coś do zakomunikowania królowi, bo oto niebawem drugi pisarz Maciej wyjechał do niego z listami miejskimi, a ta podróż jego kosztowała magistrat dwie grzywny polskich groszy.

Tymczasem Jagiełło, postąpiwszy z pospolitem ruszeniem od Wolborza pod Bydgoszcz i po odzyskaniu tego miasta, zawarł dnia 8. października r. 1409 z Krzyżakami dziewięciomiesięczny rozejm, z terminem końcowym dnia 24. czerwca 1410, po którym nastąpić miała ostateczna rozprawa.

Przygotowania do niej trwały całą zimę, gorączkowe, pospieszne, wszechstronne. Do krzyżackich zamków zjeżdżali się rycerze z całego świata, z Francyi, Anglii, a nawet Hiszpanii. Wabiła ich kłamliwa wieść, że w tej walce o dobro chodzi kościoła, o wojnę świętą, innych zaś, błędnych rycerzy, ciągnęła nadzieja przygód. Jagiełło tymczasem wspólnie z Witołdem układał na zjeździe w Brześciu plan wojny, urządzał wielkie polowania, z których beczkami wywożono solone mięso do Płocka, jako żywność dla wojska, a wreszcie objeżdżał kraj, osobiście zachęcając do wojny i zagrzewając ducha w trwożliwych.

W podróży tej, zaraz na początku wiosny a tuż przed świętami wielkanocnymi, dnia 21. marca, stanął wraz z całym dworem swoim we Lwowie. W orszaku królewskim był przede wszystkim podkanclerzy Mikołaj Trąba, o którym głos powszechny mówił, że niebawem zostanie arcybiskupem lwowskim, tem bardziej, że propozycja królewska dawno już odeszła do Rzymu, był dalej ks. Janusz Raciborski z Piastów śląskich, częsty gość dworu królewskiego, marszałek Zbigniew z Brzezia, ten sam, przeciwko któremu raz król czeski Wacław wyjechał, biorąc go mylnie za Władysława Jagiełłę, był wreszcie Mężyk, wszechwładny podkomorzy królewski i panów wielka a świetna gromada.

Króla, gotującego się na wielką wojnę, przyjęło miasto z większem niż zwykle uniesieniem i większymi dary. Przede wszystkim zatoczono z miejsca na Niski Zamek kufę piwa i drugą kufę miodu, razem z czterdziestu garncami mąki pszennej, co najprzedniejszej. Natychmiast też w stajni królewskiej znalazł się koń wierzchowy, kupiony za 6 grzywien i dwa woły srokate, a w szatni królewskiej dwa postawy jedwabiu wzorzystego za 8 kóp groszy i drugie dwa postawy jedwabiu czarnego za 24 kóp groszy. Tak, co było najcenniejszego w mieście i składach kupieckich, przyniósł

magistrat w darze królowi, w przededniu wojennej zamieszki.

Nie zapomniano też na ratuszu i o wybitniejszych dygnitarzach. Przyszły arcybiskup, a teraz podkanclerzy Mikołaj Trąba otrzymał kufę piwa i dywan, pisarze zaś jego kancelaryi ryczałtem kufę miodu, Jan książę Raciborski otrzymał dywan, Zbigniew z Brzezia prawdziwie wojenny podarek, bo ozdoby na konia, a także piękne uździenice i dywan otrzymał i wspomniany Mężyk, podkomorzy królewski.

Głównym celem przyjazdu króla było pobudzenie ofiarności mieszczan na gotującą się wyprawę. Miasto jednak znajdowało się w dość trudnem położeniu finansowem, bo oprócz długów, zaciągniętych na przeszłoroczną potrzebę królewską, wypadły w samym mieście bardzo ważne i pilne roboty koło murów i wałów miejskich. Budowano mianowicie nową basztę poza jatkami miejskimi, most kamienny przed bramą halicką, pogłębiano rowy forteczne, a nadto obok zwykłych wydatków, zaogniona sprawa sądowa z plebanem Janem, zwanym Rusinem, wiele pożerała pieniędzy. Mimo to wszystko jednak pieniądze na wyprawę wojenną znaleźć się musiały.

Rachunki miejskie z roku 1410¹⁾ dają nam dokładny obraz nie tylko tego, co miasto na wojnę z Krzyżakami wydało, ale także i z jakich źródeł czerpano na ten cel pieniądze. Obraz to bardzo ciekawy i charakterystyczny, odsłaniający głębokie tajniki kasy miejskiej, a równocześnie świadczący o wielkiej istotnie ofiarności mieszczaństwa na cele publiczne i wielkiej pomocy, jaką Lwów składał na ołtarzu ojczyzny roku grunwaldzkiej potrzeby.

Wybrani w dniu Katedry św. Piotra (22. lutego) rajcy Piotr Folmar, Jan Zommerstejn, Mikołaj Smedfeldt, Mikołaj Rusin, Jerzy Crebel i Jerzy Goebel tem twardszy mieli orzech do zgryzienia, że nałożony i pobrany w dniu 18. maja podatek rozszedł się w znacznej części na bieżące potrzeby, zapłatę dawnych długów za przyjęcie, ugoszczenie i obdarowanie króla i t. d. Podatek był wcale wysoki, bo od każdej grzywny (48 gr.) płacono 2 gr., od każdego domu

¹⁾ Pomniki dziejowe Lwowa t. II. p. 249—273.

40 gr., wobec czego trudno było apelować po raz drugi do kieszeni podatników, zwłaszcza, że sprzeciwiało się to prawom miejskim.

Pozostawała tylko droga pożyczki, z której magistrat korzystał wszechstronnie, biorąc w pierwszym rzędzie od zamożniejszych obywateli miejskich, a gdy i to nie wystarczało, od wspomnianego już Żyda Jakóba z Łucka, który nie omieszkał przytem i specjalnych operacji finansowych na swoją korzyść. Zamiast bowiem gotówki dawał miastu olbrzymie ilości wosku w naturze, które miasto następnie odsprzedawało, tracąc na tym interesie podwójnie, raz na wadze, która w Łucku była jakoś lżejsza niż we Lwowie, co w odnośnych rachunkach bardzo skrzętnie notowano, a powtóre na przymusowej cenie, którą musiano brać wobec wielkiej podaży tego jedyne go artykułu.

Z obywateli lwowskich pożyczyli miastu po 30 grzywien: Hanuszko Czerkis i Mikołaj Scheler, po 20 Jan Brenner, Aberko Smethaus, znany nam już „wirt“ krzyżacki, Ormianin Kerekbej, Czukyswoerstel, Frawtfrewleyn, Klemens Czedlicz, Wojciech Buchholcz, inni pożyczali mniejsze sumy od 10 do 3 grzywien. Od wspomnianego Jakóba, Żyda łuckiego pobrano, oprócz gotówki, 315 kamieni wosku topionego po 1 grzywnie.

Z pieniędzy w ten sposób uzyskanych, razem z zapasami kasy miejskiej wypłacono na wyprawę królewską (*pro expedicione regali*) sumę tysiąca grzywien, czyli 48 tysięcy srebrnych groszy polskich, które mu też delegacya miejska odwiozła, prawdopodobnie do obozu. Tyle też miasto kosztowała bitwa pod Grunwaldem.

W chwili gdy na polach Grunwaldu i Tannenberga zawrzała wielka bitwa, płynęło życie we Lwowie zwykłym swoim korytem. Tak przynajmniej sądzić wypada na podstawie ksiąg rachunkowych, które nie zanotowały wyraźnie żadnych wypadków, stojących w związku z rozgrywającymi się zdarzeniami. Snać oczekiwano z niecierpliwością wyników walki, o której wiadomość najlaciej przyjsć mogła drogą krakowską. Gdy zaś potem „huknął rozgłos zwycięstwa po wszystkich ziemiach polskich“, głosił i Lwów z uniesieniem

i obchodził ten „światny tryumf, a w nim własną i powszechną kraju pomyślność“.

Jaki to był obchód, nie wiadomo, ale w każdym razie dziękczynne nabożeństwo w katedrze, a może i, za przykładem Krakowa, zabłyśły w trzyokiennych domach mieszczkańskich światła na znak radości i tryumfu.

W ślad za wieścią przyszedli do Lwowa i żywi świadkowie chwały polskiego oręża. Zaraz bowiem na polu bitwy, puszczając wolno innych rycerzy, kazał Jagiełło zatrzymać jako jeńców wszystkich zakonnych rycerzy i część ich odesłał do Lwowa, na Niski Zamek.

Weszli tedy bramą krakowską zapewne, zakapturzeni, chmurni, w białych poszarpanych płaszczach Krzyżacy — niedawno dumni i butni, a teraz jeńcy ze spuszczonei głowami, z goryczą, która piersi ich rozsadzała — z całym bolem upokorzonej pychy.

Nie obeszło się pewnie bez tego, aby na ich spotkanie nie wylągł Lwów cały, dziwując się żalosnej zmianie fortuny i sławiąc wyroki boskie.

A najwięcej pewnie dziwił się wczorajszy „wirt“ krzyżacki we Lwowie Aberko Smethaus i dziwili się ci, co pobierając bursztyn a sukno krzyżackie, widzieli niezmierną potęgę i bogactwa Zakonu teraz oto w proch i pył starte w przesławnem ręcznem spotkaniu.

Takiej chwili wielkiej i podniosłej kierowała się myśl powszechna z większą niż kiedykolwiek żarliwością i miłością w stronę tego, któremu danem było zwycięstwo — w stronę bohaterskiego króla. Padały na skroń jego wszystkie blaski chwały, cała gloria rozbłyśniętego zwycięstwem oręża — wszystkie usta sławę jego głosiły i sławę wiekopomnego czynu. I wielkie, szumne westchnienie ulgi szło po całej Polsce, jak po rozwianiu się ciężkiej, czarnym znaczonej krzyżem zmory.

A on sam, zwycięzca, skoro pozbierał z pola upadłe krzyżackie sztandary, skoro na wszystkie strony wieści rozszedł radosne, wprost z pod Grunwaldu na Litwę pojechał, skąd na początku jesieni olbrzymiem kołem na Kijów do Kamieńca zawitał, a potem do Lwowa.

Miasto nasze witało grunwaldzkiego zwycięzcę prędzej jeszcze, niż stolica Polski, Kraków. Tutaj też, do Lwowa

zawitały zdobyte krzyżackie sztandary, owe przestawne *banderia Prutenorum*, co w krakowskiej miały zawisnąć katedrze.

I znowu ulicami Lwowa poszedł witalny głos radości i uniesienia, znowu zabrzmiały dzwony kościelne na tryumf, na chwałę, na wjazd szczęśliwy króla zwycięzcy. A one okrzyki radości i rozbujane dzwony stłumiły do znaku westchnienie żalu, z jakim dawne zyski pożegnała może dusza Aberka Smethausa, tego samego, co „wirtem“ już przestał być krzyżackim i tych kupców, co im się granica do dzierżaw Zakonu zamknęła.

Król zwycięzca jakoś był jednakowoż chmurny we Lwowie. Nie poił się chwałą, ani świeżo zdobytym warzynom, bo mu znowu na duszę padła ta troska i zmora, którą tak często i niestety chętnie żywił w pożyciu swoim małżeńskim. Teraz, jak powiada Długosz, arcybiskup Kurowski był tym, którego dotknęła zazdrość królewska i posądzenie o „miłostki“ z królową Anną. Rzeczaszła już tak daleko, że naznaczony był w Glinianach zjazd króla z wielkim księciem Witołdem, dla zastanowienia się, co zrobić z rzekomo rozkochanym arcybiskupem. Tymczasem jednak Kurowski zmarł skutkiem nieszczęśliwego wypadku, a zjazd w Glinianach skończył się tem, że na następcę jego na stolicy gnieźnieńskiej wyznaczono Mikołaja Trąbę, arcybiskupa - nominata lwowskiego.

Wróciwszy z Glinian przebył król jeszcze czas jakiś we Lwowie, poczem w dzień św. Marcina (11. listopada 1910) ruszył wraz z całym dworem i sztandarami krzyżackimi do Niepołomic, skąd odbył tryumfalny wjazd grunwaldzki do Krakowa.

III.

MIASTO.

PODZAMCZE. JURYDYKA PLEBAŃSKA. ŁANY MIEJSKIE I OBSZARY WSIE.
PRZEDMIEŚCIA. W ŚRODKU MURÓW MIEJSKICH. PORZĄDKI. RYNEK. CYRKUŁY.
ULICAMI LWOWA.

Ktokolwiek i z której strony zbliżał się w czasach Władysława Jagiełły do Lwowa, ten przedewszystkiem dostrzedz musiał Wysoki Zamek. Siwe, posępne jego mury widniały zdala, jakby w powietrzu zawieszzone i nic nie było dokoła nich, jak tylko czysty błękit nieba i nagie, piaszczyste zbocza wzgórz sąsiednich. Jadący po raz pierwszy w te strony mógł myśleć, że to zamczysko samotne, stróż, oko i groza całej okolicy.

Dopiero w nagłym sfalowaniu się ziemi, prawie że w stromym spadzie ku kotlinie wylaniało się miasto od jednego rzutu oka, razem ze wszystkimi swoimi budynkami, basztami, wieżycami kościołów. Jakby ktoś zwał murów pogiętych, czerwonych, z szarymi dachami i las dymiących wysokich kominów rzucił na łąkę, którą cieniste wzgórza uwieńczyły, a która sama patrzyła siwemi oczyma wód swoich, stawów i rybnych sadzawek, pokrajanymi zagonami łąnów, szumiała zielenią drzew, pasiek, winnic i dokoła strojna była w sine dymy chałup podmiejskich.

Lwów spoczął i przyczaił się w kotlinie, szczerząc zęby murów swoich każdemu zbliżającemu się, wrogowi i przyjacielowi. A był jak wszystkie miasta średniowieczne niewielki rozmiarami, zabudowany już wtedy aż do ostatniego prawie skrawka ziemi. Bo tylko w obrębie murów miejskich było prawo i autonomia, bezpieczeństwo i przywilej. To też w mieście ścisk był domów i ludzi, a przedmieścia w dalekim promieniu tworzyły głuchą jeszcze przeważnie pustkę i nieużytki.

Dziejowe przejścia nadały przedmieściom lwowskim specjalny charakter. Pierwotny Lwów ruski z podgro-

dziem swoim i monastery leżał u stóp góry zamkowej. Zamek kniaziów ruskich, zdobyty przez Kazimierza Wielkiego, dwukrotnie spalony przez najazd litewski, ustąpił miejsca zamkowi murowanemu, a miasto posunęło się dalej, w kotlinę dzisiejszego śródmieścia i tam się zorganizowało i urządziło zupełnie na nowo. Stary gród ruski legł w gruzach i popiele.

Ale zostały na nim poświęcane miejsca cerkiewne, dwa kościoły łacińskie, jeden ormiański, zostało wreszcie przywiązanie do miejsca u dawnej ludności, przeważnie ruskiej. Więc obok nowego miasta dźwigały się powoli z gruzów domy boże i mieszkania ludzkie, starzy właściciele gruntów zostali na swej ojcowiznie i oto u stóp teraz już Wysokiego. polskiego zamku, jakoby stara się odrodziła osada, o dawnych tradycjach, tkwiącym w niej zawsze poczuciu odrębności, osada, która z nowym miastem nie chciała i nie mogła mieć nic wspólnego, bo się znalazła poza jego nawiasem, jego prawem i przywilejami.

Ale nie starczyło jej już siły do zdobycia sobie choćby takiego stanowiska, jakie miało miasto Kazimierz pod Krakowem. Stary gród ruski nie otrzymał żadnych praw miejskich ani przywilejów. Władzę bezpośrednią nad nim objął starosta lwowski, a sam gród, chociaż tak bliski miastu nowemu, w małej części tylko stał się jego przedmieściem, a zresztą jurydyką starościńską, odrębnym żyjącą życiem, do innych sądów chodzącą. W potocznej mowie utarła się dla niej nazwa Podzamcze, terytoryalnie zaś obejmowała północno-wschodnią część od Pełtwi aż do góry Zamkowej, której niższa terasa nosiła nazwę Budelnicy. Tutaj też rozsiadły się gęsto cerkwie ruskie i monastery, z których do dziś dnia istnieją św. Mikołaja, Paraskewii i Onufrego, znikły zaś cerkwie Błahowiszczenia (ul. Kołłątaja), Woskresenia (ul. Zamarstynowska), Teodora, Pokrowy i Czesnoho Chresta, a nadto monastery Jana Teologa, Michała Archanioła i Wowedenia. Niedaleko Pełtwi od strony zachodniej wcisnął się w jurydykę podzamecką kompleks posiadłości, należących do kościołka świętego Jana, zamieszkały przeważnie przez Ormian, który rządził się prawem duchownym, gdyż stanowił uposażenie proboszcza katedralnego. Tutaj pod górą przy dzisiejszym dworcu kolejowym na

Podzamczu stały też ormiańskie monastery św. Jakóba i Anny, oraz kościół św. Krzyża (dziś areszta garnizonowe).

Cała olbrzymia reszta obszaru podmiejskiego od drugiej strony góry zamkowej aż do Pełtwi i w milowym prawie okręgu poza murami miejskimi stanowiła dotację nowego miasta Lwowa, owe sto łanów frankońskich, nadanych miastu wraz z prawem magdeburskiem przez Kazimierza Wielkiego i owe pustkowia czyli obszary, którymi w r. 1415 Władysław Jagiełło hojnie tę dotację pomnożył.

Granice łanów Kazimierzowskich określone są w dyplomie z 27. lipca 1368 w ten sposób, że grunta należące do miasta sięgały od frontu murów i od góry Stefana (dziś Łysa góra) po obu stronach rzeki Pełtwi, a stąd dokoła miasta aż do młyna, należącego do parafialnego kościoła Maryi Śnieżnej, który to młyn stał na Pełtwi, w pobliżu Zboisk. Ponieważ zaś na stokach góry Stefana rodziła się dobrze winna latorośl, przeto o te miejsca wybuchały często spory graniczne między miastem a Podzamczem. Jeden z takich sporów rozstrzygnięty został w r. 1413 przez osobną komisję, która między terytoryum zamkowym a winnicą mieszczanina lwowskiego Jana Trawtfrewleya wytyczyła granicę, oznaczając ją kamieniami i kopcami.

Obszary znowu nadane przez Władysława Jagiełłę sięgały zasadniczo aż do granic sąsiednich wsi, a posiadało je miasto ze wszystkim, co na nich było, z polami, łąkami, pastwiskami, lasami, gajami, zaroślami, borami, bagnami i jeziorami, ze strumykami, wodami i młynami, co razem z dotacją Kazimierzowską stanowiło 17.332 morgów gruntu.

Wszystko to były ziemie na wolnościach miejskich leżące, grunta miejskie, na których od razu rozpoczęła się kolonizacyjna praca mieszczan lwowskich. Jeszcze na łanach darowanych przez Kazimierza Wielkiego powstały wsie miejskie Zamarstynów (1389) i Hołosko wielkie (1401), obecnie zaś na świeżo nadanych obszarach powstały za życia Władysława Jagiełły Kleparów (1419) i Kulparków (1426).

Kolonizacya odbywała się w ten zwykły sposób, że jeden z mieszczan otrzymywał od rady miejskiej przywilej, pozwalający mu pod pewnymi warunkami osadzać chłopów. W przywileju takim z r. 1425 wystawionym dla Pawła Goltberga na założenie Kulparkowa nadało mu miasto

dwa łany na własność i co szósty denar z łanów czynszowych, a nadto kawał gruntu koło młyna. Osadnicy zaś otrzymali pół łana na wspólne pastwisko i wolność od wszelkich podatków przez lat siedmnaście. Po upływie tego czasu opłacać mieli po grzywnie od działów gruntowych i po kłodzie owsa, które to opłaty przeznaczone zostały na budowę i poprawę fortyfikacyi miejskich. Ponadto zastrzegło miasto dla siebie sądownictwo w nowej osadzie.

W tym samym czasie, choć na innej zasadzie zakładał burmistrz, rajca, poborca podymnego królewskiego i dziedzic Hołoska małego, Januszko Tłumacz, Brzuchowice. W nagrodę zasług swoich otrzymał od króla w r. 1424 pustkowiec za Hołoskiem małym, na których zwyczajem magdeburskim osadzał czynszowników, sam dzierżąc władzę wójtowską nad nimi i sądowniczą, zupełnie niezależnie od miasta.

Bliżej murów miejskich zaludniać się poczynają coraz silniej działki gruntu miejskiego (*orti*) przedmieszczanami. Kasa miejska pobierała od nich czynsz, zresztą byli oni prawie właścicielami nabytych gruntów, a mogli je, za zezwoleniem rajców jednak, sprzedawać i w inny sposób pozbywać.

W ten sposób powstają dwa przedmieścia: Halickie sięgające od południowych stoków góry Zamkowej aż do linii dzisiejszej ulicy Sykstuskiej i Krakowskie od ulicy Sykstuskiej do brzegów rzeki Pełtwi. Obydwa są za Władysława Jagiełły jeszcze bardzo małe i kupią się przeważnie koło bram miejskich. Według rejestrów podatkowych mieszkało z samym początkiem wieku piętnastego na przedmieściu Halickim wszystkiego sześćdziesiąt rodzin, na Krakowskim nawet mniej, bo tylko do pięćdziesięciu, nie licząc Żydów z dawien dawna tam osiadłych. Mieszkali tu bez różnicy wyznania i narodowości tak Polacy jak Rusini, Niemcy, Ormianie i Tatarzy. Te dwie ostatnie narodowości tuliły się do murów miejskich od strony bramy tatarskiej.

Reszta obszaru miejskiego była przeważnie niezamieszkałą. Niektóre części, zwłaszcza w dalszej okolicy, nie nadawały się do uprawy roli z powodu wzgórz, jarów i piaszków, inne wytyczone były w łany miejskie i te należały do mieszczan, którzy osadzali na nich czynszowników zrazu bardzo rzadko, bo i materiału ludzkiego nie było zbyt wiele.

Długoletni pokój w tych stronach za Władysława Jagiełły, zamożność mieszczan, ich skrzętność i zapobiegliwość przyczyniały się do coraz gęstszego zaludniania kotliny lwowskiej.

A ona sama wiosną i latem stroiła się we wszystkie przyrodzone swoje piękności, tworząc obraz dziwnie ożywiony, który zwłaszcza w czasach późniejszych budził wyrazy zachwytu i podziwu u obcych, a ukochany był i umiłowany przez swoich. Za Władysława Jagiełły nie było we Lwowie poetów, którzyby opiewali piękność lwowskiego krajobrazu łańskim i polskim wierszem metrycznym, ale tak w resztkach aktów miejskich jak i w innych pomnikach dziejowych odczuć można i wyrozumieć tę dumę i ukochanie własnego miasta — własnym trudem i pracą a poparciem królewskim stworzonej Rzeczypospolitej.

Cała zachodnia strona przedmiejska, po lewym brzegu Pełtwi tworzyła nieprzebyte bagna i moczary, a dostęp do miasta od zachodu był tylko szlakiem Gródeckim ku bramie Tatarskiej, lub drogą Sokolnicką (dziś ul. Kopernika) wiodącą w miejscach bardziej mokrych pomostem ustawionym na palach. Dopiero na wzgórzach koło św. Jura pojawiać się poczynały tu i ówdzie chaty czynszowników, a nad nimi prastary monaster św. Jura królował.

Niżej ku miastu, jak już wyżej wspomnieliśmy, dopiero koło bramy Halickiej wyzierać poczynały domki przedmiejskie z gęstwiny sadów, na tle ogrodów i łąnów uprawnych. Wśród nich młyn radziecki miejski klekotał na Pełtwi w tem mniej więcej miejscu, jak dzisiaj Bank hipoteczny i cerkiew Bohojawlenia w okolicach dzisiejszego placu Akademickiego świeciła krzyżem trójramiennym. Na środku „wielkiego mostu“ na Pełtwi wystawił w r. 1421 mieszczanin Mikołaj Szeler krzyż wielki, pod którym modlący się dostępywali 40 dni odpustu. O dzisiejszym Łyczakowie czy Zielonem nawet żadnej wzmianki nie znajdujemy jeszcze we współczesnych księgach miejskich, a tylko nieliczne lepianki widniały wśród wzgórz i jarów, a na ich południowych zboczach wśród pasiek mieszczzańskich zieleniły się winnice, kwaśnego wina dostarczające.

Znacznie gęściej zaludnione było przedmieście Krakowskie od strony bramy Tatarskiej. I tutaj znowu drugi

młyn na Pełtwi, kościół Maryi Śnieżnej i szereg cerkwi ruskich dodawał krajobrazowi urozmaicenia. Po drugiej stronie Pełtwi, w okolicy dzisiejszej ulicy św. Stanisława wznosił się kościół pod wezwaniem tego świętego ze szpitalem dla trędowatych, w fosie zaś miejskiej stała do r. 1424 łaźnia Ormianina Attabe, w której załoga Zamku Wysokiego i Niskiego miała prawo używać co środy bezpłatnej kąpieli. W r. 1424 pozwolił Jagiełło przenieść tę łaźnię na miejsce, gdzie była karczma „Braha“. Karczma ta mieściła się między dwoma głównymi ulicami przedmieścia Krakowskiego, jedną, „którędy się idzie od kościoła Maryi Śnieżnej do kościoła Jana Chrzciciela“ i drugą „większą, wychodzącą z bramy Krakowskiej“ ku gruntom, czy posiadłości zwanej „Podhoraj“.

O ile przechadzka po przedmieściach Lwowa średnio-wiecznego zostawić musi ogólne wrażenie sielanki dzikiej z pierwszymi, a niezbyt dawnymi śladami kultury — o tyle samo miasto, zamknięte w czworoboku murów fortecznych, miało w sobie wszystkie cechy współczesnych grodów europejskich, a przede wszystkim niemieckich. Zbudowane zostało na nowo z korzeniem — *ex radice nova*, nie potrzebując się liczyć z żadnymi pozostałościami dawnych czasów, ani wcielać lub przerabiać dawne budynki lub gmachy. To też bez żadnej przeszkody zastosowano przy jego budowie ten sam szablon, który niemieccy przybysze przynieśli do Polski razem z prawem magdeburskim i tem wszystkim, co widział wielki budowniczy a król chłopów na Zachodzie.

Stanął też Lwów od razu na tej samej wysokości, co średnio-wieczne miasta niemieckie, wszystkie miał najnowsze instytucje i urządzenia dla dobra publicznego. Znajdujemy we Lwowie za Władysława Jagiełły dobrze rozwiniętą sieć wodociągów miejskich, nad którą czuwał osobny, z kasy miejskiej opłacany funkcyjonyusz (*ductor aquae, Wassirleiter*), a zebrane razem wydatki na rury drewniane i gliniane i na inne urządzenia wodociągowe stanowiłyby mogły przedmiot osobnej rozprawy. Zbiornik wodociągowy wybudował na nowo w r. 1415 Piotr Stecher, a jego asystentem i pomocnikiem w pracy był, w chwilach wolnych od zajęć kościelnych, organista Piotr. W czasie urzędowania sieci wodo-

ciągowej w mieście utrzymywano kilku rurmistrzów, z płacą roczną sześć kóp groszy, wypłacanych zawsze w dniu świętego Prokopa (4. lipca). Poza tem studnie w samem mieście tak murowane, jak drzewem cymbrowane dostarczały wody, zwłaszcza na wypadek obłążenia i odcięcia wodociągów.

Posiadał dalej Lwów średniowieczny coś w rodzaju kanalizacyi, o ile o niej można mówić w tych czasach. Kilkakrotne wzmianki o kanałach doprowadzanych do baszt miejskich wskazują, że chodziło tu może o osuszenie terenu i regularny odpływ wody. Zegar na wieży ratuszowej, łaźnia miejska, *candelabri in foro* (latarnie), peryodyczne wywożenie śmiecia i gnoju z miasta dają dobre wyobrażenie o administracyi miejskiej i porządkach lwowskich za Władysława Jagiełły.

Wilkierzami miejskimi regulowano ruch budowlany i zapewniano bezpieczeństwo od ognia. Zwłaszcza mury graniczne, źródło ciągłych sporów, już w roku 1383 stały się przedmiotem jednomyślnej uchwały wszystkich mieszczan w tym duchu, że sąsiedzi winni je wspólnym kosztem budować, w przeciwnym zaś razie ten, który muru potrzebuje, może go zbudować sam z prawem regresu do wysokości połowy kosztów, albo też do stałej opłaty dziesięciu procent rocznie od wartości wyprowadzonego muru. Co do pożaru zaś uchwalono w tymże samym roku, z odwołaniem się na wilkierz, zatwierdzony jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, że za wszelkie domy zburzone w czasie akcji ratunkowej przy pożarze płacić mają odszkodowanie ci sąsiedzi, których domy skutkiem tego ocalały.

Z tem wszystkim jednak, mimo regularnego planu ulic, Lwów średniowieczny, podobnie jak inne miasta współczesne, zabudowany był bardzo nieregularnie. Brak miejsca w obrębie murów, konieczność zabudowywania całego placu, sam system średniowiecznego budowania, pełen przybudówek i zakamarków, zakłady rękodzielnicze, takie nawet jak browary pod wspólnym dachem z mieszkaniami i składami towarów, wszystko to mnożyło niebezpieczeństwo pożaru, a razem z architekturą domów gotyckich, wysokimi szczytami, nierównymi oknami nadawało miastu malowniczego charakteru, dziś tak podziwianego na zabytkach tych czasów.

Najbardziej malowniczym był rynek. Szczuplejsze od dzisiejszego rozmiary ratusza powiększyły znacznie sam plac o niezmienionych do dzisiaj rozmiarach. Otaczały go trzyokienne domy, wśród których stało jeszcze wiele drewnianych, a nawet pustych placów. Wogóle liczba domostw w rynku w czasach Władysława Jagiełły znacznie była większą aniżeli dziś, w późniejszych bowiem czasach kilka domów mieszczańskich składało się na jedną kamienicę z tych, które dochowały się do naszych czasów. Cyfra jednak ówczesna nie da się ustalić, mimo istnienia rejestrów podatkowych. Nie wiadomo bowiem, w jaki sposób wybierano szos średniowieczny, liczba zaś tych, którzy mieszkali w rynku, prawdopodobnie z rodzinami, dochodziła do 170.

Zwyczajem średniowiecznym obiegały dokoła rynku podcienia, których ślady widoczne są w tem, że dziś piwnice domów rynkowych wykraczają znacznie poza obręb samych kamienic, wchodząc aż pod trotuar. Piwnice były podówczas bardzo ważną częścią każdego domu, gdyż służyły tak jako składy towarów dla kupców swoich i w drodze najmu dla obcych, jak i jako gospody pod zieloną wiechą, w których szynkarze (*pincernae*) podawali piwo swojskie.

Ratusz był budynkiem niewielkim, z oknami niesymetrycznie rozłożnemi, z posągami Matki Boskiej u szczytu, wieżą na poły drewnianą z zegarem, z kamiennym przegierzem od głównego wchodu, strażnicą dla służby miejskiej, obszernymi podziemiami, częściowo jako piwnice, częścią na więzienie obróconemi. W czasach późniejszych dodawano do niego całe nowe skrzydła i wieża się kilkakrotnie zmieniała, ale ratusz Władysława Jagiełły, jako środkowa część gmachu, pozostał aż do roku 1827¹⁾.

Pod jego skrzydła tuliło się gwarne i rojne życie średniowiecznego miasta, pełne swaru handlowego, założone stosami kramów i bud wszelakich, rojne barwnym i malowniczym tłumem kupczących z wszystkich stron świata. Giełdą tego życia, prawdziwem *city*, były bogate kramy murowane, przedmiot marzeń każdego kupca i ośrodek całego ruchu handlowego. Kto tam zasiadł, na takim bogatym kramie, ten od razu wchodził w grono kupców wielkich,

¹⁾ Por. F. Jaworski: Ratusz lwowski. Bibl. lw. t. I.

grosistów, znanych i cenionych tak na targu krakowskim i wrocławskim, jako też na wszystkich bazarach i targowicach Wschodu aż po Kaffę. Z bogatego kramu prowadziła też prosta droga do podwoi ratusza, do zaszczytów i godności miejskich. Bogaci kupcy tworzyli patrycyat miejski, oni też wyłącznie zasiadali na krzesłach burmistrzowskich i radzieckich, a prawie wyłącznie na krzesłach ławniczych.

Obok bogatych, pośledniejsze znacznie i drobiazgową sprzedają trudniące się kramy ubogie, potem zwykłe budy dla przekupek (*penesticae in foro*) i ławy przenośne zalegały cały rynek tak, że czasami dostać się nie było można do bramy ratuszowej. Krajobraz rynku urozmaicała ponadto sadzawka rybna, wielkim kosztem już za Władysława Jagiełły zmurowana, po której most kamienny ułatwiał komunikację oraz dostęp do poszczególnych przedziałów, gdzie kupcy utrzymywali tymczasowo ryby na sprzedaż przeznaczone.

Od czterech stron rynku dzieliło się miasto na cztery kwartały (*circuli, viertel*), który to podział zachował się aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej. Podstawą jego była organizacja wojskowa mieszczan, którzy w razie trwogi i alarmu wojennego viertelami stawali pod broń, pod dowództwem osobnych „viertelników“. W czasach pokojowych służył ten podział także dla celów fiskalnych, podług niego bowiem wybierano szos na potrzeby miejskie i państwowe.

Pierwszą stronę rynku (od strony katedry i kościoła Jezuitów) zamieszkiwało przeciętnie 40 rodzin. Mieszkali tu najwybitniejsi obywatele lwowscy, tacy jak Gobil, Czedlicz lub Neco Reusse, najstarsze rody mieszczzańskie, osadzone tu snąć jeszcze przez Kazimierza Wielkiego.

Niejako przedłużeniem tej części rynku, aż do obu przeciwległych stron muru miejskiego, były ulice Halicka i Krakowska. Ulica Halicka nie zmieniła swej nazwy nigdy i już za Władysława Jagiełły nosiła to miano, ulica Krakowska zaś nazywała się wówczas ulicą Tatarską (*platea Tartariensis*). Obydwie zakończone bramami miejskimi tworzyły wraz z pierwszą stroną rynku linię prostą, tak, że obydwie bramy patrzyły na siebie.

W ulicy Halickiej niedokończona jeszcze widniała budowa katedry. Czerwone mury prezbiterium wznosiły się wysoko szlachetną swoją linią i ostrymi łukami ponad domy okoliczne, na miejscu zaś, gdzie dzisiaj nawa świątyni, stała jeszcze drewniana tymczasowa kaplica, wraz z taką dzwonnica, dokoła wreszcie świeżym murem otoczony leżał cmentarz dla zmarłych z przechoodem dla żywych — boża rola, deptana spieszными krokami przechodniów, czasem widownia bójek, gwałtów, co kłóciły spokój umarłym i bezczęściły ziemię pokoju i zapomnienia.

Od narożnika pierwszej strony rynku, wzdłuż muru cmentarnego biegła wąska i krótka uliczka, którą określano: „naprzeciw chóru (prezbiterium) Panny Maryi“ (*ex opposito chori ste Mariae*). Druga ulica prowadziła aż do muru miejskiego i zwała się łaźnią (*platea balnei*). Jak sama nazwa wskazuje, stała tu łaźnia miejska, przywilejami królewskimi obwarowa, zbudowana na nowo czy przerobiona około r. 1423 — ważne źródło dochodu dla miasta, nawet mimo tego, że w myśl dawnych przywilejów opłacać musiało ono część dochodu urzędnikom królewskim, jak wojewodzie i staroście, a w pewne dni ustępować uczniom szkoły farnej, którzy w zamian za bezpłatną kąpiel i w czasie jej trwania śpiewać mieli obowiązek psalm *de profundis*. Łaźnia cieszyła się stałą pieczołowitością panów ratuszowych, bo pomijając już względy zdrowotne, niósł z niej taki na przykład łaźniak Stognew do kasy ratuszowej na czysto ośm kóp groszy rocznie, a ponadto świadom wielu tajemnic sztuki lekarskiej, nieraz, zwłaszcza w nagłych wypadkach, wielką czynił wygodę miastu, opatrując na przykład poranionych przez służbę miejską obywateli.

Przy tej samej ulicy, a na dzisiejszym placu św. Ducha stał kościół pod tą nazwą i szpital, który stanowił niejako symbol uczuć filantropijnych mieszczaństwa lwowskiego. Nie było testamentu, któryby nie pamiętał o ubogich i chorych, a kieszeń obywatelska tem chętniejsza była do ofiar, że ostatecznie nikt nie miał zbyt zapewnionego losu ni starości i nikt nie mógł się zarzekać, że ostatnie lata życia nie przyjdzie mu spędzić w tej instytucji publicznej.

Z drugiej strony rynku od ulicy Krakowskiej biegła przecznica, zwana ulicą Szewską (dziś Trybunalska).

Dzisiejsza ulica Teatralna, równoległa do rynku, razem z ulicami Halicką i Krakowską, tworzyła w średnich wiekach aż trzy ulice. Część jej przednia, od dzisiejszego placu Maryackiego aż do katedry nazywała się ulicą Rzeźnicką (*platea carnificum*) w potocznej zaś mowie miano wano ją bardzo często ulicą poza jatkami, albo też poza domem plebana (*platea in postico plebani et retro maccellam*). Główną jej ozdobą i osobliwością były jatki rzeźnickie, położone tuż prawie naprzeciw głównego wejścia do katedry. Instytucja ta nie harmonizowała zupełnie z tak poważnym sąsiedztwem, a stąd ustawiczne turbowanie nabożeństwa, gwar nieprzystojny, zwłaszcza wobec stosunkowo grubszych obyczajów rzeźnickich. Z tego też zdaje się źródła płynęły częste bójkі na cmentarzu katedralnym.

Druga część ulicy dzisiejszej Teatralnej, od katedry aż po kościół i klasztor Franciszkanów, w miejscu dzisiejszej szkoły Mickiewicza i dawnej szkoły przemysłowej nazywała się ulicą Franciszkańską. Jeszcze przy niej nie było za czasów Władysława Jagiełły ani kościoła, ani kolegium Jezuitów, a dostojność i powagę temu miejscu nadawał kościół i klasztor Franciszkanów, wraz z domem, w którym mieszkał błogosławiony Jakób Stropa. Ten bowiem zrezygnowawszy z pełnej ustawicznych procesów kamienicy arcybiskupiej w rynku, zgodził się na zamianę za dom w pobliżu dawnego swego klasztoru, w którym zdaje się życia dokonał. I właśnie w rok przed bitwą grunwaldzką był Lwów świadkiem pogrzebu męża świętobliwego, którego z żalem wielkim i uwielbieniem dla jego cnót niezwykłych chowano w ścianie chóru kościoła Franciszkańskiego.

Dalsza część ulicy razem z przecznicą, noszącą dziś nazwę ulicy Korniaktów, sąsiadowała bezpośrednio z Niskim Zamkiem, a mieszkańcy na jej oznaczenie używali określenia ulica przed Niskim Zamkiem (*platea ante parvum castrum*).

Zamek Niski stanowił osobną dla siebie całość, połączoną tylko bramą wjazdową z miastem, zajmował zaś cały kąt miasta, w miejscu dzisiejszego Muzeum przemysłowego miejskiego i ulicy Łukasieńskiego.

Siedziba starosty i wszelkich władz królewskich, główna kwatery Władysława Jagiełły, ilekroć przebywał we Lwowie, przeżył Niski Zamek w tych czasach najgórniejsze swoje chwile i bywał świadkiem zdarzeń i narad ważnych i widział wszystkie najwybitniejsze osobistości Polski współczesnej. W jego murach mieszkała królowa Jadwiga, gdy obejmowała Lwów pod władanie Polski i wielki książe Witold, tutaj gospodarowie wołoscy gościna się cieszyli królewską i wszyscy dygnitarze a dworzanie, którzy tylko razem z królem byli we Lwowie w czasie jego długiego panowania. Jeszcze wilgoć i bagniste opary Pełtwinie nie szkodziły twardej naturze owego czasu, więc zamek kwitnął, a tylko od spodu zdradziecka Pełtwin mury jego podmywała, zagrażając wilgocią i zanieczyszczeniem całemu miejscu.

Taką była za czasów Władysława Jagiełły zachodnia część miasta, czyli pierwszy kwartał, albo Viertel Lwowa, zlewający się w umysłach współczesnych i w biurokracji ratuszowej niejednokrotnie w jedną całość razem ze wszystkimi w skład jego wchodzącymi ulicami. Stąd też znajdujemy w spisach podatkowych nieraz sumaryczne wymienienie wszystkich mieszkańców poszczególnych Viertelów, bez wchodzenia w nazwy poszczególnych ulic. Jedynie ulica Halicka i Tatarska, jako na pograniczu leżące, wymieniane bywają osobno.

Druga strona rynku (*secunda pars circuli*) leżała od strony ulicy Ormiańskiej. Tu już nie było zbyt wiele przecznic. Równolegle bowiem biegła tylko ulica Ormiańska, zamieszkała wyłącznie przez Ormian i niełącząca się, jak dzisiaj, bezpośrednio z rynkiem. Dostęp bowiem do dzielnicy Ormiańskiej był tylko od strony ulicy Tatarskiej czyli Krakowskiej, a tak cały ten kąt tworzył charakterystyczny obraz, jakby kawałek dalekiego Wschodu przeniesiony na bruk lwowski, z własną mową, strojem, sądem, świątynią, przypominającą synom odległej matki światłości ich ongi katedrę w Ani.

W tej stronie rynku mieszkali między innymi Zommersteynowie, mocno już w tych czasach rozrośnięta rodzina mieszczkańska, której członkowie zasiadali ustawicznie na ratuszowych krzesłach konsularnych, a po wszystkie czasy

upamiętnili swoje nazwisko założeniem wsi Zamarstynowa, która od nich wzięła swoją nazwę. W przedłużeniu drugiego Viertel u biegła ulica Bożego Ciała (*platea Corporis Christi*) — dziś Dominikańska, prowadząca wprost do kościoła i klasztoru Dominikanów, który za panowania Władysława Jagiełły wznosił się dopiero i przyoblekał w gotycką szatę, dzięki ofiarności mieszczan lwowskich i okolicznej szlachty. Dokoła kościoła i w jego podziemiach mieścił się cmentarz dominikański.

Trzecia strona rynku od ulicy Blacharskiej i kościoła Dominikanów. Mieszkali tutaj między innymi Trawtfrewleyn, jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych mieszczan lwowskich i Piotr Stecher, potomek pierwszych osadników niemieckich we Lwowie jeszcze za ruskich czasów tutaj siedzących. Ulica równoległa od tyłu, dzisiaj górna część ulicy Blacharskiej, nosiła w naszych czasach nazwę ulicy prowadzącej do Żydów (*platea eundo ad Judeos*), na której mieszkał słynny i w aktach ciągle się powtarzający Januszko Tolmacz, tłumacz miejski.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że za Władysława Jagiełły dzielnica ruska, która w czasach późniejszych zajmowała dzisiejszą ulicę Ruską i przyległe, nie istniała jeszcze jako osobna całość. Nie wspominają o niej wcale rachunki miejskie, ani w rejestrach podatkowych ani razu nie wymieniono nazwy ulicy Ruskiej, pierwsza zaś wzmianka o istnieniu w obrębie murów miejskich cerkwi ruskiej pochodzi dopiero z r. 1425.

Jednakowoż ulica, później Ruską nazwana, istniała już za czasów Władysława Jagiełły, a nawet zamieszkałą była w znacznej części przez Rusinów. Nazywała się ona podówczas *platea salsatorum*, od zamieszkałych tam ludzi, trudniących się handlem solą. W r. 1414 mieszkali tam obywatele, których same nazwiska dostateczną są legitymacją ich narodowego pochodzenia: Ulka, Jać Kuśnierz, Hryć, Hawryło, Jakubecz, Andrej, Kuźma itd.

Był to tedy związek przyszłej nacyi ruskiej, która wobec szczególnie pomyślnych warunków kolonizacyjnych wzrastała coraz bardziej, tak, że już w początkach szesnastego wieku liczyć się z nią muszą władze miejskie i inne narodowości we Lwowie mieszkające.

Czwarta strona rynku, wraz z ulicą Żydowską (*platea Judeorum*) i nową Żydowską (dzisiaj część ulicy Boimów między ulicą Serbską a Halicką), posiadała w całym Lwowie ówczesnym najwięcej może charakteru... artystycznego. Mieszkali bowiem w tych stronach dwaj żyjący podówczas i jedyni malarze we Lwowie, a mianowicie w samym rynku Stanisław malarz, a w ulicy Żydowskiej malarz Łukasz. Wbrew swojej nazwie bowiem nie była ta część ulicy zamieszkała przez Żydów. Stała tutaj masztalnia miejska (stajnia) i woskobójnia, a zresztą domy mieszczzańskie, między nimi zaś dom Ormianina Krokosa.

Właściwa zaś ulica, czyli raczej dzielnica żydowska obejmowała cały kąt miasta, między dzisiejszemi ulicami Blacharską, placem Wekslarskim i górną stroną ulicy Boimów. Część niższa ulicy Boimów, równoległa do rynku, nie miała specjalnej nazwy i wchodziła bezpośrednio w skład pierwszego cyrkułu miejskiego.

Wobec tego, że Żydzi nie podlegali jurysdykcji miejskiej i nie opłacali podatków do kasy miejskiej, księgi rachunkowe nasze nie zajmują się nimi wcale, a skutkiem tego i pierwotna topografia Ghetta dzisiaj prawie że się nie da odtworzyć.

Wymieniliśmy ulice lwowskie, o ile ślad ich jakiś przechował się w najstarszych księgach miejskich. Było ich niewątpliwie znacznie więcej, zwłaszcza wobec zaułkowego sposobu budowania, który jest charakterystyczną cechą wszystkich miast średniowiecznych. Nie potrzebowały one specjalnej nazwy, bo zanadto były znane każdemu i zanadto dobrze wiedziano we Lwowie średniowiecznym, gdzie kto mieszka. Oryentowano się tedy według nazwisk właścicieli domów, a w wyjątkowych wypadkach używano takich określeń, jak na przykład uwidoczniona w rachunkach „gasse bey Conradin“, ulica koło Konrada itd.

Szczegóły powyższe dają wyobrażenie o zewnętrznym wyglądzie Lwowa za czasów Władysława Jagiełły. Obraz to bardzo skromny, ale pamiętać trzeba, że nie o wiele większy był Kraków współczesny, lub Poznań i że miasto w obrębie murów liczyło w tych czasach zaledwie ośmdziesiąt lat istnienia, a czas średniowieczny i praca wolniej

daleko szły, aniżeli dzisiaj w epoce zgorączkowania i olbrzymiego wydoskonalenia narzędzi pracy.

A że w przeciągu tak krótkiego czasu na gruzach i zgliszczach starego grodu ruskiego powstało miasto kompletne ze wszystkimi urządzeniami, w znacznej części zmurowane, dobrze zaludnione, to wprawdzie świadectwo dobrego położenia handlowego i wielkich korzyści stąd dla mieszkańców płynących, ale także zabieглиwości mieszczan i królów polskich, których myśl sięgła daleko w przyszłość, stawiając tutaj, na rozdrożu dwu światów i dwu kultur placówkę, co wnet potem stać się miała spichlerzem, arsenalem, tarczą państwa polskiego, siewcą myśli i kultury zachodniej i to w miejscach, gdzie tak jeszcze niedawno, skutkiem olbrzymich kataklizmów dziejowych, żywi umarłym pokoju zazdrościli.

IV.

FORTYFIKACYE MIEJSKIE.

DAWNA WAROWNIA. ROBOTY FORTECZNE ZA JAGIEŁŁY. ZMIANA SYSTEMU FORTYFIKACYJNEGO. KONFLIKT RADY MIEJSKIEJ Z KRÓLEM. POŻAR BRAMY KRAKOWSKIEJ. KRAJOBRAZ WOJENNY. PROCH STRZELNICZY I PIERWSZE ARMATY WE LWOWIE.

Na czasy Władysława Jagiełły przypada wielki przewrót w sztuce wojennej. Razem z zastosowaniem prochu i broni palnej upadły stare systemy forteczne i oblężnicze, dawne twierdze z wojen krzyżowych straciły swą wartość, a miasta, większe zwłaszcza, stanęły wobec konieczności zmiany i umocnienia swoich warowni. Bo przed kamieniami kulami, z wielką siłą rzucanemi, nie mogły się ostać wysokie a cienkie mury — wylewanie smoły i wrzątku na głowy oblężających, wrzucanie zdechłych psów i kotów do oblężonej twierdzy dziecinną się stało zabawką.

W chwili, gdy na polu bitwy pod Pyszdrami w r. 1383 po raz pierwszy w Polsce zagrzmiała broń palna, straciły i mury miasta Lwowa przez Kazimierza Wielkiego wzniezione dużo ze swojej obronności. Nie mamy niestety, z wyjątkiem wzmianki u Długosza, żadnych szczegółowych wiadomości o tem, jak wyglądała forteca lwowska za Kazimierza Wielkiego, Ludwika i Władysława Opolskiego, a przede wszystkim, czy była całkowita i zupełnie wykończona, czy też, jak twierdzono dawniej, dopiero rozpoczęta¹⁾. Fakt jednak, że istniały już wówczas obydwie bramy miejskie, że w dyplomie Kazimierza Wielkiego z r. 1368 przy oznaczaniu granic Lwowa jest wyraźnie mowa o murach miejskich, że rozróżniano ściśle miasto od przedmieść, a ustroju magdeburskiego nie można sobie wyobrazić bez warowni miejskich, wskazywałyby na to, że wielki pożar,

¹⁾ Widman: Obrona m. Lwowa. Przegl. archeol. Lwów 1883.

który w r. 1381 spalił cały Lwów, nadwerężył tylko istniejące już dawniej warownie i zniszczył przede wszystkim ich części drewniane.

Bo w najstarszej księdze miejskiej¹⁾, założonej zaraz po pożarze (1382 r.), wielokrotne są już wzmianki o bramie Halickiej i Tatarskiej, która później miano Krakowskiej otrzymała, a wzmianka o moście przed pierwszą z nich dowodzi, że i rowem było opasane miasto, zupełnie według szablonu średniowiecznych twierdz. Ciągłe się dalej czyta we wspomnianej księdze o domach, gruntach i placach, leżących „za miastem“ (*foris civitatem*), w przeciwieństwie do tych, które leżą w wolnościach (*in libertatibus*) miasta.

Toż i najstarsza rachunkowa księga miejska (r. 1404) wskazuje, że początkowo poprawiano zniszczone pożarem warownie, uzupełniając tylko ich części drewniane, jak na przykład deski na wieży przy bramie Krakowskiej, lub krokwie a schody przy innych basztach (*turres civitatis*) — w r. 1405, 1406.

Jaką była pierwotnie liczba tych baszt, nie wiadomo. Z wyjątkiem halickiej i tatarskiej, wspominają najstarsze rachunki miejskie w r. 1406 o baszcie żydowskiej (*turris Judeorum*), w dwa lata później zaś poczęto murować basztę nową poza jatkami miejskimi, w pobliżu katedry (*turris nova retro maccellam*). Jest jeszcze w r. 1423 wzmianka o baszcie rzeźników (*fleyscher thorm*), wskazująca, że jak wszędzie indziej, tak i we Lwowie cechy były powołane do obrony poszczególnych baszt.

Wszystkie te przedmioty forteczne zastał już Jagiełło we Lwowie, a mimo to przez cały przeciąg jego rządów trwała nieprzerwana praca około warowni miejskich, niekiedy bardzo wyteżona, aż gorączkowa, a zawsze mnóstwo pieniędzy pochłaniająca, sił roboczych i materiału, zawsze pomocy żadna od państwa, ofiarności od szlachty, jako sprawa ogólnego znaczenia i powszechnej użyteczności.

Miasto świadome było niebezpieczeństw, wynikających z jego misji dziejowej jako przedmurza Polski. Rozumiał ją także Jagiełło, który nawet w chwili rozgoryczenia na rajców lwowskich, gdy nie dość pilnie dostarczyli mu środ-

¹⁾ Pomniki dziejowe Lwowa, tom I.

ków na wyprawę wojenną — nie spuszczał nigdy z oka warowni lwowskich, nie szczędził im wszechstronnego poparcia, ani osobistego zainteresowania.

A tymczasem nowa, pod wpływem zastosowania broni palnej powstająca teoria i system forteczny wymagały gruntownych zmian i ulepszeń w warowniach miejskich. Nie wystarczył już jeden mur, rowem otoczony, z basztami i blankami dla łuczników, z t. z. hurdycami czyli zewnętrznymi gankami do wylewania smoły i wody. Trzeba było muru podwójnego, z których wewnętrzny, pierwotny, znacznie musiał być podwyższony i rozszerzony, zewnętrzny zaś zasłonięty jeszcze ponadto wałem, przyjmującym pierwszy impet nieprzyjaciela i jego kul.

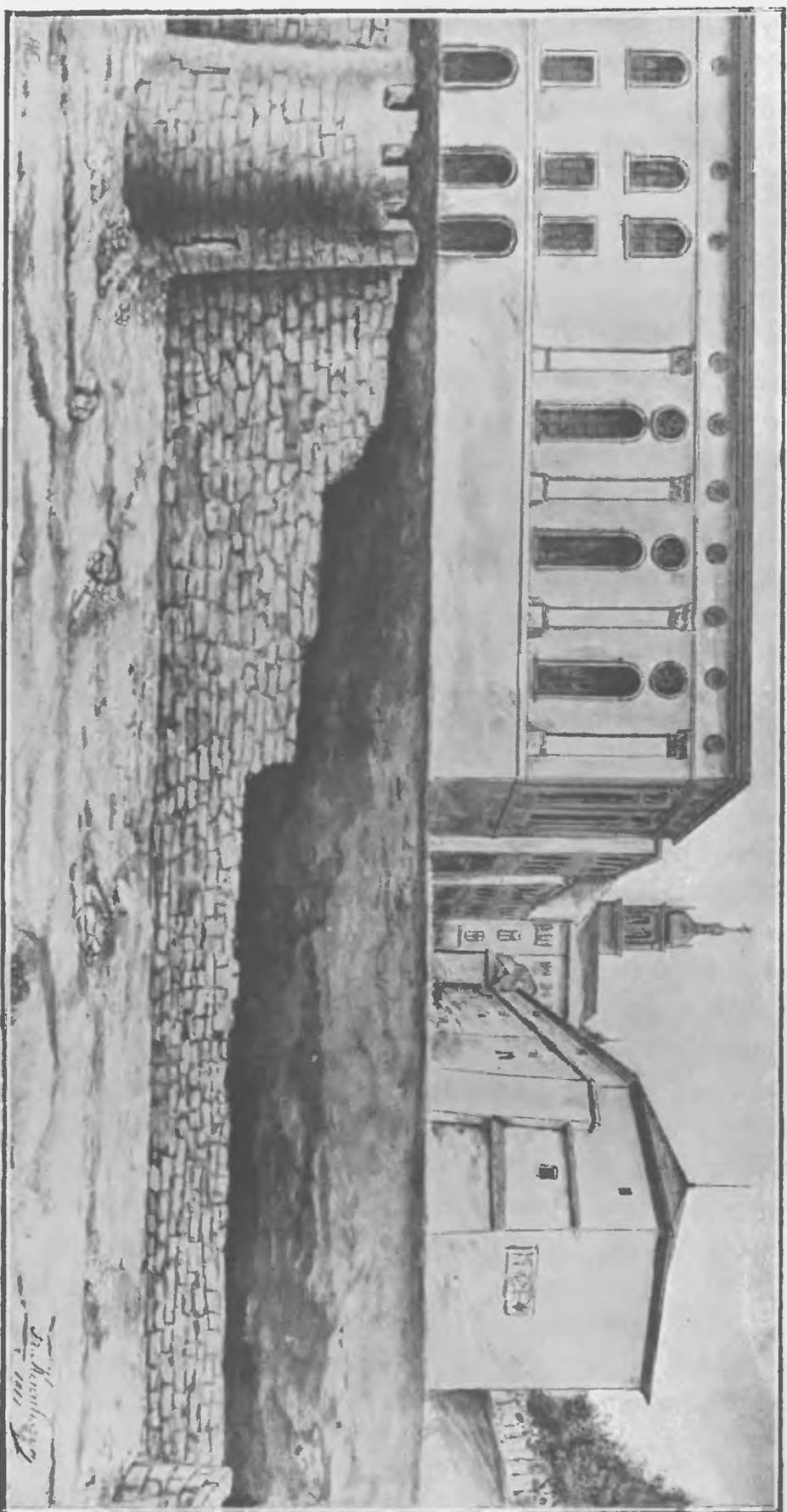
Do takiej zmiany systemu swoich fortyfikacji przystąpił Kraków ¹⁾ już w samym zaraniu wieku piętnastego. Na podstawie przywileju Władysława Jagiełły rozpoczęto tam w r. 1404 budowę drugiego muru zewnętrznego, a w trzy lata wcześniej poczęto kopać drugą fosę i nowy wał.

Lwów nie mógł pozostać w tyle. To też już w r. 1409 znajdujemy w księdze rachunkowej wzmianki, że panowie rajcy poczęli kopać fosę zaraz po Wielkiejnocy, w poniedziałek przed św. Stanisławem, 16. maja, a równocześnie znajdują się długie rejestry wydatków na ten cel (*exposita super fossato*) w ogólnej sumie 60 kóp groszy.

Tak samo i w roku następnym prowadzono roboty bardzo pospiesznie, nie żałując pieniędzy, mimosrogich wydatków na wyprawę grunwaldzką. Umacniano fosę i wał palami i deskami, a równocześnie trwała jeszcze budowa, wspomnianej już wyżej, wieży nowej i poprawiano, prawdopodobnie podwyższano, mur miejski, nie zaniedbując przytem robót konserwacyjnych, zwłaszcza około obydwu bram miejskich.

W latach następnych intensywność robót ustała nieco, chociaż nie brak wydatków *super fossatum*. Natomiast od r. 1418 poczynają się większe roboty około muru miejskiego. Kierowali nimi dwaj rajcy i na przemian burmistrzowie Franczko Rymer i Mikołaj Szeler, a z ogromnej sumy wydatków na ten cel, wynoszących przeszło 100 kóp groszy, wnosić można, że nie chodziło tu o naprawę starego, ale o nowy mur, zewnętrzny, budowany za przykła-

¹⁾ Józef Muczkowski: Dawne warownie krakowskie. Kraków 1910.



Szczątki zewnętrznego muru fortecznego z czasów Władysława Jagiełły
(odkopane przy ul. Sobieskiego 1, 32 i 34 — dziś winitarnia pod starą buszłą i fundamenty sąsiednich kamienic).

dem Krakowa. Również i nagłówki jednoznacznych rejestrów (*labores muri*) wskazują, że budowano od fundamentów.

Praca trwała przez rok cały i następne, a na ratuszu pilnie i drobiazgowo notowano kwoty wypłacane tym, którzy wozili kamień i wapno (*ductores lapidum et cimenti*), którzy łamali kamień (*fractores lapidum*). Brał też dużo z kasy miejskiej ceglarski za wypalanie cegieł, majstrowie murarscy Jan i Judentoter ze swoimi czeladnikami i robotnikami, tak, że cała suma na to przeznaczona została w zupełności wyczerpana, a Jan Trawtfrewleyn, który równocześnie kierował budową baszty, musiał opędzać wydatki z własnej kieszeni i miasto mu zostało dłużne 14 kóp groszy.

W takich warunkach spadły jak grom z jasnego nieba wici wojenne na nową wojnę z Zakonem. W słowach podniosłych i gorzkiej pełnych oznajmiał król mieszczanom Lwowa, Przemyśla, Halicza, Drohobycza, Wiszni, Mościsk, Sanoka, Sambora, Krosna, Śniatyna, że zmuszony był wypowiedzieć znowu wojnę odwiecznemu wrogowi Polski¹⁾ i znowu musi się odwołać do pomocy i ofiarności mieszczaństwa. Przykazuje tedy podatek po dwa groszy od każdej grzywny wartości wszystkich dóbr każdego rodzaju. Podatek ten winien być zebrany najdalej do Wielkiejnocy r. 1421 i oddany w ręce poborców, których król przysze.

Wyczerpane finansowo miasta nie mogły złożyć od razu żądanej sumy. Szczególnie we Lwowie rozpoczęte i z wielkim nakładem prowadzone roboty fortyfikacyjne domagały się koniecznie dalszych wkładów, a na ratuszu silne było przekonanie, że i to przecież sprawa państwowa, która winna być z funduszków publicznych zasilana. Ociągano się tedy, po raz pierwszy może, od spełnienia żądania królewskiego.

Wobec tego król ponowił nakaz. W drugim liście, tym razem wystosowanym do mieszczan Lwowa, Gródka, Sambora, Mościsk i Glinian, powtórzono z większym naciskiem potrzebę wybrania podatku w wysokości dwu groszy

¹⁾ Cała korespondencja zawarta w kodeksie bibl. uniwersyteckiego w Pradze, sygn. VI. A. 7.

od każdej grzywny majątku, w nieprzekraczalnym terminie do Zielonych Świąt, a to wiernie i pod przysięgą. Zebrane pieniądze winne być przechowane w ratuszu każdego miasta i na każde żądanie wypłacone.

Lwów postanowił użyć wszelkich zabiegów, ażeby uzyskać przeznaczenie całego podatku na cele obrony miejskiej. W tym celu wysłano dwu najpoważniejszych rajców, Jana Trawtfrewleya i Jerzego Gobila, najpierw do Krakowa do podkanclerzego z przedstawieniem, a potem do Niepołomic do samego króla. Obydwie podróże kosztowały 22 kóp groszy, nie licząc prezentów w formie dwu kamich i dywana, którymi miano nadzieję zmiękczyć serce królewskie.

Mimo jednak, że zwycięska wojna z Krzyżakami zakończyła się szczęśliwie pokojem melneńskim, nie chciał król ani słyszeć o wyrzeczeniu się na rzecz miasta podatkowych pieniędzy, gdyż sytuacja ciągle jeszcze była bardzo niepewna i groźna dalszą wojną. Do tego w zebranej we Lwowie sumie brakło siedmiuset kóp groszy, które najprawdopodobniej użyte zostały cichaczem i bez wiedzy królewskiej na roboty około nowego muru. Jagiełło odprawił tedy posłów w niełasce, dając im na drogę list do całego miasta, konstatujący przedewszystkiem, że posłowie miejscy przedstawili wszystkie braki miasta, jak niemniej budowę murów i fos obecnie dokonaną, prosząc, ażeby pieniądze podatkowe przeznaczyć mogli na ten cel. Lecz król dziwi się bardzo, że tegoroczny szos był daleko mniej wydatny, aniżeli lat poprzednich. Podczas bowiem gdy dawniejszymi czasy zbierano zawsze 2000 kóp groszy, to obecnie brakuje siedmiuset kóp. Napomina król przeto surowo rajców, ażeby brakującą do 2000 resztę natychmiast złożyli w ratuszu. Z pieniędzy tych tysiąc kóp musi być stanowczo na każde zawołanie królewskie w pogotowiu, drugie zaś tysiąc ma pozostać w przechowaniu, dopóki król do Lwowa nie przyjedzie i naocznie nie zobaczy przeprowadzonych prac i murów. Wówczas być może, że tych tysiąc kóp odda do dyspozycji miasta.

Mimo tak stanowczego przykazu nie dali jeszcze mieszczanie za wygraną, ale wystosowali do króla nowy list z nowem przedstawieniem. Odpowiedź królewska była

bardzo krótka. To, co kazano innym miastom, tyczy się także i Lwowa. Pieniądze muszą być przechowane na ratuszu na każdą potrzebę państwową i to pod surową odpowiedzialnością rajców. Król jednak uznaje wielką wagę i doniosłość fortyfikacyi lwowskich i dlatego wydaje równocześnie nakaz do szlachty ziemi lwowskiej, ażeby wysłała do robót ziemnych chłopów swoich i kmieci.

Rozkazu jednak królewskiego, dwukrotnie powtarzanego, we Lwowie nie dochoowano. Nie wiadomo, czy mieszczanie mieli zamiar zaimponować królowi wielością dokonanych robót, czy też zaskoczyć go dokonaniem faktem, dość, że równocześnie z delegacją miejską w Niepołomicach i korespondencyą budowa nowego muru posuwała się naprzód z gorączkowym pospiechem, a tak samo kopanie rowów i inne roboty fortyfikacyjne.

Przedewszystkiem do rowu miejskiego (*stat grabin*) kupowano olchowe deski i pale, oraz narzędzia do pracy, którą kierował niejaki Wendenstein, a wykonywali obok najętych robotników także powołani ku temu rozkazem królewskim chłopci z siół okolicznych (*villani et kmethones*). Robili oni partyami większemi i mniejszemi, nie mając właściwie prawa do wynagrodzenia. Mimo tego płacono im z kasy miejskiej drobniejsze groszowe kwoty, prawdopodobnie na żywność. Niektóre partye liczyły po czterdzieści i więcej ludzi, przyczem wyróżniano dokładnie i Rusinów stających do roboty. Wogóle los tych robotników ziemnych nie musiał być bardzo wesoły, skoro w jednym miejscu, a mianowicie przy sposobności wydatku na chleb nazywa ich sam kierujący robotami Jan Trawtfrewleyn „*arme leute*“, ubogimi ludźmi. Z nich jedni kopali, drudzy wylewali wodę, inni znowu wycinali trawę, widocznie ze starego rowu, który obecnie służyć miał jako międzymurze (*Barchen*). Ewidencję Rusinów pracujących prowadził ruski pisarz, który za swoją pracę otrzymywał cztery grosze.

Po ustąpieniu z burmistrzostwa Trawtfrewleyna kierował robotami dalej następny burmistrz Mikołaj Fredrici, który również całą uwagę swoją poświęcił fosie. Natomiast inni dozorowali roboty przy murze miejskim, a mianowicie rajca Cloze Schultis, a potem Erazm. W tym dziale, obok nowego muru, budowano także jakąś bliżej nieoznaczoną basztę,

wmurowywano kroksztyny dla podtrzymania ganku wewnętrznego itd.

Ogólna suma wydatków na cele obwarowania miasta przedstawia się w tym jednym tylko roku następująco: Zaraz z wiosną wypłacono za materyał i robotę schodów do bramy Halickiej, za żórawie do mostów zwodzonych przed bramą Halicką i Krakowską, za części składowe do kusz wiatrowych (*wynd armbroste*), za oszkarpowanie palami „wielkiego rowu“ (*grossen grabin*), za sztelarze do dział (*bochsen*) itp. około pięć kóp groszy.

Za pierwszą seryę robót koło fosy wypłacono wprost z kasy miejskiej 20 kóp, cieśle za roboty koło bram miejskich, oraz za pokrycie dachu nad bramą Halicką i innemi basztami otrzymali przeszło dwie kopy, za drzewo do baszt, za oczyszczenie bramy Krakowskiej wypłacono przeszło dwie grzywny, murarze otrzymali 7 kóp.

Jan Trawtfrewleyn wydał na saletrę do dział miejskich (*zu der stat bochsen*) 34 dukatów, na wspomniane zaś wyżej roboty około murów miejskich 76 kóp gr. Mikołaj Fredrici wydał 40 kóp gr. Franczko Rymer 70 kóp, Cloze Scultis 74 grzywny, Erazmus wydał z własnej kieszeni 140 kóp, które mu miasto pozostało dłużne.

Razem przeto wydano około 600 kóp groszy, która to suma zbliża się bardzo do tej, którą królowi brakło w ogólnej cyfrze podatkowej i o którą się tak stanowczo dopominał. Jakoż w rachunkach uwidoczniono niejednokrotnie, że poszczególne sumy brane były z podatku królewskiego, złożonego w skrzyni ratuszowej. Sprzeciwiało się to woli królewskiej, kilkakrotnie w sposób stanowczy i niedwuznaczny wyrażonej.

Nasuwa się teraz pytanie, co dalej? Czy naruszenie rozkazu królewskiego, chociaż w sprawie dla niego bardzo sympatycznej i ważnej, uszło rajcom lwowskim bezkarnie, czy też przeciwnie, lub czy wreszcie dobroduszny król puścił wszystko w niepamięć?

Że się Jagiełło o całej manipulacyi dowiedział i to od starosty lwowskiego Spytka, można się domyślać z nie-
dość wyraźnej wzmianki o traktowaniu tegoż starosty miodem, gdy był z rozkazu królewskiego w mieście przed wojną. Że się dalej za takie nieposzanowanie woli swojej król na całe

miasto obraził, można się domyślać z tego, że w następnym roku po zwycięskiej wojnie z Krzyżakami, będąc na Rusi, pominął Lwów, chociaż był tak bardzo niedaleko, bo w Gołogórach. Co się jednak stało z rajcami i jaką karę ponieśli za nieposłuszeństwo, o tem nie mamy żadnej wiadomości bezpośredniej. Faktem jest jednak i to bardzo sensacyjnym, że w r. 1423, a więc bezpośrednio potem, całe kolegium radzieckie znalazło się nagle w więzieniu na Niskim Zamku. Stało się to w czerwcu, a sprawa, która zaprowadziła tak poważne grono pod klucz, była widocznie sprawą publiczną, gdyż uwięzionych rajców miasto żywiło kosztem publicznym, kupując dla nich ryby, mięso, a nadto zaliczając w niewiadomym bliżej celu 6 wiardunków podstaroścemu Twardowskiemu i odźwiernemu na Niskim Zamku. W odnośnych zapiskach rachunkowych wyraźnie jest uwiidocznione, że rajce siedzieli w kajdanach z powodu króla (*ex parte Regis*).

Można się tedy z pewnem prawdopodobieństwem domyślać, że więzienie to było karą za nieposłuszeństwo wobec rozkazów królewskich. Domysł zaś jest tem bliższy prawdy, że właśnie w tym czasie, pozostały na wolności, pisarz Wincenty krzątał się bardzo żywo i na wszystkie strony, celem wydostania pieniędzy i trafił aż do plebana drohobyckiego, który w zamian za liczne honorarya i prowizye wygodził miastu 50 grzywien groszy szerokich i do plebana halickiego, który ze swej strony znowu dał 56 grzywien szerokich groszy i 19 dukatów w złocie, a także i Kunat wojewoda pożyczył 20 kóp groszy. Pieniądze te były widocznie przeznaczone na uzupełnienie brakującej kwoty podatkowej i odwiezione też zostały królowi do Gołogór.

A samo miasto solidaryzowało się widocznie bardzo z rajcami uwięzionymi, bo kiedy Jerzy Gobil i Jan Trawtfrewleyn po wyjściu z więzienia ustępowali z urzędu burmistrzowskiego po odbyciu swojej półrocznej kadencji, urządzono im wielką owacyę, której śladem jest wydatek nieczęsto się jeszcze podówczas w księgach naszych powtarzający, a mianowicie 30 groszy na pijatykę (*pro bibalibus*) dla służby miejskiej.

Ostatecznie sprawa załatwiła się bez dalszych następstw, w tym samym czasie bowiem przyszło od króla zaprosze-

nie dla rajców na koronację królowej Zofii, a gdy w roku 1424 pożar nawiedził ulicę Krakowską, wystosowali znowu rajcy list do króla, z relacją o tym wypadku, prosząc równocześnie o pomoc finansową dla prowadzenia dalszych prac około obwarowania miasta¹⁾.

List ten jest bardzo ważnym przyczynkiem do dziejów fortyfikacji miasta Lwowa, jak niemniej i do kultury współczesnej — i dlatego zatrzymamy się nad nim przez chwilę.

Donoszą w nim rajcy mianowicie, że w ostatnich czasach po kilkakroć, skutkiem nieostrożności Żydów w mieście mieszkających miasto narażone było na wielkie niebezpieczeństwo pożaru. Wobec tego musiano postawić na ulicy Żydowskiej specjalnego stróża. Zaledwie jednak ten stróż w sam dzień św. Michała rozpoczął swoje urzędowanie, aż oto w drugiej stronie miasta w ulicy Tatarskiej, która prowadzi w stronę Gródka, zobaczono płomienie buchającego pożaru. Z powodu silnego wiatru cała ulica Tatarska od bramy aż do rogu stanęła w jednej chwili w płomieniach, tak, że z wyjątkiem jednego domu murowanego i kilku lepierek za murami miasta, wszystko spłonęło doszczętnie.

Największą jednak boleścią przepełnił rajców fakt, że równocześnie spłonęły także trzy baszty dobrze obwarowane, pod którymi była brama miasta. Przy basztach tych znajdowały się także mocne budynki, specjalnie ku obronie miasta urządzone. Wszystko to spłonęło od szczytu dachów aż do powierzchni ziemi, razem z całą bramą.

Zrozczeni rajcy nie wiedzą wobec tego, skąd mają zaczerpnąć środków na dalsze roboty fortyfikacyjne, tem bardziej, że tak już wiele muru, warowni i baszt wyciągnęli. Wobec tego proszą o uwolnienie miasta od ceł na dłuższy przeciąg czasu, przyrzekając cały dochód z tego źródła obrócić na obronę i obwarowanie miasta.

Dodatkowo jeszcze donoszą rajcy, że we Lwowie panuje zaraza i przestrzegają króla, ażeby w tym czasie do miasta nie przyjeżdżał.

Prośbie mieszczan stało się rychło zadość. Przywilejem z 6. listopada 1425, wydanym w Zamechu, uwolnił Jagiełło

¹⁾ Kod. bibl. uniw. w Pradze VI. A. 7.

obywateli, kupców i mieszkańców miasta Lwowa od opłaty cła w całej Polsce, a to od wszelkiego rodzaju towarów i pędzonych wołów i na czas nieograniczony aż do odwołania. Wyraźnie przy tem zastrzeżono w przywileju, że wszystkie dochody w ten sposób uzyskane składane być mają i przechowywane na ratuszu i obracane w całości na mury i fortyfikacje miejskie ¹⁾).

Odtąd roboty poszły w bardzo szybkim tempie, ich szczegóły jednak zaginęły razem z księgą rachunkową odnośną, którą widział i z której korzystał jeszcze Dyonizy Zubrzycki w Archiwum miejskiem i obliczył na jej podstawie, że od roku 1425 do 1428, a zatem w przeciągu lat trzech, wydano na fortyfikacje lwowskie olbrzymią kwotę 4118 kóp groszy ²⁾).

Również i Zimorowicz wspomina pod rokiem 1425, że z hojnej ofiary królewskiej dokonano w tym czasie znacznych robót fortyfikacyjnych, a to samo powtarza i Alembek w rękopiśmiennej swojej kronice.

Władysław Jagiełło nie doczekał ukończenia fortyfikacji lwowskich. Po jego śmierci prowadzono dalej roboty w tym kierunku i dopiero za Kazimierza Jagiellończyka stanął Lwów w całej pełni swego rycerskiego pancerza, podwójnym murem otoczony i wałem, ze wszystkimi środkami i sposobami średniowiecznej sztuki fortecznej.

Obraz to był taki, że słuszną dumą napełnić mógł serce Lwowianina. Stary mur Kazimierzowski, podwyższony znacznie, z gankiem wewnętrznym na kamiennych kroksztynach opartym, najeżony był szeregiem baszt zwyczajem średniowiecznym o trzech drewnianych kondygnacjach, połączonych drabinami ze sklepem piwnicznym w podziemiu. Wielki otwór od strony miasta prowadził do wnętrza każdej baszty i do każdej kondygnacji, opasanej wieńcem czarnych paszcz strzelnicowych. Drewniany dach spadał w razie potrzeby, tworząc u szczytu platformę otoczoną zębataymi blankami, na której na drewnianych kozłach kusze stawały, lub działa prochem saletrzanym ładowne. Zębate blanki i strzelnice widniały także na całej długości

¹⁾ A. gr. z. IV. nr. XXV.

²⁾ Zubrzycki: Kronika m. Lwowa str. 93.

mur. Stawali za nimi łucznicy — kusznicy z ręcznymi kuszami, a później palną strzelbą — hakownicami.

Dwie bramy tylko prowadziły do wnętrza miasta: Halicka i Tatarska, później Krakowską zwana. Ta ostatnia za Władysława Jagiełły była najpiękniejsza, o trzech wieżach na górze, o przybudówkach fortecznych nieokreślonego bliżej rodzaju. Przypominała ona sylwetą swoją i ogólnymi zarysami herb miasta Lwowa i jako taka była symbolem miasta, z dala każdemu widocznym, ktokolwiek zbliżał się od zachodu w te strony. Z dawien dawna, prawdopodobnie jeszcze od czasów Jagiełły bronili jej w wojnie, a strzegli w pokoju kuśnierze.

Od bramy Krakowskiej biegł mur wzdłuż prawej strony domów dzisiejszej ulicy Skarbkowskiej i piętrzył się zaraz na wysokości głównego wejścia do kościoła Maryi Śnieżnej w basztę miechowników, blacharzy i mydlarzy, za nią były trzy dalsze baszty: mieczników, tkaczów i czapników. W tyle, za katedrą ormiańską była baszta piwo- i miodowarów, a w samym rogu, za Dominikanami baszta rymarska, której szczątki wchodzące w skład kamienicy w zbiegu ulic Skarbkowskiej i Ormiańskiej dziś jeszcze roznać się dają.

Od baszty ormiańskiej załamywał się mur miejski wzdłuż dzisiejszej ulicy Podwale i biegł między tylną ścianą kościoła Dominikanów i później zbudowanego arsenału królewskiego, tylną ścianą arsenału miejskiego, aż do rogu ulicy Sobieskiego. Na tej przestrzeni stała baszta szewska i narożna baszta garncarzy i kotlarzów.

Od niej załamywał się mur i biegł przez środek dzisiejszych kamienic między ulicą Boimów a Sobieskiego. Tutaj rzadko tylko stały baszty, a główną rolę w obronie grała wieża na bramie Halickiej, broniona przez krawców, a dalej mniej więcej u wylotu dzisiejszej ulicy Teatralnej na plac Maryacki baszty złotników i rzeźników.

Na czwartym wreszcie boku murów miejskich, który biegł wzdłuż Pełtwi i dzisiejszej ulicy Hetmańskiej, stały baszty stolarzy, bednarzy i stelmachów, dalej kowali, ślusarzy i iglarzów, potem kramarzy, a na rogu, w miejscu, gdzie stoi dzisiaj gmach Skarbkowski, baszta piekarzy.

Poza murami ciągnął się wąski pas ziemi, t. z. parkan — międzymurze, które powstało z dawnego rowu częściowo zasypanego. We wszystkich miastach średniowiecznych miejsce to przeznaczone było na zabawy wojenne, a tak samo i we Lwowie w międzymurzu od bramy Krakowskiej aż do narożnej baszty murarskiej mieścił się już za Władysława Jagiełły celstat, strzelnica miejska, o której pierwsza wzmianka pochodzi z r. 1407. Stanowiła ona rycerską szkołę mieszczañstwa, jak niemniej miejsce schadzek ku zabawie i rozrywce. Z innych stron parkanu miejskiego rosła swobodnie trawa, wypasana przez bydło miejskie, później zaś, gdy brak miejsca w samym mieście począł mocno doskwierać, stawały w międzymurzu lepianki i niskie domki, stawiane zwykle przez miasto dla rzemieślników, wykonywujących większe roboty miejskie.

Międzymurze ze strony drugiej ograniczone było murem zewnętrznym, znacznie niższym i szerszym od wewnętrznego i również w strzelnicie zaopatrzonym. We Lwowie mur zewnętrzny załamywał się od czasu do czasu w półkoliste bastiony.

Poza tem rów czyli fosa miejska, głęboka, częściowo wodą zalana, umocniona rusztowaniem z desek, tramów i palów. Dwa zwodzone mosty, podnoszące się na noc i w razie alarmu na żórawiu, specjalnie urządzone, prowadziły do obydwu bram miejskich i do miasta. Same bramy były to drewniane kraty, z dębowych kołów znacznej grubości zrobione i u dołu ostro okute, które spuszczano na linach lub na łańcuchach. Poza tem stanowił umocnienie bramy i sam most zwodzony, który po podniesieniu go zakrywał otwór bramy. Po zbudowaniu drugiego muru okazała się potrzeba postawienia drugiej bramy zewnętrznej i drugiego mostu zwodzonego na zewnątrz.

Ziemia wykopana z fosy miejskiej tworzyła wał odpowiednio wysoki i oszkarpowany, z drewnianą palisadą u szczytu.

Takim był plan fortyfikacyjny Lwowa powzięty pod wpływem zastosowania broni palnej za Władysława Jagiełły i w części za tego króla wykonane. Plan ten i sama forteca pozostała na długie wieki, które do średniowiecznych murów dodawały tylko przydatki i nowsze ulepszenia, albo

też, co się daleko częściej zdarzało, pozostawiały je w zaniedbaniu.

Na murach i basztach miejskich nie było nigdy stałej załogi. Za Władysława Jagiełły wystarczali aż nadto dwaj strażnicy, jeden na bramie Halickiej, drugi na bramie Krakowskiej stale mieszkający i z kasy miejskiej opłacani, którzy dawali znak w razie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Organizacya zaś wojskowa samych mieszczan, oparta na ustroju cechowym, pozwalała łatwo zmobilizować siły i każdej chwili na odgłos dzwonu ratuszowego postawić je na stopie wojennej.

W cieniu murów swoich i w pogotowiu mieszczan mógł Lwów kupczyć spokojnie, porastać w siłę i znaczenie, mógł spełniać wszystkie zadania, które mu położenie i dzieje wyznaczyły. Przedewszystkiem zaś, po przeprowadzeniu rekonstrukcyi samej warowni patrzeć mógł spokojnie na coraz większe wydoskonalenie broni palnej, tem bardziej, że i sam szedł z duchem czasu i postępu i natychmiast wprowadzał u siebie wszelkie zdobycze współczesnej techniki wojennej.

Czasy panowania Władysława Jagiełły i dwie przechowane dotąd księgi rachunkowe miejskie pozwalają schwytać niejako na gorącym uczynku owe przejście od dawnych machin oblężniczych do dział wybuchających prochem strzelniczym i wysyłających każdemu wrogowi nasamprzód pociski w formie kul kamiennych, a potem żelaznych.

W pierwszych latach piętnastego wieku wyłączną podstawą obrony były kusze (*ballistae, ambrost*) ręczne i na drewnianych kozłach stale osadzone. Wyrabiali je łucznicy, których w tych latach mieszkało we Lwowie sześciu, a wśród nich niejaki Habirman najrzęczniejszy snąć i największem zaufaniem na ratuszu się cieszący. Miasto posiadało własne kusze i zamawiało je u tego Habirmana, gdy trzeba było komuś dar uczynić honorowy a rycerski. W ten sposób otrzymał od rajców honorową kuszę starosta ziemi lwowskiej, brał je także, zapewne z wielkiem ukontentowaniem, wojewoda mołdawski w czasie pobytu swego we Lwowie i najznakomitsi jego dworzanie.

Tymczasem jednak od zachodu coraz ważniejsze i częstsze przychodziły wiadomości o zastosowaniu broni palnej. Do Lwowa jednak sprowadził ją dopiero sam Władysław Jagiełło. Wybierając się mianowicie do miasta naszego w r. 1394¹⁾, wioził za sobą obok kucharza Jakubowskiego, łuczników i służby, także na osobnym wozie armaty i sześć beczek prochu pod osobistym nadzorem puszkarza, niejakiego Zbrożka. Dla kogo owe armaty były przeznaczone, dla Lwowa, czy może dla obrony Kamieńca, nie wiadomo, ale w każdym razie jest to pierwsza wzmianka o broni palnej we Lwowie.

Jakoż musiano na ratuszu lwowskim pomyśleć niebawem o zastosowaniu nowego środka wojennego. Wobec braku zapisek rachunkowych z ostatnich lat czternastego wieku trudno dokładnie skonstatować, kiedy huknął we Lwowie pierwszy strzał armatni, ale już w r. 1404, w którym rozpoczyna się najstarsza księga rachunkowa, znajdujemy wzmiankę o puszkarzu, którego zgodzono za trzy kopy groszy rocznej zapłaty.

Początki jednak były trudne. Nie wiadomo, czy puszkarz nie był dość zręczny, czy też nie znalazł we Lwowie uznania, dość że już w roku następnym nie było go w mieście, a pozycja jego gaży, jakkolwiek zanotowana, pozostała pustą, tak samo jak i lat następnych. Dopiero w roku 1408 sprowadzono z Krakowa nowego puszkarza Wawrzyńca Kuawczila, którego potrzebę widocznie bardzo żywo odczuwano, bo wyznaczono mu płacę roczną 5 kóp groszy, a zatem prawie dwa razy tyle, ile pobierał pierwszy puszkarz przed czterema laty, a nadto poniesiono wszystkie koszty przeprowadzki jego z Krakowa.

Kuawczil zabrał się bardzo żywo do roboty, a dla przyszłej artylerii lwowskiej poczęto już ciosać kule kamienne i zakupiono za dwie kopy gr. saletry celem fabrykacji prochu strzelniczego. Mimo to i ten puszkarz nie utrzymał się zbyt długo, a urząd radziecki snąć mocno się do nowego wynalazku zniechęcił, być może niefortunnymi próbami, bo równocześnie na podstawie uchwały radzieckiej poczęto tworzyć park artylerii niemej, złożonej z sta-

¹⁾ Rachunki dworu Wład. Jag. Monumenta medii aevi tom XI.

rych i wypróbowanych kusz. W roku 1407 i 1408 uchwałała mianowicie rada miejska, że każdy z cechów lwowskich ma rocznie sprawić jedną kuszę, składając łucznikowi Habirmanowi pół kopy groszy z góry, a resztę należności po ukończeniu roboty. Pierwszymi, którzy w myśl powyższej uchwały przyszli do posiadania własnej kuszy, byli rymarze, potem kramarze, dalej garbarze, młynarze, krawcy, szewcy, kowale, kuśnierze, najbardziej zaś opieszalymi okazali się w tym względzie piwowarzy.

Mimo to wynalazek prochu strzelniczego nie był tego rodzaju, żeby można było przejść nad nim do porządku dziennego. To też już w roku 1412 spotykamy we Lwowie nowego puszkarza, który szczęśliwym trafem i z wielką korzyścią dla miasta potrafił skombinować swą wiedzę z zegarmistrzostem i skutkiem tego połączył w swojej osobie nadzór nad zegarem ratuszowym i armatą. Mężem tym był Piotr Scheffelar, pobierający z kasy miejskiej siedm kóp groszy płacy rocznej.

Scheffelar doprowadził też wreszcie do tego, że miasto posiadało kilka armat, do których pilnie sporządzano drewniane lawety (*bochsengestelle*).

W następnych latach puszkarzami miejskimi a zarazem i zegarmistrzami byli Wawrzyniec Hellenbazem i Walenty. Od tego czasu, zwłaszcza w latach 1416 i 1417 wydatki na cele armat miejskich mnożą się znacznie. Co chwila znajdujemy pozycye takie, jak np. 100 gr. na miedź do dział, 26 gr. na proch do dział (*pulver pixidarum*), na kule kamienne, na zakupno jednego działa 6 wiardunków. Budowano przytem i jakiś budynek dla puszkarzy (*bochsenschisser*) i zakupywano co chwila większe ilości saletry dla armaty miejskiej (*czu der statbochsen*).

W r. 1417 mówić też można o parku artyleryi miejskiej i od tego czasu zionęły z murów miejskich paszcze armat na zgubę wrogów, a na pomyślność i chwałę swoich.

V. LUDNOŚĆ.

LICZBA MIESZKAŃCÓW. RÓWNOUPRAWNIENIE NARODOWE. RUSINI. NIEMCY.
POLACY. ORMIANIE. TATARZY. ŻYDZI. KARAICI. INNE NARODOWOŚCI.

Drogą żmudnych obliczeń, na podstawie rejestrów szosowych i analogii z norymberskiego spisu ludności z r. 1449 obliczono¹⁾ liczbę mieszkańców średniowiecznego Lwowa na blisko 5000 osób. Ale to tylko tych, którzy mieszkali w samym mieście, w obrębie murów miejskich i na przedmieściach, zostających pod jurysdykcją miejską. Pominęto natomiast dla braku jakichkolwiek materiałów tych, którzy mieszkali na Podzamczu pod władzą grodu i na jurydyce dekanalnej pod władzą dziekana katedralnego. Gdy się zważy, że Podzamcze, stary gród ruski, najgęściej może ze wszystkich przedmieść było zaludnione, że duchowym potrzebom tutejszych mieszkańców, obok kościoła św. Jana, służyły cztery cerkwie i dwa monasteria ormiańskie — to snadnie do sumy mieszkańców Lwowa, wypośredkowanej przez dra Kutrzebę, doliczyćby można jeszcze jeden tysiąc i przyjąć, że Lwów w czasach Władysława Jagiełły liczył ogółem około sześciu tysięcy mieszkańców, to jest tyle, ile dziś liczy pierwsza lepsza, licha miejscina galicyjska.

Nie należy zapominać jednak, że nie o wiele większe pod względem liczby mieszkańców były ówczesne stolice Polski, Kraków i Poznań, nie więcej liczyła ludności większość miast średniowiecznych w Europie.

Za to jednak przedstawiała ludność średniowiecznego Lwowa prawdziwą mozaikę narodowościową. Powiedziano

¹⁾ Dr. St. Kutrzeba: Szos we Lwowie. Przew. nauk. lit.

trafnie, że sześć rozmaitych narodowości, pięć odmiennych wyznań, trzy różne rasy ludzkie, wiedzione wspólnym interesem ekonomicznym, skupiły się tutaj dla urzeczywistnienia wytkniętych celów.

A ile było narodów, tyle odrębnej kultury, tyle zwyczajów, różnego języka i właściwości etnicznych, oddziałujących wprawdzie na siebie nawzajem, ale nie zlanych jeszcze w jeden organizm, nie zasymilowanych. Na gruncie lwowskim mieszkał tylko o ścianę swego domostwa ryży Germanin obok kędzierzawego, krzywonośnego, czarnego Ormianina, swarliwy Żyd sąsiedował z apatycznym Rusinem, Polak z Tatarzyinem. Kościół, cerkiew, meczet, bożnica, monaster ormiański stały tuż obok siebie w miłej zgodzie, lud handlujący i kupczący porozumiewał się łatwo wielojęzyczną gwarą. Prawdziwa wieża Babel w miniaturze, schronisko i ostoja najdalszych narodów, których zda się nie ze sobą połączyć nie mogło, a połączyła wspólna wszystkim chęć zysku.

W tem wszystkim jednak miejscowa kultura ruska zaraz od samego początku jakieś poślednie zajmować zaczęła stanowisko, jakby jej miejsca brakło u wspólnego stołu, jakby tu była intruzem i natrętem. Zjawisko osobliwe i bardzo dziwne, bo wszak Ruś lwowska wszelkie miała warunki rozwoju, jako tubylcza, soki żywotne z ruskiego otoczenia czerpiąca, oparta o cały Wschód ruski i zruszczałą znacznie Litwę.

Ale o niej, o Rusi jakoś najmniej słyhać w stolicy udzielnego księstwa ruskiego. Jeszcze za ruskich kniaziów mamy więcej wiadomości o Niemcach we Lwowie, o łacińskich kościołach, o polskich przybyszach nawet, aniżeli o samych Rusinach, o ich kulturze, o własnej miejskiej organizacyi. A potem, po zajęciu Lwowa przez Kazimierza Wielkiego imię ruskie we Lwowie jakby od razu wymazane zostało, a sami Rusini traktowani na równi z przybyszami ze stron dalekich, z Ormianami, Saracenami, Żydami. O jakiejś akcji eksterminacyjnej, wynaradawiającej nie mogło być chyba mowy w tych czasach i wśród takiego zbiorowiska narodów, motyw religijny, upośledzenie schizmatyków także zbyt wielkiej roli jeszcze podówczas nie odgrywał, a sam przywilej zasadzcy Kazimierza Wielkiego

z 17. czerwca 1356, którym nadano miastu prawo magdeburskie, uwzględniał odmienne warunki rozwoju poszczególnych narodowości nawet mimo tego, że takie względy tak trudno się mieściły w ramach ustroju magdeburskiego, o charakterze wybitnie koncentracyjnym, z jednolitymi władzami miejskimi na czele. Mimo to jednak znalazł Kazimierz Wielki formułę słuszną i sprawiedliwą, bo nadając miastu prawo magdeburskie, tak pisze dosłownie we wspomnianym przywileju zasadczym, zatwierdzonym następnie przez następców, a także przez Władysława Jagiełłę: „Jednak ze specjalnej naszej łaski innym ludom mieszkającym w tem mieście, mianowicie Ormianom, Żydom, Saracenom, Rusinom i innym narodom... wyświadczając łaskę osobliwą, chcemy ich utrzymać w ich własnym obrządku i prawie, dając im jednak dowolną możność, ażeby im wolno było w jakichkolwiek sprawach i występkach między nimi samymi, albo między nimi a innymi używać wspomnianego prawa magdeburskiego przed wójtem, jeżeli zaś tego prawa używać nie chcą, tedy wspomnianym narodom Ormianom, Żydom, Tatarom, Rusinom i innym wolno będzie używać prawa swego własnego narodu w ten tylko sposób, że wójt miejski przewodniczyć będzie ich własnemu sądowi”.

W ten sposób zagwarantowano wszystkim narodowościom pełną możność własnego rozwoju, a nawet własne sądownictwo. Korzystali jednak z tego przepisu tylko Ormianie, inne narodowości, z wyjątkiem Żydów, zostających pod bezpośrednią jurysdykcją wojewody, nie zdołały w obrębie murów miejskich wytworzyć w ciągu średnio-wiecza organizacyi samorządnych. Nie wytworzyli jej także i Rusini, mimo wszelkich sprzyjających warunków, a skutkiem tego Lwów w przeciwieństwie do takiego na przykład Kijowa, lub nawet Kamieńca, gdzie przyszło ostatecznie do zorganizowania osobnej nacyi ruskiej z własnym wójtem na czele, nigdy nie był miastem ruskiem, ani nie miał ruskiego charakteru.

Dziwne to na pozór zjawisko wytłumaczyła już sama nauka ruska. Według niej założenie Lwowa przypadło na sam koniec samodzielności ruskiego państwa, a skutkiem tego nie było już czasu na utrwalenie się pod względem

narodowym, zwłaszcza wobec wyludnienia kraju po najazdach tatarskich. Od razu też Niemcy, przynoszący ze sobą własną organizację, nadali charakter miastu, zapobiegliwy zaś i handlowy element ormiański zepchnął Rusinów tutejczyków na plan drugi. Poza tem mieszkali we Lwowie prawdopodobnie od końca XIII. wieku Tatarzy, a tak miasto w samym już założeniu stało się wielojęzycznym i różnonarodowym.

Druga przyczyna, dla której Lwów tak mało był ruskim, leżała w niechęci Rusinów do miasta nowego, założonego przez Kazimierza Wielkiego. Osiedli z dawien dawna pod zamkiem swoich książąt, nie chcieli opuszczać dawnych swoich siedzib i gruntów i zostali na dawnym miejscu. Równocześnie mnożyła się liczba kolonistów w mieście nowem i rosły coraz jego przywileje, w których dawny Lwów ruski, teraz przedmieście nowego, już udziału nie brał. Gdy się więc opatrzyli Rusini, że ich interes jest w murach miasta, było już zapóźno. Nawet obywatelom lwowskim było już za ciasno, więc z niechęcią patrzyli na nowych przybyszów, uważając ich za intruzów. Jeżeli jednak mimo to Rusini zdołali w czasach późniejszych utworzyć we Lwowie dzielnicę ruską, to z jednej strony dowód żywotności ich społeczeństwa, siły finansowej ich współwyznawców z Grecyi czy Kandyi przybyłych, a wreszcie dowód hojnej pomocy z zewnątrz płynącej.

Za Władysława Jagiełły wyznanie rzymsko-katolickie nie było jeszcze nieodzownym warunkiem obywatelstwa miejskiego. Wprawdzie „chrzczony“ Rusin (*ein getawter Reusse*) albo katolik, który był niegdyś Ormianinem (*quondam Armenus, nunc vero Catholicus*), zawsze był mile widziany na ratuszu lwowskim, to jednak wśród osób, które z początkiem wieku XV. otrzymały prawo i obywatelstwo miejskie, znajdujemy kilku Rusinów, przeważnie z przedmieścia, bez żadnych dodatków, jakoby musieli przejść na obrządek rzymski. Również w rejestrach podatkowych wśród posiadaczy realności jest parę nazwisk wybitnie ruskich, taka „Heszka Ruthena“, lub „Peszko Reusse“ dzierżawią jatki miejskie, jest między innymi także Jaczko „aurifaber“ (Ruthenus) złotnik ruski i kilku innych.

Drugą kategorię stanowili „Rusini przebywający w mieście“ (*Rutheni in civitate commorantes*), których spis z r. 1405, najdokładniejszy, wymienia w liczbie czternastu.

Był to zdaje się rdzeń ludności ruskiej, zgrupowany koło cerkiewki, za słaby jeszcze do wytworzenia osobnej nacji ruskiej i dzielnicy w mieście, niewystępujący nigdy korporatywnie, bez śladów jakiegokolwiek samorządu.

Znacznie silniejszym, niż w mieście, był żywioł ruski na przedmieściach. Mówiliśmy, że ludność ruska z czasów niezawisłego księstwa pozostała i nadal pod Wysokim Zamkiem, dokoła cerkwi swoich i monasteru św. Onufrego, obecnie już w charakterze przedmieszczan, pod jurysdykcją starościńską pozostających. Ponadto sadowili się Rusini chętnie na obszarach miejskich, a na przedmieściu Halickim przed bramą Halicką zdołali wytworzyć zwartą kolonię, zgrupowaną koło cerkwi Bohojawlenia. Mniej już ich było na tej części przedmieścia Krakowskiego, która pozostawała pod jurysdykcją miejską, a spis czynszowników z r. 1405, najdokładniejszy ze wszystkich, wymienia ich wszystkiego dziesięciu.

Wogóle cyfry ludności ruskiej we Lwowie średniowiecznym nie podobna jest podać z najmniejszym nawet prawdopodobieństwem. Spisy bowiem podatników w poszczególnych latach wykazują takie rażące różnice, że absolutnie nie mogą być brane za podstawę do obliczenia, tem bardziej, że właściwie nie wiadomo, kogo zaliczać do Rusinów wobec podobieństwa ich imion chrzestnych do ormiańskich z jednej strony, a z drugiej strony wobec faktu, że już drugie pokolenie Niemców, na tej ziemi zrodzone, chętnie nazywało się Rusinami (*Reusse*), czego klasycznym dowodem jest pleban lwowski Jan Ruthenus, który tak bardzo się dał miastu we znaki.

Pozostaje tylko fakt, że nazwiska rdzennie ruskie dość sporadycznie pojawiają się we Lwowie za Władysława Jagiełły i że kolonia ruska nie zdołała tu wytworzyć silnej i zwartej organizacyi, choćby tylko na wzór Ormian i to w chwili, kiedy już ostatni był czas ku temu, gdy przeciwieństwa religijne nie doszły do ostatecznych granic fanatyzmu.

Tymi, którzy średniowiecznemu Lwowu nadawali barwę i cechę charakterystyczną, byli Niemcy. Nazwiska mie-

szczan i to najwybitniejszych wyłącznie prawie niemieckie, język urzędowy aktów i ksiąg lwowskich wprowadzie łaciński, ale z mocną przyprawą niemczyzny, która na każdym kroku przeziera, zwyczaj, kultura, sąd i rząd wyłącznie niemiecki. Wszystko to na ogół robi wrażenie, jakoby Lwów był miastem wyłącznie i wybitnie niemieckiem i jakoby wyższością kultury swojej, karnością i zdolnością do wszelkiej kooperatywy zapanować miał wyłącznie i na długie czasy nad ludnością tubylczą i z najbliższych stron przychodzącą.

Tymczasem jednak lwowscy Niemcy nie tylko, że nie zgermanizowali nikogo we Lwowie, ale sami ponadto tak rychło i tak doszczętnie ulegli wpływowi polskiemu, że już w sto lat później ślady tylko pozostały niemczyzny. Przyczyn tego dziwnego zjawiska wiele znają historycy, ale obok siły asymilacyjnej żywiołu polskiego, obok wpływów państwowych, decydującą w tym względzie rolę odegrał fakt, że kolonizacja niemiecka szła do Lwowa prawie wyłącznie z Polski, z zachodnich jej stron, a koloniści wchodząc w bramy lwowskie, przynajmniej do połowy byli już spolonizowani. W wieku piętnastym kończył się już napływ Niemców z najdalszych stron, a los narodowy tych, którzy tu przyszli, był wobec skonsolidowania się państwa polskiego poniekąd zadecydowany. Siedząc już od dwu wieków prawie na ziemi polskiej, odegrali swoją rolę i dostatecznie już ulegli wpływowi polskiego środowiska.

Spisy tych, którzy za Władysława Jagiełły przyjęli obywatelstwo lwowskie, są pod tym względem bardzo ciekawe i charakterystyczne. Z wyjątkiem kilku emigrantów gdzieś z Akwisgranu czy Paderbornu, reszta pochodziła ze stron znacznie bliższych, ze Śląska, a przede wszystkim z Krakowa. Kraków też dostarczał głównego kontyngentu ludności niemieckiej, z Krakowem też utrzymują Lwowianie jak najściślejsze i najżywsze stosunki. Wielkie mieszczańskie rody krakowskie, tacy Wirsyngowie i inni, mają we Lwowie krewnych swoich i rodowe odgałęzienia, utrzymują z nimi stosunki rodzinne i handlowe, pożyczają sobie nawzajem pieniądze, w listach rekomendacyjnych przekazują sobie wzajemnie obywateli.

Poza tem Śląsk i Prusy zachodnie. Spisy obywateli lwowskich wymieniają wszystkie prawie miasta śląskie od

Cieszyna, Opawy, Głogowy, do Wrocławia, Freiberga i t. d., niektóre w skażonem brzmieniu tak, że trudno dziś nawet wyrozumieć ich prawdziwe znaczenie.

Bliższa fala kolonizacyi średniowiecznego Lwowa szła od miast dzisiejszej Galicyi zachodniej. I stąd Niemcy z dawien dawna osiedli poczęli się masowo przenosić na Ruś i do Lwowa, a z nimi razem, w tej samej albo i większej liczbie, Polacy.

Jeżeli z rejestrów obojętnych i nic nie mówiących nazwisk trudno jest w wielu wypadkach wnioskować o narodowości, jeżeli nawet tam, gdzie jak n. p. u Rusinów charakterystyczne brzmienie, albo uwidocznione wyznanie niezawsze dają gwarancję, że dany osobnik był Rusinem, to wśród olbrzymiej większości Polaków i Niemców cechy narodowościowe tak są zatarte, że odgadnąć je w żaden sposób nie podobna. Wyznanie panujące rzymsko-katolickie u obydwu narodów tak się samo przez się rozumiało, że nie potrzeba było specjalnych określeń, brak zaś nazwisk w większości wypadków i zastępowanie ich mianem rzemiosła, którem się ktoś zajmował, zatartło wobec urzędowego języka łacińskiego lub niemczyzny najzupełniej wszelkie ślady narodowościowe. Bo skoro z określenia n. p. Jurko Kursner można do pewnego stopnia wnioskować o narodowości kryjącego się za niem osobnika, to określenie n. p. Joannes pelfifex nic absolutnie nie mówi i może się odnosić do wszystkich narodów Lwów średniowieczny zamieszkujących.

Mimo to w najstarszych księgach Archiwum miejskiego żywioł polski, mieszczański, zanadto jest widoczny, ażeby można było usprawiedliwić lekceważenie choćby takiego Zubrzyckiego, z jakim się wyraża o liczbie Polaków we Lwowie za czasów Władysława Jagiełły. Jeszcze przedtem, za panowania Ludwika węgierskiego i rządów Władysława Opolczyka, w najstarszej księdze miejskiej wśród osób zawierających różnego rodzaju transakcye majątkowe znajdujemy bardzo wiele nazwisk o brzmieniu wybitnie polskiem, takich, jak „Janko de Sandomiria“, Maciej Biały, Bartłomiej Kruk, Stanislaus Przemkowicz, Jakusz Szczelak i wiele innych.

Za Władysława Jagiełły żywioł polski wzmagać się począł falą emigracyjną, która szła nieprzerwanie ze wszystkich miast polskich dzisiejszej zachodniej Galicyi. Najwięcej poza Krakowem dostarczał obywateli miastu naszemu Przeworsk, potem Rzeszów, Pilzno, Bochnia, Ropczyce, Jodłowa, Jarosław, Sanok, Nowy Sącz, a nie brak także jednostek z Poznania, Wilna, Kalisza, Lublina i t. d.

Byli to przeważnie rzemieślnicy, niosący ze sobą tradycje polskie, żywe jeszcze wspomnienie macierzy. We Lwowie zaś to poczucie przynależności do Polski wzrasta jeszcze pod wpływem dobrobytu i mnogich przywilejów królewskich.

To też proces przeobrażania się miasta wielojęzycznego w wyłącznie prawie polskie, rozpoczęty już za Kazimierza Wielkiego, przybiera za Władysława Jagiełły konkretne formy, widoczne choćby w tem, że łacińsko-niemieckie akta przetykać się zaczynają wyrażeniami polskimi, snąc powszechnie w potocznej mowie znanymi i używanymi. Równocześnie zaś siła asymilacyjna żywiołu polskiego przyciągać poczyna ku sobie tak Rusinów, przechodzących na rzymski obrządek, jak Ormian i Tatarów, których nazwiska coraz częściej figurują z dodatkiem *catholicus*. Co do Rusinów rzymsko-katolickiego obrządku, to była ich we Lwowie cała grupa, którą rejestry szosowe wymieniają, w niewiadomym zresztą celu, osobno jako *catholici*.

Oznaczenie liczby Ormian mieszkających we Lwowie ułatwia znakomicie rejestr specjalnie ormiańskiego podatku, który zachował się z lat 1407 i 1417. Na jego podstawie obliczył dr. Kutrzeba liczbę Ormian mieszkających w murach miejskich między 191 a 425. Różnica tu jednak tak ogromna, materiał tak niedostateczny, że o zbliżeniu się do rzeczywistości niema i mowy. Do tego przybywają Ormianie, mieszkający za murami na miejskim obszarze Krakowskiego przedmieścia, dalej Ormianie z jurysdykcji dekanalnej św. Jana i z Podzamcza. Żywioł ruchliwy, bogaty, zajmowali Ormianie w średniowiecznym Lwowie obok Niemców najwybitniejsze stanowisko, tworzyli zwartą i dobrze zorganizowaną społeczność, której biskup Grzegorz, występujący w aktach w r. 1389, dodawał spoiłości duchowej, a którą wójt tak miejski, jak przedmiejski

wyodrębniał pod względem sądowniczym od reszty mieszkańców miasta.

Natomiast Tatarzy już za Władysława Jagiełły znajdują się we Lwowie w stadyum zaniku. Wprawdzie ulica Krakowska wciąż jeszcze nosi miano Tatarskiej, a brama Krakowska nawet nazwę pogańskiej, wprawdzie istnieje jeszcze topograficzne oznaczenie „łan tatarski“, ale wszystko to już jeno wspomnienia, a samych Tatarów tak w mieście mieszkających, jako też poza bramą Krakowską na palcach zliczyćby można. Reszta wywędrowała widocznie, albo wsiąkła w ludność tubylczą, zmieniając równocześnie i wiarę. Ci, którzy zostali, skupiali się głównie koło rowu i wału miejskiego od strony kościoła Maryi Śnieżnej, opłacając miastu czynsz ryczałtowy w kwocie 9 wiardunków.

Była wreszcie i żyła we Lwowie jeszcze jedna narodowość, o której księgi miejskie prawie że nie pamiętają, a która zrosła się ze Lwowem od jego założenia i kwitła tak w mieście samem, jak i na przedmieściu. Byli to Żydzi. Akta miejskie znają ich tylko, o ile chodzi o transakcye finansowe z wybitniejszymi ich przedstawicielami, zresztą zaś nie mają żadnego powodu interesować się nimi, gdyż wyłączeni byli zupełnie z pod władzy ratusza. Podatek opłacali królowi, królewskie też organy sprawowały nad nimi sądownictwo.

Fakt, że żydowska gmina przedmiejska na Krakowskiem przedmieściu starsza jest od miejskiej, razem ze swoją synagogą i cmentarzem, stwierdza, że Żydzi siedzieli we Lwowie już za jego założenia przez ruskich kniaziów. Ale już w dyplomie lokacyjnym Kazimierza Wielkiego wymienieni są oni między narodami, mieszkającymi w obrębie murów miejskich, najstarsza zaś księga miejska zna już ulicę Żydowską w mieście. Ich liczby za Władysława Jagiełły nie podobna podać nawet w przybliżeniu. W każdym razie znajdowali się oni w stadyum rozrostu, chociaż jeszcze dla handlowych interesów miasta nie przedstawiali takiego niebezpieczeństwa, jak w czasach późniejszych. Najpoważniejszą i najbardziej wpływową postacią pośród żydostwa lwowskiego u progu XV. stulecia był niejaki Wołczko, pachciarz ceł lwowskich i cheńskich, człowiek bardzo blisko stojący dworu królewskiego, posiadacz dóbr ziemskich,

uzyskujący nawet od króla przywilej na lokowanie wsi na prawie niemieckiem *ex radice nova*.

Natomiast gmina karaicka we Lwowie nie zostawiła żadnych śladów po sobie, poza faktem tylko, że istniała do końca XV. wieku. W którym jednakowoż miejscu ówczesnego Lwowa było jej siedlisko, pod Wysokim Zamkiem, jak chcą niektórzy, czy też bliżej miasta na Krakowskiem przedmieściu, o tem żadnej wiadomości nie ma nawet specjalny historyk Żydów lwowskich, dr. Majer Balaban.

Poza sześciu narodami, mieszkającymi we Lwowie mniej więcej zwartą ławą, trafiają się od czasu do czasu jednostki egzotyczne, które nie wiedzieć jaki los zapędził aż do dalekiego miasta, na krańcach prawie zachodniej cywilizacyi leżącego. Spotykamy tu bowiem za Władysława Jagiełły po jednemu, lub najwyżej dwu razem i równocześnie Węgrów, Czechów, Francuzów, Włochów, Greków, Mołdawian.

Dziwna jednakowoż rzecz, jak panowanie węgierskie mało Madjarów wysypało na bruk lwowski. Nawet za Ludwika i Władysława Opolskiego figuruje jeden tylko jedyny *Paulus Ungarus*, później zaś trafia się od czasu do czasu jakiś „*Vnger*“, co do którego nie wiadomo nawet, czy jest on Węgrem, czy też tylko nazwisko niemieckie przypomina zakarpaccich sąsiadów Lwowa.

Natomiast nazwiska takie, jak *Antonius Gallicus*, *Johannes Grande concivis noster* lub *Arnoldus Delak*, wskazywałyby na francuskie pochodzenie tych, którzy je nosili, podczas gdy znowu *Franciscus Cantellis de Caffa* był prawdopodobnie Genuńczykiem z nadmorskiej kolonii genueńskiej, Kaffy.

Jeden Czech wreszcie, jeden Chorwat z Krzyża, kilku Greków (*Crichen*) i kilku Mołdawian, których mają księgi miejskie, dopełniają obrazu tej barwnej mozaiki narodowościowej, jaką był Lwów za Władysława Jagiełły.

VI.

SKARBOWOŚĆ MIEJSKA.

KSIĘGI RACHUNKOWE. DOCHODY: WŁASNE, MONOPOLE, OPŁATY, PODATKI.
WYDATKI: W SPRAWACH PUBLICZNYCH, ZARZĄD, BEZPIECZEŃSTWO PUBLI-
CZNE, KOŚCIÓŁ. DŁUGI MIEJSKIE.

Podobnie jak wszystkie miasta średniowieczne, był Lwów jednostką organiczną, niejako oddzielnem państwem w państwie, które samo jeszcze naówczas nieskonsolidowane, nie mogło mu dać nic, a wymagało dużo, zostawiało własnemu losowi, a już za Władysława Jagiełły oczyma coraz wzmagającego się stanu szlacheckiego patrzyło zazdrośnie na bogactwa jego i dobrobyt. To też nie państwo było tym czynnikiem, który popierał rozwój miast, dawał mu ochronę i stanowisko w organiźmie państwowym, ale sam tylko król. Miasta powstawały na gruncie będącym własnością królewską, otrzymywały od niego część przywilejów królewskich, prawo i sąd własny. Królewskie nadania i przywileje były podstawą jego majątku i dobrobytu, wydobyty z kancelaryi królewskiej pergamin tarczą ochronną przed uroszczeniami innych stanów. Były one dziedzictwem króla, pod jego skrzydłami żyły i rozwijały się i tylko względem niego poczuwały się do obowiązków.

Bezpośrednia zależność Lwowa od władzy królewskiej była bardziej widoczną i istotniejszą, aniżeli w samej Polsce. Bo i Ruś przypadła koronie polskiej, jako dziedzictwo Władysława Jagiełły, niczem nieograniczona własność, z ziemią, prawem i bogactwami. Mógł szafować przywilejami bez żadnego ograniczenia, mógł urządzać stosunki, początkowo nawet bez woli szlachty i magnatów.

Jakoż korzystał z tego prawa dziedzictwa, już w samym tytule królewskim wyrażonego, w pełnej mierze, a że

widział dalej i szerzej, aniżeli wielu jego współczesników, tedy rozumiał dobrze państwowe znaczenie Lwowa, Rusi miasta głównego i stolicy i rozwój jego popierał wszystkimi środkami. Polityka mądra i przezorna, bo niebawem stał się Lwów jedną z najintratniejszych pozycji dochodów skarbu królewskiego, a lwowskich zasiłków pieniężnych nie braknie w żadnej potrzebie wojennej, w żadnej trudnej sytuacji chudego zwykle skarbu koronnego.

Jako organizm sam dla siebie i w sobie zamknięty, z własnym sądem i rządem, własnym majątkiem i indywidualnymi przywilejami żył Lwów średniowieczny życiem samoistnem, sam swoje sprawy finansowe regulował, własne swoje miał wydatki i własne dochody na ich pokrycie.

Gospodarka finansowa Lwowa z czasów Władysława Jagiełły wzorowaną była ściśle na innych miastach niemieckich i polskich i te same przedstawiała zalety i braki. Stała znacznie wyżej, aniżeli w samem państwie, zadziwia różnostronnością, wyższym stopniem obrotu kredytowego, siłą finansową, której starczyło na spełnienie zadań, jakich wielką część w czasach dzisiejszych przyjęło na siebie państwo — z drugiej jednak strony daleką jest od jakiego takiego planu na przyszłość. Budżetu średnie wieki nie znały, ani porządnego prowadzenia ksiąg, ani kontroli, wydatki czyniono z dnia na dzień, a gdy brakło na ich pokrycie funduszu, brano pieniądze skąd się tylko dało, w formie pożyczki lub nałożonego do-
rażnie podatku.

Dwie zachowane dotąd księgi rachunkowe miejskie z samego początku wieku piętnastego dają do pewnego stopnia obraz spraw finansowych Lwowa, pozwalają wglądać głęboko w źródła dochodów miejskich i śledzić drogi, któremi chadzały pieniądze z kasy miejskiej. Srogięoby jednak doznał zawodu ten, ktoby zbyt tym księgom zaufał, lub szukał w nich dokładności dzisiejszych ksiąg handlowych. Są to bowiem po prostu tylko zapiski pisarza miejskiego, czynione raczej dla pamięci, niż dla kontroli, prowadzone bezładnie i bez śladów jakiegokolwiek systemu, na sposób małych gospodarstw domowych, gdzie rozmaite pozycje rekompensują się wzajemnie, gdzie rzeczy powszechnie znanych nie notowano wcale, a poszczególne rubryki przy-

chodu i rozchodu mieszają się bardzo często w gmatwaninę niemożliwą do rozwiązania.

Tylko kilka zasadniczych, co rok się powtarzających pozycyi notował pisarz w poszczególnych, naprzód przygotowanych rubrykach, reszta miesza się w miarę, jak i w jakiej formie odnośne dochody czy wydatki przychodziły do jego wiadomości. Stąd też, mimo pozorów systematyczności, przedstawiają lwowskie księgi rachunkowe, tak samo zresztą jak znane księgi wszystkich innych miast, prawdziwy chaos.

Z chaosu tego jednak można utworzyć sobie przynajmniej w przybliżeniu obraz ogólny, uporządkować poszczególne rubryki w pewien system.

Idąc za wzorem znakomitej pracy dra Stanisława Kutrzeby o finansach miasta Krakowa w średnich wiekach¹⁾, wyróżnimy przedewszystkiem w rubryce dochodów majątek własny gminy, dalej monopole, opłaty i podatki, w rubryce zaś wydatków poszczególne grupy, jak się one z ksiąg rachunkowych dały zebrać i uporządkować. Osobny dział stanowić będą długi miejskie.

I. Dochody.

I. Z majątku gminnego. Podstawą majątku gminy miasta Lwowa było, znane nam już, nadanie Kazimierza Wielkiego z r. 1356, mocą którego król uposażył miasto w 70 łanów frankońskich, w tem 10 łanów pastwiska w Biłohorszczy. Od 60 łanów miało miasto opłacać podatek roczny do skarbu królewskiego po 24 gr. od łanu, pastwisko zaś było zupełnie wolne od podatków; w r. 1368 podwyższył Kazimierz Wielki to uposażenie do stu łanów frankońskich, Władysław Jagiełło zaś w r. 1415 nadał miastu, tytułem bezpłatnej darowizny, t. zw. Obszary, to jest całą przestrzeń dokoła murów miejskich, aż do granic sąsiednich wsi i posiadłości. Był to obszar olbrzymi, choć w znacznej części nieużytkiem stojący, obejmował zaś, jak wyżej wspomniano, 17.332 morgów wiedeńskich. W odnośnym przywileju Władysława Jagiełły czytamy formułkę, że król darowuje te grunta ze wszystkimi ich przyległościami na

¹⁾ Rocznik krakowski, r. 1900.

wyłączny pożytek miasta i jego mieszkańców, bez żadnych opłat do kasy królewskiej i z tem tylko zastrzeżeniem, że starać się ma miasto o warownie swoje.

Na tym to obszarze rozpoczęła się kulturalna praca mieszczan lwowskich. Niestety w zachowanych księgach rachunkowych niema prawie żadnych śladów, jak miasto i w jaki sposób na gruntach tych gospodarowało i jakie stąd płynęły dochody do kasy miejskiej. Skądinąd natomiast wiemy, że poszczególne łany objęli mieszczenie w swe posiadanie, rodzaj wieczystej i dziedzicznej dzierżawy, z dowolnem prawem alienacyi i z obowiązkiem opłacania odpowiedniego czynszu do kasy miejskiej. Inne łany zostały w bezpośredniej własności miasta.

Część tych ostatnich łanów dzieliło miasto na działki gruntowe i osadzało na nich czynszowników, z których później powstałi przedmieszczenie. Działki takie nazywały się po łacinie *ortli*, a czynsz z nich, przeważnie w wysokości 30 groszy od działki (*census ortorum*), jest stałą rubryką dochodów miejskich, co rok się powtarzającą. Czynszownicy ci siedzieli, jak wiadomo z poprzednich rozdziałów, przede wszystkim przed bramą Halicką, dalej przed bramą Krakowską. Na ogół było ich stosunkowo niewielu, a liczba ich w samych początkach wieku piętnastego nie przekraczała bardzo cyfrę 100.

Po otrzymaniu od Władysława Jagiełły wspomnianych wyżej obszarów rozpoczęła się praca kolonizacyjna. Poszczególni mieszczenie, otrzymawszy od miasta kawał gruntu, osadzali na nim chłopów czynszowych, tworząc w ten sposób wsie miejskie, opłacające czynsza i robocizny miastu. I z tego źródła dochód, grzywna od działki gruntowego po upływie lat wolnych i opłaty sądowe, nie jest niestety notowany w miejskich księgach rachunkowych, tak, że nic bliższego o jego wydatności powiedzieć nie można.

W samem mieście posiadało miasto przede wszystkim place budowlane, które wydzierżawiano na różny użytek, dalej domy, z których dochód nigdy nie był stałym i czasami tylko jest w księgach notowany.

Do nieruchomego majątku gminnego należała dalej łaźnia, kramy, jatki i budy.

Co do łaźni, to początkowo utrzymywanie jej we Lwowie było przywilejem królewskim. W r. 1422 podarował Jagiełło łaźnię lwowską miastu z tem, że ma mu ono płacić od niej rocznie 20 kóp groszy. Mimo tak wysokiej opłaty było to przedsiębiorstwo bardzo rentowne, od dochodów jednakowoż odjąć należy amortyzację kapitału, wydanego na nowy budynek łaźiebny, który miasto zaraz po otrzymaniu przywileju królewskiego własnym kosztem wystawiło.

Kramy, jatki i budy targowe były głównem źródłem dochodu wszystkich miast średniowiecznych i zwykle jest o nich i o dochodzie z nich pobieranym mowa już w miejskich przywilejach lokacyjnych. We Lwowie jednak nie mówią o nich wcale ani przywilej Kazimierza Wielkiego, ani też nadania Władysława Jagiełły.

W rzeczywistości istniały pod ratuszem przedewszystkiem murowane kramy bogate, przedmiot aspiracyi każdego większego, hurtownego kupca. Czy opłacały one do kasy miejskiej jakiś czynsz, o tem w naszych księgach rachunkowych niema żadnej wzmianki.

Drugi rodzaj kramów stanowiły t. z. kramy ubogie (*institae pauperum*), przeznaczone głównie dla drobiazgowej sprzedaży. Było ich ogółem dwadzieścia, czynsz zaś od dzierżących je przekupniów wpływał corocznie do kasy miejskiej.

Trzeci rodzaj kramów to drewniane budy przekupek w rynku (*penestice in foro*), opłacających na każde Zielone Świątki po 30 gr. tytułem czynszu.

Majątek gminny stanowiło także w ój t o s t w o. Osadzający na podstawie przywileju królewskiego miasto na prawie magdeburskiem otrzymywał obok opłat sądowych także i uposażenie gruntowe, co razem stanowiło przedmiot wartości wójtostwa. Stanowiło ono odrębny czynnik w mieście, do ktorego należała władza sądowa. Miasta większe i zasobniejsze starały się wszystkiemi siłami wykupić wójtostwo z rąk prywatnych i przyłączyć je do gminy. We Lwowie stało się to w r. 1378 w ten sposób, że Władysław Opolczyk pozwolił na wykupno z tem, że dwie trzecie części dochodów z sądownictwa kryminalnego przypaść miały jemu samemu, reszta zaś, to jest jedna trzecia, na rzecz miasta.

Po nabyciu wójtostwa stosunki ułożyły się w ten sposób, że wójt i ławnicy, teraz już wybierani corocznie przez miasto, mieli osobną kasę (*cista dominorum scabinorum*), z której corocznie odprowadzano do głównej kasy miejskiej, na podstawie rozliczenia się z wójtem, dochód przeznaczony na rzecz miasta.

Przywilej Władysława Opolskiego co do wykupu wójtostwa zatwierdził następnie Władysław Jagiełło w r. 1388, a czysty dochód, jaki z tego źródła płynął do kasy miejskiej, wynosił rocznie około 14 kóp groszy.

Inne źródła dochodu miejskiego nie dadzą się już ująć w pewien system jako przypadkowe, nadzwyczajne dochody z majątku gminnego, eksploatacja kamieniołomów, czy wyrób cegieł w cegielni miejskiej i t. d. Najgłówniejszemi z tych przedsiębiorstw miejskich były młyny i sadzawki rybne, a wśród nich murowana sadzawka w samym rynku, wynajmowana handlarzom dla chwilowego przechowania ryb, na sprzedaż przeznaczonych.

II. Monopole. Cały szereg, dziś już zupełnie nieznanych, a nawet po części niezrozumiałych uprawnień miasta, wyłącznie tylko jemu służących, jak waga, topnie łożu, wosku i srebra, postrzygalnia sukna etc., stanowiły obok majątku gminnego drugi bardzo ważny dział dochodów miejskich. Przejdziemy je po kolei, zbierając odnośne wzmianki w lwowskich księgach rachunkowych.

a) *Woskobójnia (tortorium cerae)*. Powszechny przedmiot handlu na ziemi i mlekiem i miodem płynącej, słynny wosk lwowski, zmonopolizowany był w średnio-wiecznym Lwowie kilkakrotnie. Żaden właściciel pasieki nie mógł wyrabiać wosku u siebie w domu, ale cały produkt razem z miodem niósł do wojskobójni miejskiej, gdzie mu za opłatą wybijano wosk. Utrzymywanie wojskobójni było wyłącznym uprawnieniem miasta, które prawo to za odpowiednim czynszem wydzierżawiało. Dochód z tego źródła bywał rozmaity, zależnie od kontraktu dzierżawnego, zwykle jednak 7 kóp groszy.

b) *Topnia wosku (liquefactorium cerae)*. Tak ze względu na bezpieczeństwo ogniowe, jak i ze względów fiskalnych żadnemu obywatelowi nie wolno było topić wosku u siebie w domu, ale nieść musiał swój surowiec do specjalne-

go zakładu miejskiego, gdzie mu go za pewną opłatą przetapiano: Zakład ten wydierżawiało miasto jednostkom prywatnym, a dzierżawca wnosił do kasy miejskiej czynsz coroczny, który we Lwowie wynosił przeciętnie 8 kóp groszy.

Gotowy wosk podlegał jeszcze jednej opłacie. Na poszczególnych kamieniach wybijano znak, czyli cechę miejską, która zastępowała do pewnego stopnia dzisiejszą markę fabryczną i dawała gwarancję dobroci towaru. Czynność tę w imieniu miasta załatwiał specjalista, t. z. *percussor cerae*; znowu za osobną opłatą.

c) *Topnia srebra (crematorium argenti)* przynosiła rocznie 10 kóp groszy czystego dochodu. O jej urządzeniu ani opłatach nic szczegółowego powiedzieć nie można poza tem, że każdy, pragnący przetopienia czy własnych sprzętów czy też pieniędzy, udawać się musiał do tegoż zakładu miejskiego, gdzie mu po przetopieniu wydawano czyste srebro i osobno miedź, która stanowiła jego przymieszkę.

d) *Postrzygalnia (rasorium, pannitonsorium, scher-gadem)* polegała na tem, że postrzygacz (*gewantscherer*) wymierzał sukno na łokcie, żądającym tego, przyczem chodziło o zapobieżenie oszustwu przy wymiarze towaru. Czynność tę ważną, wobec niepewności miar, dla kupujących zmonopolizowało miasto, wydierżawiając zwykłym trybem sam zakład osobom prywatnym. Dochód z tego źródła wynosił przeciętnie 6 kóp groszy rocznie.

e) *Waga miejska (pensatorium)*. Urzędowa i jedynie autentyczna waga była instytucją miejską. Korzystał z niej za opłatą każdy, kto chciał się przekonać o rzetelności wagi poszczególnych kupców — musieli jej zaś używać przedewszystkiem kupcy obcy, którzy w myśl prawa składowego sprzedać byli winni we Lwowie cały tutaj przeniesiony towar. Mimo, że Lwów posiadał prawo składu już za Ludwika węgierskiego, to prawo utrzymywania wagi miejskiej nadał miastu dopiero Władysław Jagiełło przywilejem z dnia 18. kwietnia 1415. W przywileju tym czytamy, że wolno będzie rajcom miejskim założyć wagę czyli dom, w którym wszystkie rzeczy sprzedajne, sposobne do ważenia, równą miarą i wagą mają być ważone.

Rachunków jednak i dochodów z wagi miejskiej nie notował pisarz w znanych nam księgach rachunkowych.

Widocznie prowadzoną była w tym względzie osobna księga, która zaginęła. Podobnie jak inne instytucje miejskie, była i waga miejska wydzierzawiona, a jej dzierżawca nazywał się *pensator*. Jedyna poza tem wzmianka w księgach rachunkowych, odnosząca się do wagi miejskiej, świadczy, że ważenie towarów niezawsze odbywało się spokojnie, skoro pewien Ormianin, Grzegorz, za to, że na wadze miejskiej przebił jakiegoś Rusina, za karę musiał dostarczyć miastu własnym kosztem 50 wozów kamienia.

f) Piwnica (*cellarium sub pretorio*). Wilkierz miejski z r. 1387 postanowił, że w całym mieście nikomu nie wolno sprzedawać wina, jak tylko miastu w piwnicach pod ratuszem, albo temu, komu miasto to prawo wydzierzawi. Odtąd też *census cellarii* stanowi stałą rubrykę dochodów miejskich.

III. Opłaty. Obok opłat sądowych, które szły do kasy ławniczej, znała administracja miejska za czasów Władysława Jagiełły i stosowała bardzo często kary. Były to kary przeważnie administracyjne, orzekane przez rajców bądź to w każdym specjalnym wypadku, bądź też na podstawie wilkierzy miejskich. Do pierwszej kategorii należą kary za wszelkiego rodzaju ekscesy, za szukanie sprawiedliwości u innych, niemiejskich sądów, za fałszywą wagę, niedostarczenie na termin listów polecających do obywatelstwa, a głównie za wybryki przeciwko magistratowi.

Osobny rodzaj kar stanowiły wilkierze miejskie z r. 1360, 1383 i 1386. Pierwszy z nich nakładał kary za bójki w mieście i porywanie się do miecza, inne były prawem przeciw zbytkowi (*leges sumptuariae*), stanowiąc karę za huczne wesela i chrzciny, ostatni wreszcie z zapisanych w najstarszej księdze miejskiej wilkierzy nakładał kary na kosterów.

Do rzędu opłat zaliczyć także należy datki, w nieznannej zresztą wysokości, składane przy otrzymywaniu obywatelstwa miejskiego.

IV. Podatki. Z podatków we właściwym tego słowa znaczeniu znanym był we Lwowie tylko *szo* (*exactio*) jako jedyny środek na wszystkie niedomagania finansowe. Nakładano go tylko w razie potrzeby państwo-

wej lub miejskiej, na podstawie uchwały rady miejskiej. Potrzeba ta zachodziła jednak stosunkowo bardzo często. W krótkim czasokresie trzynastu lat (1405—1417), w którym księgi miejskie notują pobór szosu, wybrano go dwanaście razy, z tego dwa razy od samych tylko Ormian, zresztą zaś od ogółu mieszkańców¹⁾.

Za każdym razem oznaczała rada miejska wysokość płacić się mającego podatku, dodając niekiedy i cel, na który on był przeznaczony, np. na wykupno ziemi Dobrzyńskiej, lub bieżące potrzeby miasta i t. p.

Szos składał się z podatków od domów, od majątku i z t. z. *arbitrium* (pogłównie). Podział ten miał na celu opodatkowanie wszystkich bez wyjątku obywateli miasta w miarę posiadanego majątku. Najwygodniejsze było opodatkowanie domów i te też przede wszystkim obciążano, przyjmując za jednostkę podatkową ów grunt, który przy pomiarze miasta i rozdziale placów między obywateli stanowił jednostkę gospodarczą (*area — domus*). Skutkiem wzrostu liczby mieszkańców place te poczynają się dzielić tak, że na jednym kilka powstawało domów. Wilkierze podatkowe uwzględniając jednak pierwotną jednostkę gruntową, stanowiły, że w razie jej przepołowienia zmniejsza się podatek do połowy i t. d. Wysokość tego podatku domowego była zmieniana dowolnie i corocznie. Jako regułę jednak przyjmuje dr. Kutrzeba od domu 20 gr.

Ale obok własności nieruchomości uwzględniały ustawy szosowe także majątek ruchomy w gotówce lub towarach. Majątek ten musiał być również opodatkowany i to procentowo. Przyjmowano więc grzywnę jako jednostkę i oznaczano wysokość procentu, mającego stanowić podatek, z reguły od jednej grzywny 1 grosz.

Poza właścicielami domów i kapitałów byli jeszcze ci, którzy ani jednego ani drugiego nie posiadali, a przecie mieli środki do życia, na przykład rzemieślnicy. Ponieważ i ich należało opodatkować, więc ustanowiono, że płacić oni mają *arbitrium*, to jest pogłównie, w stałej wysokości, z reguły po 10 gr. od osoby.

¹⁾ Dr. Stanisław Kutrzeba: Szos we Lwowie. Przew. nauk. lit.

W ten sposób podatek rozłożony był na wszystkich, z utrzymaniem zasady powszechności i z tendencją progresywną, to znaczy wyższego opodatkowania bogatszych.

Podatek musiał każdy podatnik przynosić osobiście do ratusza i składać przed wyznaczonym ku temu poborcą (*exactor*). Co do domów i pogłównego nie było żadnego kłopotu, tak, że można było wygodnie postanowić, że każdy zobowiązany do płacenia ma złożyć przypadającą na niego kwotę na stole. Trudniej natomiast było z majątkiem, który zawsze jest rzeczą do pewnego stopnia dyskretną i niekażdy lubi się publicznie chwalić tem, co posiada. Dla uniknięcia więc tych szkopułów poradzono sobie w sposób bardzo dowcipny. Oto posiadacz majątku składał przysięgę, że nic nie zatai, poczem oszacowawszy sam swój majątek, składał odpowiedni procent do skrzyni, tak, że nikt nie wiedział właściwie, ile on składa. Wielka doniosłość przysięgi w tych czasach była dostateczną gwarancją przed każdego rodzaju nadużyciem.

Przy poborze podatku asystował także pisarz miejski, który przedtem sporządzał w księdze rachunkowej spis obywateli zobowiązanych do opłacania podatku, a potem notował tylko, czy odnośny zapłacił, czy też pozostał winien. Dłużnicy podatkowi trafiali się bardzo często, a rachunki z nimi, częściowe spłaty, rekompensata wzajemna sporo zajmują miejsca w naszych księgach.

Obok szosu, który dotyczył wszystkich obywateli bez żadnego wyjątku, znano w średniowiecznym Lwowie dwa inne podatki, odnoszące się specjalnie tylko do pewnych klas ludności. Pierwszy z nich to podatek na bezżennych. Dla starych kawalerów nie było miejsca w ówczesnym Lwowie, tak samo jak dla ludzi nieposiadających własnego mieszkania. Jeżeli się zaś trafił jaki, to musiał opłacać specjalny podatek bykowy (*vectigal taurinum*), który miastu przynosił około 4 kopy groszy rocznego dochodu, a prowadzony był pod osobną rubryką (*cives carentes uxoribus et domicillis*).

Drugi podatek dotyczył wyłącznie handlarzy soli (*salsatores*), a opierał się na przywileju królowej Jadwigi z r. 1387, którym ustanowiono we Lwowie skład soli. Handlarzy solą było kilkunastu, a razem opłacali oni do kasy miejskiej około 4 kóp groszy rocznie.

Wreszcie posiadało miasto pewien bliżej nieokreślony dochód z zarządu i dzierżawy ceł królewskich. Z niejasnych i bardzo lakonicznych wzmianek w naszych księgach rachunkowych wynikałoby, że miasto dzierżawiło cła królewskie lwowskie i drohobyckie, a następnie poddzierżawiało je dalej. Jednym z takich poddzierżawców był w samym początku XV. wieku obywatel lwowski Piotr Folmar, który popadł w jakieś nieporozumienia rachunkowe ze skarbem królewskim. Wobec tego król przysłał rajcom lwowskim list z żądaniem, aby Folmar natychmiast się z tego wytłomaczył, „bo wszyscy jesteśmy śmiertelni“, a potem trudno jest zdawać rachunek. Jak się ta afera zakończyła, nie wiadomo, dość, że rajce sami musieli odbyć podróż do Medyki, gdzie król właśnie przebywał i tam zdać dokładny rachunek z cła.

Niejednokrotnie się też zdarzało, że pobrane za cło pieniądze zabierała sobie rada na poczet tego, co król był miastu winien, na ogół jednak sprawa dzierżawy ceł królewskich przedstawia się w świetle rachunków miejskich bardzo niejasno i żadnego nie daje wyobrażenia o wysokości dochodu, który stąd płynął dla miasta.

II. Wydatki.

I. Wydatki w sprawach publicznych. Państwowa przynależność Lwowa do Polski pociągała za sobą obowiązki pewnych świadczeń finansowych na rzecz skarbu państwowego, względnie królewskiego. Właściwie może tu być tylko mowa o wydatkach na rzecz króla, gdyż według średniowiecznych pojęć wszystkie dochody państwowe należały do władcy, on też pokrywał wydatki. W lwowskich księgach rachunkowych wydatki w tym kierunku traktowane są ściśle osobowo. Dawano je królowi do jego wyłącznej dyspozycji, chociażby były przeznaczone na ogólne potrzeby państwowe, jak np. wyprawy wojenne.

Trzy kategorie tego rodzaju wydatków znajdują lwowskie księgi. Pierwsza to podatek, szos królewski, składany na żądanie króla i w oznaczonej przez niego wysokości. Zwykle przed jakąś wojną lub większą koronną potrzebą ogłaszał król pisemnie, niekiedy obiegowo od miasta do miasta pobór szosu, oznaczał jego wysokość i zarządzał przecho-

wanie zebranej gotówki w kasie miejskiej aż do dalszego rozporządzenia.

Drugim rodzajem opłat królewskich były daniny i podarki przy sposobności różnych zdarzeń w domu królewskim, jak chrzciny, wesele, koronacya itp. Mimo całej formy grzeczności towarzyskiej i pietyzmu dla osoby królewskiej, miały te dary charakter prawny, a jako uświęcone zwyczajem stawały się obowiązkiem, którego spełnienia król domagał się bezwarunkowo. W liście na przykład zapraszającym rajców lwowskich na koronacyę królowej Elżbiety przypomina im Jagiełło starożytny zwyczaj, według którego miasta zobowiązane są do pewnych zasiłków (*certa subsidia*) na urodziny, zaślubiny i tym podobne uroczystości w domu królewskim. Ponieważ zaś na zaślubiny królowej Elżbiety rajcowie nie przyjechali, ani żadnego nie przywieźli prezentu, przeto tem bardziej powinni przyjechać z darami na niebawem nastąpić mającą koronacyę, na którą przybędzie wielka liczba dostojników, książąt i szlachty.

Poza tem obdarzało miasto króla przy każdej nadarzonej sposobności, tak dając wyraz uczuciom swoim wierноподданčzym, jak i we własnym dobrze zrozumianym interesie. O darach tych mówimy obszerniej na innem miejscu. Miasto zjednywało sobie za ich pomocą przychyłność królewską, wyzyskiwało przywileje, król zaś przyjmował je mile i chętnie, jakiegokolwiekby one były.

Wydatki na osobę królewską dochodzą do olbrzymich sum i stanowią największą rubrykę rozchodów miejskich, powtarzającą się z roku na rok. Tutaj też należy szukać głównego źródła długów miejskich, bo niejednokrotnie te właśnie wydatki przewyższały znacznie cały dochód miejski.

W związku z osobą królewską i ogólnymi potrzebami stoi trudny i bardzo dla miasta uciążliwy a kosztowny obowiązek dostarczania podwód dla króla, królowej i dworu królewskiego, dla różnych wysłanników królewskich, urzędników jadących w sprawach urzędowych, czasem nawet dla transportu broni i środków wojennych. Mimo, że obowiązek ten nie był uwidoczniiony w żadnym przywileju lokacyjnym, ani późniejszym nadaniu, miasto Lwów, jak wykazują poszcze-

gólne rubryki w rachunkach miejskich, pełniło go, z wielkiem utrapieniem swoim i wysiłkiem dla kasy miejskiej. Niejednokrotnie zdarzało się, że trzeba było dostarczyć pięćdziesiąt koni, co razem z wozami, żywnością i obsługą pociągało za sobą olbrzymie koszty. To też mieszczanie wszystkimi siłami starali się uwolnić od tego ciężkiego obowiązku.

Starania ich jednak odniosły częściowo pomyślny skutek dopiero w r. 1425. Przywilejem z 6. listopada tegoż roku uwolnił Jagiełło Lwów od dostarczania podwód, z wyjątkiem tylko wypadków, kiedy król lub królowa będą we Lwowie. W takich wypadkach na przewiezienie dworu i kuchni królewskiej miasto zobowiązane jest do dostarczenia podwód, w niewiększej jednak ilości, jak dwanaście koni.

II. Zarząd miejski. Dział ten wydatków miejskich związany jest ściśle z życiem municypalnym miasta, jego reprezentacją na zewnątrz, obroną prawną itp. Tutaj też przede wszystkim należą wydatki ratuszowe tak na samą konserwację i urządzenie budynku, jako też na utrzymanie kancelaryi i służby. Są to wydatki stałe, powtarzające się z roku na rok, mające w księgach naprzód już wypisane rubryki.

Budynek ratuszowy zwiększał się ciągle i przyozdabiał tak zewnątrz jak i na wewnątrz, a wydatki na taki cel notowane są z drobiazgową szczegółowością, tak, że za dalekoby doprowadziło, gdybyśmy je chcieli choćby tylko ogólnikowo wymieniać. Był to dom gospodarski, w którym samo miasto odgrywało rolę gospodarza, zaopatrzone był więc we wszystko, jak każdy dom mieszczanski, aż do kuchni i zastawy stołowej, tylko w większej ilości i z większym bogactwem a wystawnością.

Co do urzędników, to godności rajców i burmistrza były pozornie przynajmniej niepłatne. Pozornie, bo urząd radziecki i burmistrzowski posiadał tyle stron korzystnych nawet pod względem materialnym, że niedarmo stanowił on cel marzeń każdego mieszczanina, chociaż pracy i zajęcia dostarczał bardzo dużo. Tak bowiem burmistrz, jak i poszczególni rajcowie mieli pod swoją pieczę i nadzorem poszczególne działy gospodarki miejskiej i poszczególne

potrzeby czy zadania wykonywali sami, otrzymując pieniądze z kasy miejskiej w formie zaliczki do późniejszego rozliczenia się.

Płatną była natomiast kancelarya, na czele której stał pisarz (*notarius civitatis, statschreyber*), figura bardzo ważna w mieście i wpływowa. Gdy bowiem rajcy zmieniali się co roku, a burmistrz nawet co kwartału, to pisarz miejski był stałym, znał wszystkie tajniki gospodarki miejskiej, nadawał jej ciągłości, a nawet do pewnego stopnia kontrolował, wpisując wydatki poczynione przez rajców do ksiąg swoich. Człowiek piśmienny, obznajomiony ze wszystkimi formami i kruczkami prawnymi, umiejący trafić do każdego sądu i urzędu, stawał się pisarz prawą ręką radziecką, prawdziwym kanclerzem miasta, coś jakby ministrem spraw zewnętrznych i wewnętrznych republiki miejskiej, którą razem z rajcami reprezentował u dworu, w kancelaryi królewskiej, w sądzie, a nawet w naszych czasach wielokrotnie aż w Rzymie, gdy chodziło o pognębienie uroszczeń plebana Jana Rusina. On wystawiał wszystkie pisma i dokumenty miejskie i sam je redagował, on był piszącym piórem i wszystko dozierającym okiem ratusza, był jego radą, światłem, wytworną formą, a w wielu wypadkach i myślącą głową.

Płaca jego i wydatki na urządzenie mieszkania idą na czele wszystkich *registra officiorum*, a pobiera on ją w niedającej się stale oznaczyć wysokości na rozmaite raty i sposoby, w miarę przyływu gotówki w kasie, albo też w naturze, to znowu jako kosztą przedsięwziętych podróży. Do pomocy ma kilku pisarzy podrzędniejszych, zwyczajnie dwu, których opłaca miasto, podobnie jak i wszystkie wydatki kancelaryjne, to jest papier, pergamin, wosk zielony do pieczętowania aktów itp.

Do codziennej posługi, a zazazem do utrzymywania jakiego takiego porządku w mieście przeznaczeni byli słudzy miejscy (*famuli civitatis*). Było ich kilku, zwykle czteru lub pięciu, a oprócz płacy pieniężnej otrzymywali mundur (*tunica*) w naturze. Zakres ich działania był w całym tego słowa znaczeniu do wszystkiego, a czynności ich, o ile są przypadkowo wymienione, rozpraszają się na wszystkie możliwe posługi miejskie tak w samym mieście, jak i poza

miastem w czasie podróży rajców, lub w charakterze gońców i kuryerów miejskich.

Specjalnym funkcjonariuszem ratuszowym był też woźnica miejski (*auriga civitatis*) i kat (*tortor*), który zarazem spełniał policyjną sanitarną, wywożąc gnoje i śmiecie z miasta, zdechłe psy i koty, oraz inną padlinę.

Oprócz stałych poborów pobierali wszyscy słudzy miasta nie wyłączając i pisarza od czasu do czasu osobne remuneracje, w formie napiwków (*bibalia*), na których oznaczenie już wówczas znano piękny polski wyraz „posłuzne“.

Inną grupę wydatków stanowią podróże rajców (*reyze*). Sprawy miejskie wymagały wielokrotnie osobistej interwencji, delegacje miejskie na zjazdy generalne, lub uroczystości królewskie, interesy finansowe, procesy, wszystko to sprawiało, że rok rocznie, a czasem i kilka razy do roku urządzać musiano z ratusza dalekie wyprawy i bardzo kosztowne. Bo nie tylko w pieniądze zaopatrywano delegatów, ale we wszystkie środki żywności, nie wyłączając nawet napitku. Wyjeżdżał zwykle burmistrz w towarzystwie jednego rajcy i pisarza, czasami w sprawach mniejszej wagi sam pisarz wystarczał. Brak poczty wreszcie i konieczność szybkiego porozumienia nakazywała wysyłanie specjalnych gońców i kuryerów. Jako wydatek stały, corocznie się powtarzający, prowadzone są podróże radzieckie w osobnych rubrykach rachunków miejskich, chociaż wzmianki o nich znajdują się niejednokrotnie i w rubrykach wydatków ogólnych.

Z podróżami łączyła się też kwestya podarków (*honorationes*). Był to zwyczaj średniowieczny, który pod żadnym warunkiem nie może być utożsamiony z łapownictwem. Dawano podarki w pieniądzech i w naturze każdemu dostojnikowi, który jakkolwiek mógł miastu przynieść korzyść, neutralizowano w ten sposób niezyczliwość lub obojętność, zyskiwano poparcie, dobre słowo u króla, prędsze wygotowanie aktu, szybsze załatwienie sprawy podarunkiem niekiedy bardzo trywialnym, jak para butów, beczka piwa, trochę pieprzu itd. Gdyby ktoś zadał sobie trudu i zechciał na podstawie rachunków miejskich sporządzić spis tych wszystkich, którzy za czasów Władzy-

sława Jagiełły otrzymali prezenta od miasta, to byłyby to spis wszystkich osób wpływowych w całej współczesnej Polsce, a same te podarunki złożyłyby się na olbrzymi magazyn wszelakiego rodzaju przedmiotów, od wiktuałów, korzeni, do sukna i jedwabiu, od skórek zajęczych do wschodnich kobierców. Brali wszyscy, od kanclerza począwszy aż do ostatniego skryby w kancelaryi, wszyscy dostojnicy świeccy i duchowni, goście królewscy i jego dworzanie, zarówno lwowski starosta, jak mołdawski wojewoda, zarówno kasztelan, jak i starościna.

Ale nie tylko samymi podarkami i powziętkami regulowała się życzliwość dostojników dla miasta. Niejedną zawiałą kwestyę rozstrzygnął, lub miejską potrzebę zaspokoił bankiet na ratuszu, środek w polityce komunalnej średniowiecznych miast stosowany bardzo często, tak, że w budżecie miejskim stała a poważną rubrykę roczną obejmował, pod tytułem „*prandia*“. We Lwowie jeden bankiet rocznie należał do zasadniczych obowiązków miejskich. Był to bankiet na cześć starosty grodu lwowskiego w czasie elekcyi rajców w dniu 22. lutego. Poza tem przy każdej sposobności, za przyjazdem każdego dostojnika poważne izby ratuszowe zamieniały się w sale bankietowe, pełne gwaru i wesołości, a sam ratusz pełen był zapachów kuchennych ostro przyprawnych, bo pieprzu ani imbiru nie żałowała ratuszowa kucharka, zwykle któraś rajczyni. Dobywano zastawę stołową miejską, z piwnic ratuszowych szły beczki wina i piwa, a na drugi dzień pisarz skrzętnie notował ilość zjedzonego i wypitego towaru i biedził się, skąd zapłacić za wiktuały pobrane na kredyt.

Tam, gdzie ani podarek nie starczył, ani bankiet, tam przychodził proces. Miasto Lwów procesuje się ciągle i co jest rzeczą bardzo charakterystyczną — przeważnie z duchowieństwem. Olbrzymie koszta procesu z plebanem, które jak czarna nić przewijają się w rachunkach miejskich, przyniosły na ratusz lwowski to jedno doświadczenie, że droga do Rzymu i tamtejszych instancyi jest tak niepomierne kosztowna, że cały dochód miejski na nią nie starczył. Dlatego też we wszystkich późniejszych sporach z duchowieństwem, czy to gdy chodziło o pobicie jakiegoś kleryka, czy o zarząd szpitalny, szukano przedewszystkiem za każdą

cenę ugody polubownej, choćby ta kończyć się miała jak najobfitszą nawiązką dla rzekomo poszkodowanego.

III. **Bezpieczeństwo i wygoda.** W średniowiecznym Lwowie publiczna straż bezpieczeństwa znajdowała się dopiero w zawiązku. Służba ratuszowa i dwu stróżów na bramach Krakowskiej i Halickiej wystarczało w normalnych czasach zupełnie do utrzymania porządku i spokoju. Reszty dokonywała samoobrona obywatelstwa, regulowana wilkierzem miejskim o zbyt pochopnem porywaniu się do miecza i ustrój cechowy, na zewnątrz zaś zapewniały bezpieczeństwo fortyfikacje miejskie, jedna z największych rubryk rozchodowych miasta, którą omówiliśmy szczegółowo w jednym z poprzednich rozdziałów.

W zamian za ciężary miejskie i podatki dostarczało miasto swoim mieszkańcom całego szeregu instytucji powszechnego dobra, ponosząc albo całkowicie koszt ich stworzenia i utrzymania, albo też pobierając za ich używanie stosowne opłaty. Do najważniejszych zadań komunalnych należało zaopatrzenie miasta w wodę.

Dla wygody mieszkańców utrzymuje miasto dalej pasterzy pędzących bydło mieszczan na wiejskie pastwisko, a nawet... buhaja miejskiego, utrzymuje brukarza (*bruckner*), cieślę, puszkarza, zegarmistrza i innych funkcyonaryuszy, zgodzonych do spełnienia pewnych tylko i jednorazowych czynności. Gotowe jest też miasto wynagrodzić w każdym poszczególnym wypadku obywatelowi szkodę w interesie publicznym poniesioną, czego dowodem jest wydatek siedmiu wiardunków w r. 1406 wypłaconych piekarzowi Andrzejowi za wylane dla ugaszenia pożaru przy ul. Krakowskiej... piwo.

IV. **Kościół i dobroczynność.** Na innem miejscu mówimy o hojności mieszczaństwa na cele kościelne. W równej mierze i miasto, jako takie, nie szczędziło grosza na potrzeby kościelne, a płaciło go z funduszków publicznych tak z dobrej woli, jak i z obowiązku. Do pierwszej kategorii wydatków, odbijających się i na budżecie miejskim, należało urządzenie nabożeństw w katedrze, utrzymanie ołtarza radzieckiego tamże, udział w uroczystościach kościelnych, do drugiej zaś ciężary duchowne, jak dziesięcina, meszne, opłaty z dwu łanów miejskich na rzecz arcybiskupa itd.

W ścisłym związku z kościołem była szkoła, do której utrzymania przyczyniało się miasto, tak w naturze (naprawa i adaptacye budynku szkolnego koło katedry) jak i opłacaniem nauczyciela.

Główną instytucją dobroczynną miejską był szpital św. Ducha, fundacya stara, dobrze dotowana prywatnymi zapisami i pod wspólnym zarządem miasta i kościoła pozostająca. Wspólność zarządu była przyczyną wielu sporów i nieporozumień kosztownych, a i sam zarząd, jak niemniej datki w pieniądzach i w naturze na rzecz chorych szpitalnych, tu i ówdzie w rachunkach uwidocznione, stanowiły również rubrykę miejskiego rozchodu.

Dla osobliwości wreszcie dodać należy, że w obydwu księgach rachunkowych z czasów panowania Władysława Jagiełły raz tylko jeden jedyny znalazł się magistrat w tem położeniu, że utrzymywać musiał bezdomną sierotę, którą dał na własny koszt w prywatne ręce na wychowanie.

III. Długi miejskie.

Ziemia w średnich wiekach nie była zanadto wydatnem źródłem dochodu, zwłaszcza na Rusi, gdzie jej tyle było nieuprawnej i odłogiem leżącej. Dlatego i uposażenie Lwowa, jakkolwiek hojne i wielkie obszary ziemi obejmujące, nie mogło przynieść tyle dochodów, ażeby starczyło na opędzenie wszystkich zobowiązań miejskich. Nie starczyły na to i wszystkie inne stałe a niestałe dochody miejskie, mimo różnego rodzaju źródeł, z jakich płynęły i mimo znacznej siły podatkowej lwowskiego mieszczaństwa. Zresztą dochody miejskie Lwowa nie dorównywały ani swą wydatnością, ani mnogością źródeł dochodowych Krakowowi. Tam bowiem już za Władysława Jagiełły gospodarka miejska znajdowała się na wyższym stopniu rozwoju, wytwarzając szereg nieznanych jeszcze we Lwowie monopolów, instytucyi, podatków i opłat.

Stąd się tłumaczy fakt, że Lwów średniowieczny tak często i tak łatwo popadał w trudności finansowe, na które jedynym środkiem zaradczym było zaciąganie długów. Przeglądając miejskie księgi rachunkowe, ma się czasami wrażenie, jakby się przeglądało rejestry człowieka lekkomyślnego, który zaciąga długi na wszystkie strony, nie dbając o to,

skąd je i czy będzie mógł spłacić, bez względu na dzień jutrzejszy, z wykluczeniem jakichkolwiek planów amortyzacyjnych. Gdzie tylko pokazał się na horyzoncie jakiś kapitalista, jakiś ksiądz zasobny, lub Żyd pieniądze, tam zaraz zjawiali się rajce miejscy razem z pisarzem, albo sam pisarz i tam zaraz, z większemi lub mniejszemi trudnościami, dochodziła do skutku pożyczka na warunkach zwykle bardzo uciążliwych, równających się niekiedy lichwie w dzisiejszem, najgorszem tego słowa znaczeniu.

Z drugiej jednakowoż strony nie trzeba zapominać, że stosunki kredytowe w średnich wiekach były dopiero w zątku i że miasta były właśnie tym czynnikiem, które gospodarkę na kredycie opartą poczynają rozwijać i wydoskonalać. Obrót pieniężny opierał się ciągle jeszcze na ziemi i nieruchomości, a pożyczki dokonywały się najczęściej w formie zastawu. Kościół bowiem wykluczał pobieranie procentów, a zastaw użytkowy był formą jedyną, w której pożyczający mógł mieć ze swego kapitału jakiś dochód. Dlatego też każda pożyczka musiała mieć podkład w ziemi lub i innych nieruchomościach, a jeżeli jej nie miała, w rzadkich wypadkach, to opartą była tylko na wzajemnem zaufaniu, albo na lichwie żydowskiej, wolnej od przepisów prawa kanonicznego.

Z ksiąg rachunkowych lwowskich trudno dojść, jakiego rodzaju dobra swoje czy dochody zastawiał Lwów na zabezpieczenie i procent zaciąganych przez siebie pożyczek. Natomiast znanymi są bardzo dobrze wierzyciele miasta. Koło ich jest bardzo szerokie, pożyczano bowiem pieniądze od każdego, kto je miał tylko.

A więc przede wszystkim od bogatszych mieszczan, dalej od bogatszego duchowieństwa, wśród którego pleban halicki, drohobycki, a nawet biskup przemyski figurują na liście wierzycieli Lwowa. Pożyczano także od szlachty, od Żydów, z poszczególnych funduszków miejskich, jak z funduszu na budowę katedry, lub z funduszu szpitalnego, brano niejednokrotnie towar w formie pożyczki, który następnie sprzedawano, pobierano zaliczki na poczet przyszłych wpłat, pobierano na kredyt towary potrzebne do codziennego użytku itd.

Gdy zaś długi poczynały już zanadto doskwierać, a wierzyciele stawali się zbyt natarczywymi, rozpisywano nowy podatek, „szos“, którym łątano co ważniejsze dziury i tak szła ta gospodarka z dnia na dzień, bez planu i bez dalszych widoków.

Taką jednak, jak we Lwowie, była ona wszędzie w średnich wiekach, a w samem państwie była nawet znacznie gorszą. Bo czas tamtejszy niewiele znał zasad ekonomicznych, a te, które znał, znajdowały się dopiero w stadium początkowym i wyłącznie tylko na gruncie miejskim rosły. Z miast też brało je i stosowało u siebie państwo.

VII. MENNICA.

KWARTNIKI I DENARY RUSKIE KAZIMIERZA W., WŁADYSŁAWA OPOLCZYKA I LUDWIKA WĘGIERSKIEGO. WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY: PÓŁGROSZKI RUSKIE I LWOWSKIE. MINCARZE. MENNICA. PRZEJŚCIE DO JEDNOLITEJ MONETY PAŃSTWOWEJ.

O średniowiecznej mennicy lwowskiej tyle tylko wiadomo, ile powiedziały wyszłe z niej egzemplarze monet. Zresztą żadnej prawie notatki, żadnego aktu, przywileju menniczego, z wyjątkiem kilku luźnych wzmianek w księgach ratuszowych miejskich i kilku nic nie mówiących nazwisk mincarzy.

Pamięć istniejącej jeszcze za Władysława Jagiełły mennicy we Lwowie zaginęła tak rychło i tak doszczętnie, że przez cały okres Rzeczypospolitej nikt o niej nie wiedział, a i we Lwowie taki na przykład autor kroniki miejskiej w XVI. w. Alembek niewyraźną o niej zasłyszał tradycję, nie wie już nic o niej Zimorowicz, a nawet Zubrzycki w dziewiętnastym wieku prawi o niej, jak o żelaznym wilku.

To też gdy po zawaleniu się wieży ratuszowej w roku 1827 posypały się z rozbitej gałki szczytowej drobne blaszki o niewyraźnych znakach, gdy „ojciec monet ruskich“ Ignacy hr. Łoś zobaczył, że to całkiem prawie nieznanne typy numizmatyczne i gdy sfera pauprów ulicznych, rozesłana przez księgarza Kajetana Jabłońskiego, znosić mu poczęła takie same monety z gruzów Wysokiego Zamku, z koryta Pełtwi, z wypłukanych deszczem piasków — zdumienie wśród polskich numizmatyków zapanowało tak w Warszawie jak i Krakowie, posypały się opisy i dociekania, a wśród nich cena amatorska poszczególnych egzemplarzy rosła niepomieranie.

Przyszły potem wykopaliska w Dobrosinie koło Żółkwi, wykopalisko trembowelskie, rohatyńskie, w Bakowcach koło Brzeżan, w Komarowie koło Halicza, w Jarmolińcach na Podolu. Zasiadł nad nimi ks. Jan Stupnicki, wsłuchał się w niemą mowę świadków zapomnianego czasu, a sama moneta na pół zatartym swoim napisem, rysunkiem, wyrobem, próbą srebra, wagą, czasem myłką mincarza opowiedziała mu cały jeden rozdział polskiej myśli skarbowej i politycznej ¹⁾.

A więc naprzód monety srebrne z ukoronowaną gotycką literą K pośrodku i napisem „*Regis Polonie*“, na odwrocie lwa ruskiego mające i napis „*Moneta Domini Russie*“ i małe pieniążki miedziane z takąż ukoronowaną literą K i królewską koroną na stronie odwrotnej zaświadczyły, że bił je Kazimierz Wielki umyślnie dla świeżo zajętej Rusi, której panem został po Jerzym Trojdenowiczu. Monety, z wyjątkiem napisów, były te same, co je w Polsce nazywano kwartnikami, jako że cztery ich szło na grosz szeroki, dobre zaś srebro czternastej próby zaświadczyło, że bił je Kazimierz Wielki w pierwszej połowie swojego panowania, wówczas, kiedy jeszcze moneta znacznieszą przymieszką miedzi nie była popsuta.

Inaczej było z ową drobną monetą miedzianą, którą zwano ruskimi denarkami. Nie było w tych czasach w Polsce, jak zresztą i na całym Zachodzie, wcale monet miedzianych. To też miedziane denarki Kazimierza Wielkiego są zjawiskiem w średniowiecznej numizmatyce niezwykłym, którego źródła szukać można tak samo w tanioci potrzeb życia codziennego, jako też i w częstych stosunkach z cesarstwem bizantyńskim, gdzie wówczas kursowała tylko moneta złota i miedziana. Moneta Kazimierza Wielkiego była wogóle zupełną nowością na Rusi. Dotąd bowiem nie bili jej wcale książęta halicko-ruscy, a rolę pieniędzy spełniały kawałki rębanego srebra.

Zupełnie do Kazimierzowskich podobne kwartniki, czyli ćwierćgroszki srebrne, mające zwykle na sobie gotycką literę W bez korony, z otokowym napisem „*Wladislaus Dux*“,

¹⁾ Ks. Jan Stupnicki: O monetach halicko-ruskich. Bibl. Ossol. poczet nowy. Tom VII. Lwów 1865.

na drugiej zaś stronie lwa ruskiego i napis „*Moneta Russie*“, miedziane zaś denarki samą tylko literę W i koronę na drugiej stronie. Są to monety Władysława ks. Opolskiego, który z ramienia króla Ludwika węgierskiego i polskiego zarządzał Rusią od roku 1372 do 1379.

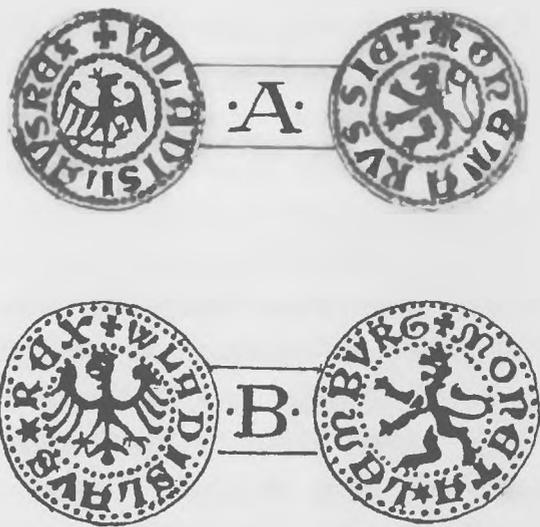
Skoro potem król Ludwik umyślił przyłączyć Ruś razem ze Lwowem na stałe do Węgier i odebrał jej zarząd Władysławowi Opolskiemu, bił dla Rusi znowu kwartniki i znowu denarki, z których pierwsze miały po jednej stronie literę L ukoronowaną i napis „*Lodovici R. Ungarie*“, ze strony drugiej lwa ruskiego i w otoku „*Moneta Russie*“.

Odzyskana napowrót przez Jadwigę i Jagiełłę Ruś miała pierwotnie w ustroju państwa polskiego do pewnego

stopnia odrębne stanowisko, które się wyraziło także w osobnej autonomicznej monecie Jagiełły. Były to półgroszki, z licszego niż dawniej srebra, z orłem polskim i napisem „*Wladislaus Rex*“ po jednej, a lwem ruskim i napisem „*Moneta Russie*“ po stronie drugiej. W czasach późniejszych miasto półgroszków ruskich pojawiają się półgroszki lwowskie z herbem miasta, wspinającym się lwem i napisem

„*Wladislai Regis*“ po jednej stronie, po stronie zaś drugiej z herbem polskim i napisem „*Moneta Lemburg*“, w różnych odmianach. Natomiast co do miedzianych denarków z ukoronowaną literą gotycką W nie są numizmatycy dotychczas w zgodzie, czy należy je przypisać Jagielle, czy też Władysławowi Opolczykowi, chociaż duże prawdopodobieństwo przemawia za tem, że są to denarki właśnie Jagiełły.

Wszystkie one monety bite były według stopy menniczej polskiej. Z szesnastołutowej grzywny szczerego srebra bito 48 groszy szerokich, albo 96 półgroszy, albo 192 kwartników, to jest po 4 na grosz. Od roku 1396 szło 6 kwartników na grosz, czyli 288 na grzywnę. Liczono także na



Monety ruskie i lwowskie Władysława Jagiełły.
A półgroszek ruski, B półgroszek lwowski.

wiardunki (*fertones*) po 12 groszy, skojce po 24 groszy, najczęściej jednak na kopy po 60 groszy. Jeden grosz zawierał wreszcie 12 denarów¹⁾.

W tak jednak handlowem, różnojęzycznym i różnorodnym mieście, jak Lwów, kupczono każdym pieniądzem, jaki się tylko na targu pojawił. Stąd też najrozmaitsze rodzaje monety kursowały we Lwowie, najrozmaitsze ich określenia przechowały akta, a ta z nich była najchętniej widzianą, która była wewnętrznie najlepsza, najmniej miedzi w sobie zawierała i najbardziej się zbliżała do grzywny szczerego srebra. Dlatego też już w czasach Ludwika węgierskiego odróżniano bardzo skrupulatnie szerokie grosze polskie od obiegowej monety ruskich kwartników, które miały daleko niższą próbę srebra od tamtych. Zwłaszcza przy większych wypłatach zastrzegano się niejednokrotnie, że połowa sumy na przykład zapłaconą ma być w monecie obiegowej (*marca usualis seu ruthenicalis pagamenti*, czasem *lemburgensis pagamenti*), a druga połowa w szerokich groszach polskich (*marca polonialis monetae*). Przyjmowano jednakże równie chętnie grzywny wagi pruskiej, jak nawet frankfurckiej, złote dukaty, które obliczano na 75 groszy szerokich, dukaty tatarskie, liczące półtrzecia dukata zwykłego, węgierskie, dalej grosze czeskie i t. d.

Poza tem, co powiedzieć mogą same monety napisami swymi, wagą etc., jest jeszcze cały szereg kwestyi do wyjaśnienia, które na podstawie fragmentarycznego materiału wyjaśnić niezmiernie trudno.

Pierwsze archiwalne wzmianki o monecie ruskiej zawarte są w najstarszej księdze Archiwum miejskiego. Akta nazywają ją monetą zwykłą obiegową. Kwartniki ruskie nazywają się *grossi parvi*, w przeciwieństwie do polskich groszy szerokich. Już wtedy jednakowoż grosze małe mniej chętnie są brane niż polskie i przy wypłatach niejednokrotnie się zastrzegano co do stosunku obydwu rodzajów monety.

W roku 1383 znajdujemy pierwszą pośrednią wzmiankę o mennicy we Lwowie. Przed aktami miejskimi staje

¹⁾ Fr. Piekosiński: O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV. i XV. w. Kraków 1878.

mianowicie Mamosz, Ormianka, wdowa po Iwanie mincarzu i zastrzega sobie 15 grzywien na łanie t. z. tatarskim.

W roku następnym 1384 Awacharun Ormianin, syn Iwana niegdyś mincarza, zeznał skrypt dłużny na 20 grzywien obiegowej monety, które winien obecnemu mincarzowi Bogdanowi, a na zabezpieczenie których daje mu w zastaw dwa domy swoje.

W roku 1386 Awacza Ormianin, zięć niegdyś Iwana mincarza, zastawił dom swój, naprzeciw domu „pięknej“ Doroty położony, za 12 marek Jakóbowi, synowi Bogdana także niegdyś mincarza. W roku 1389 wreszcie pani (*provida domina*) Mamosz, wdowa po Iwanie mincarzu, razem ze synem swoim Awacharunem sprzedaje za 22 grzywny grunta swoje koło drogi Halickiej razem ze stawem rybnym, leżącym przed domem i wszystkimi innymi budynkami Michałowi Axowi, pisarzowi miejskiemu. Tenże Awacharun żył jeszcze w roku 1407, jak to wynika z rejestrów podatkowych.

Oto wszystko, co wiemy o najstarszej mennicy lwowskiej i jej mincarzach. Iwan Ormianin nie żył już w roku 1383, a zatem bił monetę za Władysława Opolczyka. W jakim jednak charakterze? Sądząc z wielkości majątku, który pozostawił, i z wielkiego uszanowania aktów, które wdowę po nim w niezwykły sposób „panią“ tytułują, przypuszczać można, że nie stawał on za kowadłem w mennicy bezpośrednio, ale być może był jej dzierżawcą z ramienia Władysława Opolczyka i bił monetę na własny rachunek, opłacając stosowny czynsz księciu.

Za bezpośredniego na Rusi panowania Ludwika węgierskiego był we Lwowie mincarzem Bogdan, również Ormianin, który znika w roku 1386, na kilka miesięcy przed zajęciem Lwowa przez królowę Jadwigę.

W pierwszych latach panowania Władysława Jagiełły księgi rachunkowe miejskie nie interesują się wcale mennicą, niema też żadnego mincarza, któryby siedział na prawie miejskim i jakiegokolwiek daniny do kasy miejskiej opłacał.

Nie wynika z tego jednak wcale, żeby we Lwowie nie było mennicy, zwłaszcza, że od roku 1404 i 1405 wspomniane już bywają groszyki lwowskie (*grossi lemburgenses*) jako będące w obiegu, a moneta obiegowa odróżniana

jest ściśle od grzywien i groszy polskich, które to ostatnie znachodzą coraz częstsze zastosowanie. Ponadto, jak to wykazał prof. Piekosiński, najlepsze półgrosze ruskie tegoż króla, a zatem najdawniejsze, wykazują taką stopę, jaka się znajduje w monecie polskiej, bitej po zaprowadzeniu reformy monetarnej w roku 1396. Jeżeli przeto odrzucimy z wielu względów nieprawdopodobny domysł, jakoby mennica krakowska dostarczała groszy stempla ruskiego i lwowskiego, to pozostanie tylko przyjąć, że król bił monetę we Lwowie na własny rachunek i własnymi mincarzami, których domy podlegały jurysdykcji grodu i starosty lwowskiego, a zatem z miastem i jego księgami nie potrzebowały mieć nic wspólnego.

Nagle jednak około roku 1408 miasto poczyna się żywo interesować mennicą i wybijaniem monety. Wbrew twierdzeniu Piekosińskiego nie znaleźliśmy wyraźnej wzmianki, jakoby mennica lwowska w tym roku miała pogorzeć. Natomiast przytacza prof. Piekosiński z ksiąg krakowskich wydatek 5 groszy za wygotowanie i doświadczenie w topni srebra próby, przeznaczonej do lwowskiej mennicy (*pro proba in crematorio probata ad monetam lemburgiensem*), we współczesnej zaś księdze rachunkowej miejskiej znajdujemy następujące pozycje, mające związek z mennicą:

Przedewszystkiem pisarz miejski Jan jeździł do króla w sprawie mennicy, za co tytułem kosztów otrzymał raz 2 kopy groszy i 2 fl., po raz drugi grzywnę polską i 20 gr. Jaka to była sprawa, trudno wyrozumieć z niejasno wystylizowanej wzmianki (*in facto monete in przypust consumpte*). Być może, chodziło tu o myto (przypust) albo też o mennicę zniszczoną jakąś katastrofą (przypust — dopust)¹⁾. W ostatnim wypadku rezultat jazdy byłby pomyślny, bo już w lecie tegoż samego roku 1408 miasto zapłaciło 70 groszy cieśli Czewemu za roboty około monety (*pro laboris ad monetam*), a wkrótce potem 84 gr. Albertowi kowalowi za roboty około monety i jeden wiardunek za żelaziwo ku temu. Wreszcie w tymże samym roku w rubryce wydatków miejskich znajdujemy dużą wypłatę 27 grzywien polskich na monetę (*ad monetam*).

¹⁾ Por. Słownik Lindego.

Taki sam wydatek z powodu monety (*ex parte monete, de moneta*) powtarza się w roku 1410, kiedy miasto po obrachunku z Janem Zommersteynem potrąca sobie z tego tytułu 12 kóp groszy, i w roku 1411, gdzie wśród wydatków na króla postawiono na pierwszym miejscu 100 kóp groszy wypłaconych tytułem monety (*de moneta*).

Nieco później, bo w roku 1414 pojawia się na bruku lwowskim mincarz Donat ze synem swoim Jakuszem i obaj płacą do kasy miejskiej podatek, obaj też znikają z miasta czem prędzej, bo już w następnym roku nic o nich nie słyhać.

Oto cały zasób naszych wiadomości o mennicy lwowskiej za Władysława Jagiełły. Z rokiem 1414 lub 1415 zamyka się stanowczo jej działalność i w tych też czasach po raz ostatni wspominają rachunki miejskie o groszach lwowskich.

W ten sposób ustalićby można dwa, prawdopodobnie, okresy jej działalności.

W pierwszym, zaraz w początkach panowania Władysława Jagiełły wybijała ona tradycyjne od czasów Kazimierza Wielkiego półgroszki ruskie, według stopy menniczej polskiej, z symbolicznem zachowaniem odrębności Rusi (lew ruski i napis *moneta Russiae*), z równoczesnem zaznaczeniem osobistego władztwa króla i przynależności do Polski (orzeł Polski i napis *Wladislaus Rex*).

Bitą początkowo ze srebra dobrego, dzieliła moneta los monet polskich, stając się coraz gorszą na wadze i pod względem próby srebra, aż wreszcie około roku 1404 znika zupełnie.

Jej miejsce zajmują w tym czasie groszyki lwowskie, bite również według stopy polskiej, a od półgroszków ruskich różne tylko napisami i pogorszeniem wewnętrznej wartości. Miasto Lwów nie bierze zrazu żadnego udziału w wybijaniu tej monety, która wobec tego nie jest miejską, bitą na zasadzie jakiegoś przywileju na własny rachunek miasta, ale, podobnie jak poprzednia, królewską.

Dlaczegoż jednak zmieniono formę jej napisów? Dlaczego zamiast ruskich przyszły półgroszki lwowskie? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo łatwa, chociaż dotychczas w literaturze niedość jasno postawiona. Wiadomo, jak za

Jagiellły Ruś traciła jedną po drugiej cechy swojej odrębności, jak stosunki prawne, administracyjne i t. d. coraz się bardziej upodobniały do polskich, jak wreszcie Ruś stopniowo a stale stawała się integralną częścią państwa polskiego. W takim stanie, prędzej czy później musiała przyjść kolej i na monetę ruską, której choćby symboliczna odrębność coraz mniej odpowiadała rzeczywistości i prawnopaństwowemu stosunkowi do Polski.

Doraźne jednak zniesienie autonomicznej monety ruskiej nie było może wskazane z rozmaitych względów. Należało tedy szukać jakichś form przejściowych, do czego nadawała się przedewszystkiem powaga i rosnące znaczenie miasta Lwowa. To też zamiast pod imieniem Rusi, bić poczęto monetę pod imieniem tejże Rusi stołecznego miasta, które z dniem każdym stawało się coraz bardziej prowincjonalną stolicą Polski. Przykład miasta Wschowy, które w tych czasach, przynajmniej teoretycznie, uzyskało prawo bicia własnej monety, jak niemniej Poznania, które w roku 1410 otrzymało prawo bicia drobnej monety denarowej pod godłami królewskimi, mógł i dla Lwowa stanowić dogodny przykład, napisy zaś na groszach praskich lub krakowskich za Kazimierza Wielkiego dawały gotową formę.

Taką jest prawdopodobnie geneza groszyków lwowskich. Znikł na nich herb Rusi i napis *moneta Russiae*, a jego miejsce zajął herb miasta Lwowa (lew wspinający się do góry) i napis *moneta lemburgiensis*, moneta nie prowincyi o pewnej odrębności, ale miasta polskiego, partykularnej stolicy Polski.

Ze zmiany tej zamierzyli, zdaje się, skorzystać mieszczanie lwowscy. W chwili, gdy z hojnej ręki królewskiej sypały się na miasto przywileje jak z rogu obfitości, gdy na potrzeby państwowe łożyło ono olbrzymie sumy, a samo wreszcie porastało w coraz większy dobrobyt i znaczenie — nicby nie było dziwnego, gdyby na ratuszu zrodziła się była myśl uzyskania przywileju mennicznego, prawa bicia własnej monety, choćby z podziałem zysku na rzecz królewską, albo przynajmniej wydzierżawienia dotychczasowej mennicy królewskiej.

Z takimi, zdaje się, instrukcjami jechał w roku 1408 pisarz miejski Jan do króla i przywiózł widocznie jakieś obietnice czy gwarancje, skoro miasto tak żwawo zabrało się do urządzenia mennicy własnym kosztem. Na przyszłego zarządcę nowej instytucji upatrzony został widać Jan Zommerstejn, do skarbu królewskiego zaś płać miano odpowiednią kwotę, sądząc zaś z tego, co zapłacono w roku 1411, 100 grzywien. Postarało się też miasto o własnego mincarza.

Wtem ginie nagle wszelki ślad mennicy we Lwowie. Niema o niej najmniejszej nawet wzmianki w księgach rachunkowych, co wobec drobiazgowości rachunków jest niezawodną wskazówką, że mennica przestała istnieć, a przynajmniej miasto jako takie przestało mieć z nią cokolwiek wspólnego. Dosłownie w tym samym czasie, około roku 1414, ginie i w księgach miejskich krakowskich wszelki ślad ruchu mennicy i nie pojawiają się już więcej mincarze.

Czegoż to równoczesne zamknięcie mennic krakowskiej i lwowskiej dowodzi? Oto, że prawo bicia monety przestało być wyłączną własnością króla, jego *regale*, a stawało się własnością państwa, dążącego do jednolitej państwowej monety. Sprawa ta uregulowaną została ostatecznie na zjeździe w Czerwińsku w roku 1422, gdzie król Władysław Jagiełło przyrzekł, iż bez zezwolenia panów rady monety w królestwie bieżącej, ani też innej bić nie będzie.

W ten sposób ustała mennica lwowska i to właśnie w chwili, kiedy miasto było na najlepszej drodze do uzyskania własnego przywileju menniczego.

Razem z mennicą zagięły i grosze lwowskie. Po raz ostatni, jak to już wyżej wspomnieliśmy, liczą nimi rachunki miejskie w roku 1414.

Ale nawet i w tych czasach, kiedy mennica lwowska była w ruchu, rachuba na grosze lwowskie i ruskie jest stosunkowo bardzo rzadką. Wśród najrozmaitszego rodzaju monety, jaka krążyła po Lwowie, najczęściej powtarza się w pierwszej ćwierci piętnastego wieku grzywna polska, którą uiszczano wszystkie wypłaty zewnętrzne, tak na dwór królewski, jako też zamiejscowym wierzycielom miasta.

Stopa lwowska obowiązywała w szczerpym zakresie stosunków codziennych.

Z tem wszystkim jednak moneta ruska, szczególnie za czasów Jagiełły, a zwłaszcza grosze lwowskie są zjawiskiem wyjątkowem i egzotycznym w stosunkach pieniężnych. Jeżeli w dzisiejszych czasach były jakie wykopaliska monet ruskich i lwowskich, to zawsze tylko w obrębie i okolicach Lwowa i na samej Rusi, wyjątkowo zaś znaleziono je także koło Przeworska i na Wołoszczyźnie. Dalej monety ruskie nie sięgały, nie znano ich i nie przyjmowano w wypłatach i zapomniła też o nich bardzo rychło pamięć ludzka. Potrzebne były jako coś przejściowego, jako wyraz autonomicznego stanowiska Rusi, znikły zaś z resztkami odrębnej organizacyi Rusi, gdy ich już nie było potrzeba, gdy spełniły swoją rolę.

Mimo przeróżnych odmian w napisach i rysunku, które zna numizmatyka i po których domyśla się, czy przypadkiem niektóre z nich nie były bite w Krakowie i w którym czasie poszczególne odmiany mogły powstać — są monety ruskie i lwowskie dziś do pewnego stopnia rzadkościami numizmatycznymi. I nie będziemy może zanedo odległymi od prawdy, jeżeli jako na przyczynę tej rzadkości wskażemy na dwa rozporządzenia królewskie o... fałszywej monecie¹⁾.

Pierwsze, wystosowane do starostów i burgrabiów ziemi lwowskiej, jak niemniej rajców miasta Lwowa, powołuje się na uchwały zjazdu lubelskiego i poleca wybrać z łona szlachty i rajców miejskich rodzaj komisji mężów zaufania, któraby pod przysięgą zbadała kursującą monetę półgroszków (*monetam mediorum grossorum*) w ten sposób, że za uprzednim zawiadomieniem wszyscy obywatele mają okazać swój zapas gotówki, poczem komisya wszelkie sztuki miedziane, żelazne, ołowiane albo z jakiegokolwiek powodu podejrzane żelaznym kluczem przedziurawi na znak, że są fałszywe i właścicielowi odda.

Drugie rozporządzenie, bardziej szczegółowe, powołuje się na uchwały zjazdu w Niepołomicach i znowuż poleca osobnej komisji badanie półgroszków w ten sam sposób,

¹⁾ Kodeks uniw. w Pradze. A. VI. 7.

jak poprzednio. Odpadła tylko manipulacya z kluczem, w miejsce czego postanowiono, że wszystkie fałszywe sztuki mają być w topni srebra przetopione, srebro zaś i miedź zwrócone właścicielom.

Ile w czasie tej manipulacyi przetopiono lwowskiej i ruskiej monety, domyślać się tylko można wobec tego, że był to rok 1421 i czasy, kiedy potrzeba jednolitej monety państwowej była już zadecydowaną.

VIII. U STÓP OŁTARZA.

HOJNY FUNDATOR. MYŚL O PIEKLE. DZIEŁA POBOŻNOŚCI. BÓJKI Z KLE-
RYKAMI. ŻŁOTA ZGODA.

„...Najpierw część murów koło kaplicy Bożego Ciała z gruntu wyprowadził i kosztowną pracą wykończył, następnie drugą część murów dokoła i przed kaplicą św. Michała własnym kosztem od fundamentów wyniósł i wyprowadził. I trzeciej kaplicy koło zakrystyi tenże Mikołaj Bohemus jest pierwszym założycielem, fundatorem i wynalazcą — dał jej relikwie świętych Prokopa i Erazma i wszystkie ozdoby ołtarza i trzydzieści grzywien na jej wykończenie. A za to on patronów nada tej kaplicy i wszystkie tytuły. Nadto wchód do konwentu on sam, Mikołaj Bohemus, w trzeciej części swoim kosztem zbudował i wieczną lampę przed Sakramentem dzień i noc płonąca fundował i innych rzeczy niezliczoną moc dla tegoż kościoła szczerze zdziałał i ozdób mu przyczynił.

„Tak tedy my bracia Zakonu kaznodziejskiego św. Dominika, konwentu i kościoła Bożego Ciała we Lwowie ślubujemy i przyrzekamy, że ilekroć tenże Mikołaj Bohemus o rannych godzinach wejdzie do naszego kościoła, tylekroć jeden z braci gotów będzie mszę dla niego odczytać, na jaką on zechce intencję, a w nowej kaplicy, po jej skończeniu, codziennie się msza będzie prawić, tak za jego życia, jak i po śmierci, za jego duszę, po wieczne czasy i pod grozą zdania rachunków przed sądem za wszystkie dobrodziejstwa, a na żądanie spadkobierców tegoż Mikołaja“.

Cały patrycyat lwowski był w refektarzu Dominikanów wówczas, gdy w dniu 12. grudnia 1406¹⁾ czytano ów

¹⁾ A. gr. z. II. str. 55—8.

kontrakt zamiany dóbr ziemskich na łaskę niebios i wiekuiste światło za grobem. Słuchali go sławetni i uczciwi mężowie Piotr Eysenhutil i Jan Worst rajcy, Mikołaj Goebel, Jan Zomersteyn, Piotr Stecher, Mikołaj Smedtfedt, co najprzedniejsi obywatele, słuchał Januszko Tłumacz, co był naonczas miejskim pisarzem i słuchał go przeor dominikański Maternus, razem ze wszystkimi braćmi, z których jeden, Zygmunt, aż z dalekiego Rzymu pochodził.

Kim jednak był ten ponad miarę hojny dobroczyńca, ten fundator wszechstronny, człowiek, któremu na każde zawołanie służba boża stała w pogotowiu?

Zwykłym obywatelem lwowskim był Mikołaj Bohemus, może Czech z rodu, którego losy zawiąły do Lwowa. Ani konsularne zaszczyty czoła jego nie zdobyły, ani przed nim miecza nie noszono, władzy wójtowskiej odznaki. Nie zapisały księgi, aby posłem od miasta był kiedy Mikołaj Bohemus, lub żeby publicznem go kiedy zaufaniem darzył ratusz i lwowskie pospólstwo. Jeden z wielu: właściciel kamienicy na wschodniej stronie rynku i placu tamże leżącego, kupiec, obracający pieniędzmi na wszystkie strony i pożyczający je w razie potrzeby nawet miastu samemu, podatnik zamożny, który dopiero co, przed rokiem, gdy na odzyskanie ziemi Dobrzyńskiej z rąk krzyżackich mieszczaństwo lwowskie składało 10 procent swojego majątku w gotówce, sam jeden zapłacił 20 grzywien tego podatku.

Tacy oni wszyscy byli ludzie naonczas we Lwowie mieszkający, na każdą potrzebę ochotni, a już najbardziej na własnej duszy zbawienie. W mrocznym dymie kadzideł ich dusza chadzała i chociaż twarde było życie i mieszek u kupca srodze zaciśnięty i zysku spragnione dłonie, to jednak wszystko to dziwnie miękło na samą myśl o czyśćcu i piekle.

Niekiedy w połowie drogi życiowej myśl ta spadała na oddanego sprawom codziennym człowieka, a wówczas ręce nagle mu opadały i oczy szły w niezmierzoną dal wieczności. I rzucał wtedy Piotr Kukalp na przykład wszystkie swoje majątkości, niczem mu był dłużnik oporny i dostatki domowe. Biegł w dalekie nieznane krainy, hen aż do grobu Chrystusowego, wolen wszystkiego przywiązania do spraw ziemskich, z przecuciem długiej, niebezpiecznej a rzadko powrotnej drogi.

Tacy oni byli wszyscy, gdy przyszła chwila pamięci na rzeczy wieczne.

Na nic im był wtedy majątek w ciężkim pocie zebrany, na drugim miejscu dopiero dzieci własne i rodzina stawała, a pierwszym był kościół w myśli i testamencie, w ostatniej woli i przy podziale majątku. To też dzieła pobożności mnożyły się i rosły nieprzerwanie. W czasach późniejszych sam urząd radziecki niekiedy występował przeciw nadmiernym darowiznom na rzecz martwej ręki kościelnej, ale za Władysława Jagiełły, w czasach żarliwej wiary, którą piął się w poczet błogosławionych sam arcybiskup Jakób Strepa i nieco później Jan z Dukli—w tych czasach organizacyi kościoła łacińskiego na Rusi i jego apostołskiego pędu w różnowierczem środowisku nie było granic i miary w pobożnej ofiarności. Nie tylko bowiem ona podwoje niebios wierzącym na oścież otwierała, ale łączyła lwowską społeczność z Zachodem, wiązała go z państwem, źródłem była kultury i wszelkich ożywczych prądów, idących od rzymskiej kuryi.

A jak żarliwą, strzelistą była myśl lwowskiego mieszczaństwa w Jagiełłowej epoce, tak też unosiła się ku niebu gotyckimi wieżycami i wysmukłą formą gotyckiej architektury.

Za Władysława Jagiełły wznosiły się dopiero największe i najokazalsze świątynie lwowskie, to jest katedra i kościół Dominikanów. Stary, romański jeszcze, kościółek św. Jana leżał już daleko na przedmieściu, poza obrębem murów miejskich znalazł się też i parafialny, do niedawna, kościół Maryi Śnieżnej, związany z pierwiastkowymi tradycjami obywatelstwa lwowskiego od założenia miasta, a skutkiem tego zawsze w czci i wielkiem poszanowaniu zostający i zawsze w testamentach mieszczańskich wspominany.

Tymczasem w murach miejskich, obok istniejącego już kościoła franciszkańskiego, z którego wyszedł Jakób Strepa i obok którego mieszkał jako arcybiskup, obok kaplicy św. Katarzyny na Niskim Zamku, wyposażonej jeszcze przez Władysława Opolczyka i kościoła szpitalnego św. Ducha — wzrastały w górę dwie nowe świątynie, a przede wszystkim kościół parafialny, a równocześnie katedra.

Całe miasto i całe mieszczaństwo bez żadnego wyjątku brało żywy i bezpośredni udział w jej budowie. Każda cegła w murze, każda ozdoba wnętrza, każdy szczegół wyłaniającego się z pod rusztowań gmachu były wspólną własnością wszystkich i każdego z osobna, ze wspólnych ofiar, wspólnego zarządu i wspólnej troski. Patrzano z ratusza na czerwieniejące się surową cegłą mury, budową zarządzali co najpoważniejsi obywatele miejscy, składanie rachunków było czynnością publiczną, a postęp budowy sprawą, która interesowała tak króla, jak arcybiskupa lwowskiego, jak wreszcie ogół wszystkich mieszkańców miasta.

Za czasów Władysława Jagiełły dopiero prezbiterium było na ukończeniu, obok zaś, jak już wiemy, drewniana kaplica razem z dzwonnica tymczasowem były służby bożej schroniskiem. Czekano z upragnieniem, aż mistrz Mikołaj Ganzecke zasklepi ostatecznie świątynię, a tymczasem ofiary w testamentach i ciepłą ręką sypały się jak z rogu obfitości.

Aż wreszcie w r. 1405 dokończono roboty i prezbiterium służyć mogło tymczasowo za całą świątynię. Uroczyste poświęcenie odbyło się w sam dzień Bożego Narodzenia¹⁾, dokonał go zaś biskup przemyski Maciej w obecności arcybiskupa Jakóba, rady miejskiej, która na uświetnienie uroczystości z kasy miejskiej wyznaczyła 4 kopy groszy i całego miasta. Niebawem poświęcono także i cmentarz dookoła kościoła, a tak całe miejsce stało się służbie bożej poświęcone i stało się też widowym znakiem i pomnikiem ofiarności miasta i tych wszystkich, co w murach nowej świątyni ukojenia szukali. Bo zarówno z mieszczaństwem stawała wtedy jeszcze i okoliczna szlachta. Gdy mieszcza- nin lwowski Leonard ufundował nowy ołtarz w katedrze, to obok niego stawał godnie i wielki magnat Spytko z Jarosławia, hojnie uzupełniając i utrwalając mieszczańską fundację.

O ile jednak budowa katedry była sprawą publiczną, miejską i państwową nawet, o tyle w przeciwległej stronie murów miejskich wznoszący się, a również gotycki, kościół

¹⁾ Por. Abraham: Początki arcybiskupstwa łac. we Lwowie. Lwów 1910.

Dominikanów ciągnął ku sobie poszczególne rodziny mieszczańskie, pragnące spocząć w jego cieniu i związane bądź to węzłami pokrewieństwa z bracią zakonną, bądź też z bractwem Bożego Ciała, do którego należał cały patrycyat miejski. Stąd też niebawem mnożyć się poczęły mieszczańskie nagrobki w dominikańskich podziemiach, a równocześnie każdy prawie testament zamożniejszego obywatela pamiętał o kościele i doczesnych potrzebach klasztoru. Sam król ustanowił tutaj hojną fundację mszalną za duszę królowej Jadwigi, ziemianin Benko z Zabokruk niósł swoje dobra klasztorowi w ofierze, a drobne zapisy testamentarne sypały się jak z rogu obfitości.

Wobec tej żarliwej dewocyi miasta i jego mieszkańców dziwną się wyda rzeczą i charakterystyczną, że tak miasto, jak i poszczególni obywatele w ostre nieraz popadali konflikty z duchowieństwem, że na tle tych konfliktów nie brakło na współczesnym bruku lwowskim epizodów prawdziwie wojennych, gorszących, a nawet grom klątwy i interdaktu padał na miasto, tak fanatycznie pobożne.

Wogóle przez znaczną część panowania Władysława Jagiełły wrzała we Lwowie walka duchowna, która niekiedy jak burza przelatowała nad miastem, groty piorunów w sobie kryjąca, to trwała nieprzerwanie jak ciurk słoty jesiennej. Czasami zrywał się ratusz na dalekie loty ze skargą i żałobą, aż do progów apostolskich, na dwór królewski, lub biskupi, gdy ten miał być rozjemcą. Takiej chwili wyjeżdżały z ratusza obładowane kolasy, a na nich rajcowie z pisarzem, dzierżącym w zanadrzu całe zwoje dokumentów procesowych, a w głowie cały labirynt prawnych dowodów.

Bo nieustępliwe było miasto tam, gdzie szło o domy w mieście, o dziesięcinę kościelną, o nadmierne ciężary. Walczyło z całą zaciekłością, rzucało na szalę nierównej walki wpływy swoje, protekcyę, grosz z kasy wyjęty i pożyczony. Nie było ofiar, nie było dalekiej drogi, którychby nie poniesiono i nie odbyto tam, gdzie chodziło, aby prawda miejska wobec biskupa Bernarda ostała na wierzchu i w dwudziestoletniej przeszło wojnie z plebanem Janem Rusinem, który sam z lwowskiego rodu, srogą się rodzinemu miastu odpłacał niewdzięcznością i z innym klerem

błąkającym się. Czas to bowiem był taki, że wielu chodziło niby to księży, z jednym lub dwoma święceniami, albo i całe bez święceń, nie wiedzieć co robiąc i żyjąc nie wiadomo z czego. Znano ich w średnich wiekach w całej Europie pod nazwą „*clerici vagabundi*“, ale najwięcej ich było tutaj, gdzie stosunki kościelne nie ze wszystkim jeszcze były zorganizowane ani uporządkowane i gdzie byt dla tej plagi duchownej bywał najłatwiejszy.

Zwłaszcza, jeżeli sam arcybiskup, jak taki Bernard na przykład, nie świecił dobrym przykładem, spierając się o rzeczy świeckie, o majątności, opłaty i daniny. We Lwowie pospierał się z magistratem o dom arcybiskupi (dziś rynek l. 9.) w rynku położony i w tym sporze jął się zaraz rzeczy ostatecznych, bo na rajców miejskich, tuż prawie przed przyjazdem królowej Jadwigi, rzucił klątwę, a miasto obłożył interdyktem, zakazując w niem bicia we dzwony, służby bożej i wszelakiej religijnej pociechy. Sprawa ciągnęła się bardzo długo, bo arcybiskup popadł w walkę równocześnie z Dominikanami, których także klątwą obłożył. Jeździli mieszczanie do Budy na dwór króla węgierskiego, do Rzymu do papieża Bonifacego VIII., do Przemyśla, gdzie tamtejszy biskup Eryk miał być pośrednikiem. Ostatecznie skończyło się na tem, że kardynał Dymitr, kanclerz węgierski, rzucił klątwę na arcybiskupa Bernarda, a gdy ten równocześnie prawie z przejściem Lwowa pod panowanie Polski uszedł z kraju, a niebawem potem umarł, miasto i wszyscy mieszkańcy odetchnęli spokojniej.

Ale na chwilę tylko, bo chociaż po Bernardzie arcybiskupem został wielki przyjaciel i orędownik Lwowa błóg. Jakób Stropa, to równocześnie proboszczem lwowskim był wspomniany wyżej Jan Rusin, który przez lat dwadzieścia srodze się miastu dawał we znaki. Człowiek chciwy, namiętny pieniacz, lubił tylko dochody kościelne bez żadnych obowiązków. Parafię lwowską wydzierżawił, a mimo tego chciał zarządu pieniędzmi przeznaczonymi na budowę katedry, to znowu o dochody z pogrzebów mu chodziło, o młyn w Zboiskach, o place budowlane przy bramie Hallickiej, o podzwonne, meszne i t. d.

Miasto broniło się wszystkimi siłami, nie wyłączając nawet siły zbrojnej. Kiedy razu pewnego pleban zajął młyn

w Zboiskach, uderzono w dzwon ratuszowy na trwogę i całe mieszczaństwo, jak jeden mąż, konno i zbrojno rzuciło się do Zboisk i duszpasterza z majątności miejskiej wypędziło. Głównie jednak walczono prawem, we wszystkich możliwych sądach, w Rzymie, w Krakowie, na miejscu przed arcybiskupem i wielokrotnie przed trybunałami polubownymi. Wobec ogromu i różnorodności tych procesów nie wystarczała już głowa, ani wiedza prawnicza pisarza miejskiego, to też był czas, kiedy musiano sobie szukać doradcę prawnego daleko, aż we Wrocławiu, w osobie adwokata tamtejszego konsystorza, Mikołaja ze Świdnicy. I chociaż król był miastu bardzo życzliwy i raz nawet uwięzić kazał plebana, chociaż arcybiskup Jakób serdecznym był przyjacielem miasta i chociaż nie szczydziłi wcale kosztów panowie ratusza, bo na sądy, delegacje, podróże w przeciągu lat ośmiu (1404—1412) wydali olbrzymią na owe czasy sumę 800 dukatów i 70 kóp groszy — to jednak plebanowi rady dać nie było można. Tak wielka była wówczas siła stanu duchownego, tak obrotnym i przemyślnym był pleban i tak miał silną protekcję u króla Zygmunta, wiecznie czekającego sposobności do zajęcia Lwowa i Rusi. Nikt też inny, tylko węgierski Zygmunt popierał plebana u papieża.

I ostatecznie nie dano rady opornemu. Musiano z nim zawrzeć ugodę polubowną w r. 1412 za pośrednictwem Mikołaja Trąby, wówczas już arcybiskupa gnieźnieńskiego i musiano dać plebanowi intratniejsze beneficyum w formie kanonii przemyskiej.

Miasto odetchnęło spokojniej i bało się odtąd procesów duchownych więcej niż ognia. A jednak krewkość czasami brała górę nad rozwagą i bruk lwowski bywał niejednokrotnie widownią burzliwych zajść z mętными żywiołami z pośrodku stanu duchownego. Tylko że w takich wypadkach za każdą cenę szukano polubownej ugody i zgody, płacono chętnie wszelkie nawiązki, godzono się na uroczyście przeprosiny, aby tylko nie dopuścić do kosztownych, uciążliwych i bez końca trwających procesów przed sądami duchownymi, lub w kurii rzymskiej.

W ten sposób przyszło około roku 1421 do wielkiej awantury z klerykiem dyecezyi przemyskiej Wawrzyńcem,

synem Krystyna z Próchnika. Nieznaną nam jest bliżej ani osoba duchownego, ani też przedmiot sporu, który, jak pisze bardzo skąd inąd wielomowny akt sądu polubownego, zakończył się „pokaleczeniem, przebiciem, gwałtem“, wypędzeniem kleryka z miasta, jednym słowem olbrzymim skandalem wzajemnym, bo i „*clericus*“ nie był łagodnym barankiem i srodze miastu dokuczył.

O sprawie tej nieznaney, która snać do głębi poruszyła miasto i równocześnie duchowieństwo przemyskie, żadnej wzmianki nie zawiera jedyna z tych czasów księga rachunkowa miejska. Z częstych tylko wyjazdów rajców miejskich do Przemyśla i licznych prezentów posyłanych w tym właśnie czasie biskupowi przemyskiemu domyślać się wolno, że za pobicie i pokaleczenie duchownego dyecezyi przemyskiej z tamtej strony groziło miastu największe niebezpieczeństwo.

Ale Wawrzyniec poszedł jeszcze dalej, bo aż do Rzymu i uzyskał pozew na miasto od kuryi. We Lwowie aż nadto dobrze wiedziano, co znaczy taki pozew, bo w świeżej był pamięci niedawny proces z plebanem. Wobec tego starano się koniecznie ubić sprawę w polubowny sposób, a wynikiem tego starania był sąd w Krakowie i trzy przez niego wydane akta, których dosłowne brzmienie przechował cytowany przez nas wielokrotnie kodeks uniwersytetu praskiego.

Ciekawe akta i niezmiernie charakterystyczny dokument dla obyczajów współczesnych, dla czasów i ludzi, a przytem ciekawy obrazek wyjęty z ram średniowiecza.

Sąd odbywał się w Krakowie w domu altarystów za szkołą kościoła Panny Maryi. Skwarne po południu dnia 21. sierpnia 1421 zeszło się tam wielkie zgromadzenie mężów, przeważnie duchownych. Był tedy Jakób z Zaborowa generalny wikary biskupa krakowskiego, Mikołaj Skulteti doktor dekretów kanonicznych, brat Michał bakałarz teologii, Zygmunt z Pyzdr magister sztuk wyzwolonych i Bartłomiej z Kalisza duchowny z kościoła św. Stefana. Ci wszyscy stanowili sąd polubowny, któremu przewodniczył wspomniany już wyżej Jakób z Zaborowa, jako świadek zaś przysłuchiwał się sprawie sam rektor uniwersytetu krakowskiego Mikołaj Goldberg, a obok niego Andrzej z Kur-

dwanowa kanonik plocki i poznański i Łazarz z Naruszowa kleryk z plockiej dyecezyi. Protokół pisał Bartłomiej z Łęczycy kleryk gnieźnieński, w imieniu zaś burmistrza, wójta, rajców oraz całej społeczności miasta Lwowa stanęli rajca Klemens i pisarz miejski Wincenty.

W takim to komplecie, a z całą formalistyką i solennością aktów średniowiecznych zapadł wyrok, złożony z czterech punktów. Po pierwsze orzekł sąd, że od dnia dzisiejszego wszelkie spory między klerykiem Wawrzyńcem a miastem Lwowem mają stanowczo ustać. Lwowianie nie mają Wawrzyńcowi bronić przystępu do miasta, ani go też we Lwowie w żaden sposób, ani oficjalnie, ani przez podstawione osoby niepokoić. Natomiast Wawrzyńiec winien zaniechać wszelkich poswarków, zachowywać się w mieście przystojnie i nikogo ani słowem, ani czynem nie obrażać, ani też żadnego się gwałtu dopuszczać.

Jako wynagrodzenie za ból, z powodu odniesionych ran, za fatygę i tytułem zwrotu kosztów na lekarstwa winno miasto Lwów wypłacić Wawrzyńcowi 30 dukatów węgierskich, które należy złożyć na razie u jakiegoś męża zacnego i sprawiedliwego, na przykład u rektora uniwersytetu. Suma ta jednak ma być dopiero wtedy Wawrzyńcowi wypłacona, gdy on złoży przed sądem, w ciągu czternastu dni, wszystkie dokumenta swojej sprawy z miastem, a zwłaszcza pozew kuryi rzymskiej, w dowód, że zaniecha dalszych kroków procesowych.

A wreszcie punkt czwarty i moralna satysfakcja dla pobitego kleryka w ten sposób, że za pierwszym jego pobytem we Lwowie ma się pojawić ów, który go poranił, niejaki Bartłomiej szynkarz na miejscu publicznem, znanem i uczciwym, razem z czterema godnymi osobami i ma go uroczyście wobec całej Rady miejskiej i publicznie, w sposób w takich wypadkach zwyczajny, przeprosić.

Bardzoby się jednak mylił ten, kto by myślał, że tu już koniec wszelkim formalnościom. W miesiąc bowiem później, dnia 19. września, tym razem w domu Andrzeja Myszki, archidyakona kapituły krakowskiej, naprzeciw kolegium prawniczego odbyła się druga scena sądowa w innym już otoczeniu i wobec innych świadków, którymi oprócz gospodarza domu byli sami duchowni: Klemens

z Drzewicy, Łazarz z Naruszowa, Świętosław Pełka z Mnikowa i Stanisław z Przysiek. Wszyscy oni razem z pisarzem Michałem Czybornem byli świadkami, jak Jakób z Zaborowa odebrawszy od reprezentantów miasta Lwowa 30 dukatów w złocie, złożył je w rzetelne ręce Mikołaja Andrzeja ze Strzelic dla kleryka Wawrzyńca, o ile ten spełni wszystkie warunki sądu polubownego, to jest wyda Lwowianom dokumenta procesowe.

Wreszcie akt trzeci dnia 25. września w domu tegoż samego Andrzeja Myszk i w obecności tych samych świadków, a także i w obecności głównej osoby w całej tej historii, to jest Wawrzyńca z Próchnika, który miał wielką ochotę podjąć owych 30 węgierskich dukatów w złocie, ale oświadczył przytem ku wielkiemu zdumieniu obecnych, a przerażeniu delegatów lwowskich, że dokumentów procesowych wydać nie może, bo je jakimś przypadkowym sposobem... zagubił.

Wśród ogólnej konsternacji oświadczył na to trzymający w ręku pieniądze Mikołaj ze Strzelic, że nie wierzy w wymówkę Wawrzyńca z Próchnika, chyba, że ten przysięgnie, że dokumenty naprawdę zgubił i że w razie ich odszukania odda je niezawodnie rajcom lwowskim, a tak czy owak dalszych procesów stanowczo zaniecha.

Wobec tego archidyakon otworzył ewangelię, na którą Wawrzyńiec z Próchnika położył dwa palce i uroczyście przysiągł, jako prawdę przedtem powiedział i jako nigdy już miasta Lwowa trapić nie będzie. Potem zabrał dukaty i poszedł sobie precz.

Ślady podobnego zajścia znajdujemy w Archiwum miejskiem w formie nakazu papieża Marcina V., wystosowanego w r. 1426 do Eliasza dziekana kościoła Panny Maryi w Sandomierzu, ażeby ekskomunikował rajców lwowskich Jana Tłumacza, Jana Guttlera i Klemensa Spytelskiego, którzy, przybrawszy sobie współników, mocno poturbowali Marka z Kościana kleryka dyecezyi poznańskiej. Fakt, że brewe papieskie znalazło się wśród dokumentów miejskich, dowodzi, że pobity kleryk oddał je miastu na znak zrzeczenia się dalszych kroków prawnych, naturalnie za sutą nawiązką.

Innego znowu rodzaju spór z duchowieństwem wybuchł prawie równocześnie z wypadkiem poprzednio opi-

sanym. Poszło mianowicie o jakąś mniszkę Esterę, która była gospodynią w szpitalu św. Ducha. Nadzór nad szpitalem miał oficyał katedralny Piotr z Zakrzowa, zarząd zaś sprawowała rada miejska, przez wybranych z grona swego prowizorów. Jeden z tych prowizorów, Klemens Czedlicz, napędził mniszkę z niewiadomego powodu na cztery wiatry, oficyał się za nią ujął i sprawa przybrała formy bardzo ostre, tem bardziej, że król, ujmując się za oficyałem, nałożył na mieszczan karę olbrzymią w kwocie 900 grzywien czystego srebra. Ostatecznie obie strony zgodziły się na sąd arcybiskupa Jana Rzeszowskiego, którego wyroku nie znamy.

W każdym razie wypadki, jak wyżej opisane, należały do wyjątków. W epoce żarliwej wiary i pobożności odbijają one jako przykry dyssonans na tle nadmiernej ofiarności na cele kościelne ze strony mieszczństwa i stosunków przyjaznych tegoż mieszczństwa z lwowskiem duchowieństwem, tak świeckiem, jak zakonnem. Bo równocześnie, gdy miasto takie miało przejścia, biskup przemyski, plebani drohobycki, halicki, a nawet świdnicki pożyczali miastu pieniądze, a na gruncie miejskim przed bramą Halicką siedział sobie spokojnie jakiś ksiądz z krzywą ręką, widocznie niezdolny do pełnienia funkcji kapłańskich, gospodarował i bardzo pilnie opłacał wszelkie daniny do kasy miejskiej.

IX. ŻYCIE I OBYCZAJE.

PANOWIE I DAMY. KULTURALNY CHARAKTER LWOWA. ORGANIZACJA CECHOWA. SZTUKA I ROZRYWKI. ŻYCIE UMYSŁOWE. SZPITALA. PRZEDMIOTY ZBYTKU. KUCHNIA.

Guilbert de Lannoy sire de Villerwall et de Truchien-nes, poseł królów francuskiego i angielskiego do Władysława Jagiełły, bardzo sobie chwalił pobyt we Lwowie. Przyjęty przez króla w kniei tak zwanej „Ozimina“, być może w Dobrostanach i odesłany następnie do Lwowa, znalazł błędny rycerz, który pół świata wśród przygód rozlicznych objechał, wszystkich przyjemności, na jakie się tylko zdobyć mogli mieszczanie, widzący w nim gościa królewskiego. Więc mu postaw wschodniego jedwabiu do gospody zanieśli i bankiet wielki na ratuszu urządzili, a nadto Ormianie zabawę z tańcami ku czci z dalekich stron przybysza. A on zachwycony był przyjęciem i ludźmi, których we Lwowie spotkał i z całą francuską grzecznością nazwał w pamiętnikach swoich mieszczan lwowskich panami i obywatelami (*les seigneurs et bourgeois*), a dancerki z ulicy Ormiańskiej... damami¹⁾.

Nic to nie przeszkadzało turniejowemu rycerzowi, że „damy“ te kupczyły energicznie i wymownie na straganach rynkowych, w kramach i budach, że umiały się zawzięcie procesować, uganiać od natrętnych wierzycieli i dusić ospałych dłużników, nic to, że ani jedna z nich prawdopodobnie ani czytać ani pisać nie umiała. A i one same to swoje powołanie domowe i kupieckie umiały jakoś połączyć z elegancją, a nawet i zbytkiem, który we Lwowie

¹⁾ Por. Fr. Jaworski: „Błędny rycerz we Lwowie“ w zbiorze opowiadań p. t.: „Lwów stary i wczorajszy“.

przybierał się w cały blask wschodniego przepychu, pomieszanego ze zwyczajami miast zachodnich, a mężom konsularnym sporo przysparzał troski i zmartwienia.

Bo niczem innym, jak tylko wynikiem troski o własną kieszeń były dwa wilkierze przeciwko zbytkom, uchwalone przez radę i pospólstwo miasta Lwowa w r. 1383, a stanowiące pod karą czterech grzywien, ażeby na żadnym weselu nie było więcej, jak szesnastu zaproszonych gości, cztery potrawy na stole i dwu błaznów do zabawy, a na chrzcinach i przy połogach żadnych hucznych biesiad ani zabaw.

Jeżeli mężowie lwowscy, stanowiący dla siebie i dla żon swoich takie prawa przeciwko zbytkowi, sądzili, że jedwab, przychodzący do Lwowa i inne osobliwości Wschodu i Zachodu istnieją tylko po to, aby handel niemi prowadzić, to się bardzo mylili. Bo pewna część onego zbytkowego towaru w każdym razie zostawała we Lwowie, wywołując zamiłowanie i potrzebę przepychu.

Podnosiło jeszcze tę potrzebę ciągle ocieranie się patrycyatu lwowskiego o dwór królewski i najwyższych dygnitarzy, częstych gości w mieście. Sam król, mimo prostoty swoich obyczajów, zajeżdżał zwykle do Lwowa strojno i bogato, wioząc za sobą wszystkie potrzeby szatni swojej i kuchni. Każda taka wyprawa pociągała za sobą jeszcze w Krakowie sporo wydatków, jak n. p. w r. 1393¹⁾, kiedy to musiano sprawić koła nowe do powozu, uprząż dla koni, całą zastawę stołową, wśród której był dzban srebrny wielki, kubki i dzbany mniejsze we futerałach. Złotnik poprawiał róg królewski, inni rzemieślnicy opatrywali zbroję (sodelna zbroja), na wozie zaś drugim, lżejszym, jechało za królem ośm funtów cukru do konfitur, wino, воск, korzenie, dwa płaszcze dla króla, rękawiczki, a nawet maź do smarowania osi i zapasowe batogi dla woźnicy. Roku następnego znowu jesienią ruszył król do Lwowa, na wozie krytym zwanym „pałubą“, a z nim razem kucharz Jakubowski, łucznicy i liczna służba. Niekiedy wreszcie przypatrywali się Lwowianie osobliwym darom, składanym królowi przez obcych panujących, jak n. p. w r. 1423 ko-

¹⁾ Rachunki dworu Wład. Jagiełły. Mon. medii aevi t. XI.

niom, psom bardzo pięknym i kosztownościom, za które Jagiełło ze Lwowa dziękował księciu medyolańskiemu Filipowi Marya Angelo.

A za królem panów strojnych gromada, nie mieszcząc się w Zamku Niskim, obsiadała kwaterami domy mieszczzańskie, niosąc w nie obyczaj wytworniejszy, chociaż we



Strój mieszczan z czasów Władysława Jagiełły.
(Odtworzył według współczesnych wzorów Franciszek Kowaliszyn).

Lwowie, przynajmniej wśród najwyższego patrycyatu, był on i tak dość wygładzony ustawicznymi podróżami i obcowaniem z ludźmi różnego rodzaju. Tutaj też jest źródło owej ogłady u mieszczan lwowskich, która wielokrotnie zadziwiała swoich i obcych, tu początek opinii tak bardzo w czasach późniejszych rozpowszechnionej, że Lwów ma

najmędrszą radę w Polsce. I niezawsze jest stylistycznym kwiatkiem spotykany często w korespondencji miejskiej adres „do szanownych i mądrych burmistrza i rajców lwowskich“, bo istotnie mądrymi byli ci ludzie, którzy korzystać umieli z każdej sposobności dla podniesienia powagi i znaczenia swego miasta, którzy w tak krótkim czasie potrafili mu zapewnić najwyższy rozkwit.

Poza patrycyatem jednak, pełnym kultury i ogłady, było całe pospólstwo miejskie, o którego życiu i obyczajach to tylko wiemy, co przechowały najstarsze księgi miejskie.

Nie są atoli te księgi tego rodzaju dokumentami, ażeby zaprowadzić mogły do wnętrza domu mieszczkańskiego i pozwoliły podpatrzeć życiowe sprawy, myśli, upodobania jednostek i rodzin z dnia na dzień, we wszystkich przejawach codziennej szarzyzny. Obraz życia i obyczajów Lwowa średniowiecznego pozostanie też, zdaje się, zawsze niezupełnym, z mnogimi lukami i niedomówieniami, bo i analogia, szukanie wzorów w miastach niemieckich, a nawet w pobliskim Krakowie szczególnie jest na gruncie lwowskim niebezpieczną i łatwo do mylnych poprowadzić może wniosków. Wszak we Lwowie, jak o tem już wielokrotnie wspominaliśmy, skrzyżowały się rasy, narody i wyznania i wycisnęły na wszystkich mieszkańcach, na ich stroju, kuchni, obyczajach piętno oryginalne, którego wzorów gdzie indziej nie szukać.

Z tem wszystkiem, o jeden tylko krok od wytworności panów ratuszowych, granoczyła jeszcze pewna dzikość, mająca swe źródło w zbiorowisku tylu odmiennych temperamentów narodowych i w niezbyt pewnych stosunkach osobistego bezpieczeństwa. Lwów aż do czasów prawie Władysława Jagiełły przypominał trochę miasta amerykańskie, w naszych oczach powstające, gdzie przed ostatecznem uporządkowaniem stosunków komunalnych każdy mieszkaniec sam sobie stwarzać musi obronę i sposób do życia. Zbiegowisko ludzi różnych narodowości, obcych sobie wiarą, obyczajem, sprowadzonych na jedno miejsce tylko chęcią zysku, nigdy nie może być porównane do stada łagodnych baranków, a że i we Lwowie nie odznaczało się ono zamiłowaniem spokoju i chęcią zgodnego współżycia, na to mamy dowód w surowych wilkierzach rady miejskiej

przeciwko gwałtownikom, zatwierdzonych jeszcze przez Kazimierza Wielkiego w r. 1360¹⁾. Obłożono tam srogą karą zabójców, jak niemniej tych, którzy w złym zamiarze poważyli się dobyć miecza albo noża, zwłaszcza w obecności rajców lub ławników, dalej tych, którzy nie usłuchali wezwania radzieckiego lub ławniczego do zaniechania bójki, którzy z dzidą, grotem, kuszą, łukiem lub inną morderczą bronią biegli na pomoc drugiemu, a wreszcie i tych, którzy wstawiali się za burzycielami spokoju publicznego.

Za Władysława Jagiełły, równocześnie z ustaleniem się państwowej przynależności Lwowa stosunki bezpieczeństwa zmieniły się na lepsze, chociaż grubych wykroczeń przeciwko porządkowi nigdy nie brakło, a kary nakładane na ekscedentów stanowiły zawsze poważną rubrykę dochodów miejskich.

Wrodzoną, czy stosunkami lokalnymi wyrobioną dzikość obyczajów łagodziła do pewnego stopnia szkoła. Zajęte tak wybitnie interesami materyalnymi społeczeństwo zda się nie miało czasu, ani ochoty do zajmowania się oświatą swoich obywateli. Na wielką jednak pochwałę miasta naszego powiedzieć należy, że stan jego oświaty przewyższał znacznie otoczenie. Lwów, podobnie jak inne miasta średniowieczne, rozumiał dobrze potrzebę i wartość szkoły i zdolny był dla jej podniesienia do ofiar pieniężnych. Miasto samo łoży na utrzymanie szkoły katedralnej, ponosi wydatki na reparację budynku szkolnego, wybudowanego własnym kosztem i na gruncie miejskim. Stąd też broniło uparcie swego prawa mianowania nauczyciela (*informator puerorum*) przeciw uroszczeniom plebana. Spór stąd wynikły załatwił Jagiełło w ten sposób, że miasto utrzymało się przy prawie nominacyi i wybranego nauczyciela miało zaprezentować plebanowi. Gdyby ów nauczyciel był niepoprawnym ignorantem, mógł pleban go odrzucić. Pomocnikiem nauczyciela był zakrystyan, którego mianowało miasto bez żadnego ograniczenia.



Pieczęć bractwa kupców lwowskich (z dokumentu z r. 1425).

¹⁾ A. gr. z. t. III. nr. X.

Umiano też w ówczesnym Lwowie uszanować i uhonorować mężów nauki, czego dowodem serdeczna i wylana gościnność dla Piotra Wolframa, który był dawniej pisarzem miejskim, a potem otrzymał licencyat prawa kanonicznego. Na jego cześć urządzono wspaniały bankiet na ratuszu, na kwaterę posyłano mu co najprzedniejsze smakołyki, nie licząc różnych podarków honorowych.

O roli pisarzy miejskich wspominaliśmy niejednokrotnie w ciągu niniejszej pracy. Widocznym do dziś śladem ich działalności są nasze księgi. Pisane są prawie wyłącznie łaciną, stojącą zupełnie na wysokości współczesnych wymagań, chociaż niebardzo klasyczną, skażoną wielu germanizmami i polonizmami, przerabiającą bez żadnej ceremonii wyrazy niemieckie i polskie żywcem na język łaciński, z czego wynika cały komizm średniowiecznego języka urzędowego.

Ale znajomość łaciny nie była zanadto powszechna. Już rajcy zwykle prowadzili swoje zapiski po niemiecku i w tym też języku wciągano je w razie potrzeby do ksiąg ku wiecznej pamięci. Poczucie bowiem nieśmiertelności tego, co zostało zapisane, było daleko żywsze podówczas, aniżeli dzisiaj. Jakoż sam papier średniowieczny, kupowany na libry, gruby, tęgi, przetrwał istotnie wieki i dziś się tak samo dobrze trzyma, jak ongi, razem z czarną wyrazistością tamtejszego atramentu.

Przy sposobności wydatku na oprawę ksiąg miejskich dowiadujemy się, że w r. 1414 było ich w skrzyni ratuszowej cztery, dziś niestety posiada Archiwum miejskie tylko dwie księgi, trzecia zaś powstała w kilka lat później. Dwie przeto księgi przepadły bez śladu. Zresztą książka była bardzo rzadkim gościem we Lwowie, tak, że biblioteczka Dominikanina Andrzeja Wansziga, która z niewiadomych powodów znalazła się w depozycie ratuszowym, pokwitowaną być musiała dokumentem pergaminowym, gdy ją Spytko Tarnowski w r. 1432 z depozytu odbierał. Poza tem była jeszcze w ratuszu księga praw, oczywiście pisana, dyplomy, dokumenta, przywileje miejskie, a wreszcie cała korespondencya Lwowa z innymi miastami, o której istnieniu dowiadujemy się niestety przygodnie tylko, o ile gdzieś w innym archiwum nie trafi się jaka odpowiedź rajców lwowskich.

Korespondencya ta była łącznikiem Lwowa z innemi miastami, ale nowości bieżących w niej nie szukać, bo te dostawały się drogą ustną przeważnie, przez rozgałęzione stosunki osobiste, które zastępowały zupełnie dobrze dzisiejsze gazety. Skoro zaś mowa o gazetach, to i średniowiecze miało swoje sposoby publikowania faktów i wiadomości, na których komuś zależało. Charakterystyczny taki wypadek przechował nam, wzmiankowany już wielokrotnie, kodeks praski. Oto Władysław Jagiełło pisze list surowy do miasta z uwiadomieniem, że doszło do jego wiadomości, jako mieszczanin lwowski Mikołaj Guttler opublikował na ratuszu we Lwowie, w obecności całej rady miejskiej, list, uwłaczający bardzo czci szlachcica, niejakiego Michała Czirla. W liście tym powiedziano, że ów Michał napędzony został z Krakowa, a Guttler ogłosił to, aby go zniesławić, okryć wstydem i hańbą. Wobec tego żąda Jagiełło od rajców, ażeby zbadali, kto taki list nieprawdziwy z Krakowa Guttlerowi nadesłał i ażeby mu o wyniku dochodzeń natychmiast donieśli.

List ten obok swego charakteru obyczajowego ma jeszcze wartość świadectwa tej równorzędności stanu mieszczańskiego ze szlachtą, której prawnym wyrazem był fakt, że domy szlachty w mieście zrównał Jagiełło w r. 1420 pod względem ciężarów i podatków z domami miejskimi.

W spisach zaś osób przyjmujących obywatelstwo lwowskie znajdujemy wyraz już nie nieprzyjaźni, jak w powyższym wypadku, ale serdecznych stosunków ziemianina Benka z Żabokruk, który staje na ratuszu, świadcząc, że ktoś tam zasługuje w całej pełni na obywatelstwo miejskie. Z drugiej strony na butę poszczególnych jednostek ze stanu szlacheckiego odpowiadali mieszczanie nieraz gwałtem, jak tego dowodzą procesy o pobicie Slizieniów z Wroczymowa lub Grzymka z Bogusławic.

Jeszcze różnic stanowych nie było, a mieszczanin imponował szlachcie swą ogładą, bogactwem, obrotnością, a imponował przedewszystkiem dlatego, że sam wysoko cenił godność swoją i swój klejnot miejski, błyszczący pracą, organizacją i karnością.

Główną ostoją tego porządku i karności była organizacja cechowa. Lwów składał się wyłącznie z kupców

i rzemieślników. I jeżeli kupiectwo lwowskie żyło życiem własnym, nadawało ton całemu miastu, było jego patrycyatem i rządem, to ustrój cechowy był trzonem i podstawą życia miejskiego, jego siłą ekonomiczną i zbrojną, a po-



a



b



c



d



e

Pieczęcie cechów: a) kuśnierzy, b) garncarzy, c) szewców, d) rzeźników, e) piekarzy.
(Z dyplomu z r. 1425, znajdującego się w Archiwum miejskiem we Lwowie).

szczególne cechy kadrami organizacyi miejskiej. Każdy rzemieślnik musiał należeć do cechu, a cech dawał mu wszystko: ochronę ekonomiczną i ratunek w nieszczęściu, regulował sprawy rzemiosła, wglądał nawet w życie rodzinne, dbając o poczciwość urodzenia swoich członków,

o ich przykładowe życie i to tylko w rodzinie i jej zakresie osiadłym, gospodarczym, patryarchalnym. Dla bezzennych nie było miejsca w cechu, a dla niecechowego rzemieślnika nie było miejsca w mieście.

W samym początku piętnastego wieku (1407) było we Lwowie jedenaście cechów (*artes mechanicorum*), a mianowicie: rymarski, kramarski, garbarski, piekarski, krawiecki, szewski, kowalski, kuśnierski i piwowski. Tyle też wymienia ich dyplom z r. 1425, zapewniający następstwo na tron polski potomstwu Władysława Jagiełły. Jeżeli jednak ilość i rodzaj rzemieślników może być do pewnego stopnia wskazówką potrzeb kulturalnych i stopy życiowej ogółu



Pieczenie cechowe: a) kowali, b) niewiadomego cechu (rymarzy?), c) garbarzy.
(Z dyplomu z r. 1425, znajdującego się w Archiwum miejskiem we Lwowie.)

mieszkańców miasta, to same nazwy cechowe wskazują, jakich rzemieślników było we Lwowie najwięcej za czasów Władysława Jagiełły. Były to rzemiosła najprostsze, zaspakajające prymitywne potrzeby ludności, a dopiero poza niemi, w miarę wzrostu kultury i potrzeb więcej zbytkowych powstają rękodzielnicy dla robót drobnych i szlachetniejszych. Początkowo liczba każdego rodzaju tych rzemieślników jest za mała dla wytworzenia osobnego cechu, więc łączą się z pokrewnymi aż do czasu, kiedy ich starczy do wyemancypowania się w cech własny. Byli tedy we Lwowie już za Władysława Jagiełły złotnicy, paśnicy (*cingulatores*), farbiarze, nożownicy, odlewacze, garnkarze, młynarze, olejarze, kapelusznicy (*pilleatores*), siodla-

rze, łucznicy, zegarmistrz, tkacze, stolarze, czapkarze, rękawicznicy, ślusarze, białoskórnicy, kołodzieje i t. d.

Wówczas też gruntować się poczęła sława Lwowa, jako miasta wyrabiającego słynną na całą Polskę broń. Lwowscy łucznicy, jak na przykład taki Habirman, wyrabiali kusze, któremi miasto nie wstydziło się obdarzyć samego nawet wojewodę wołoskiego, a obok nich godnie stają płatnerze i miecznicy, znajdujący dość roboty także i dla miejscowych obywateli. W każdym bowiem zasobniejszym domu mieszczańskim broń zajmowała pierwsze miejsce przechodziła w spadku z ojca na syna, a znany nam już Piotr Kukalp, wybierając się w pielgrzymkę do grobu świętego, szyszak i pancerz zapisuje nawet siostrom.

Lwów był za małym miastem, aby mógł utrzymać tytuł rzemieślników, nawet mimo tego, że wielu z nich trudniło się równocześnie kupiectwem, a każdy prowadził także gospodarstwo rolne. Ale wyroby lwowskich rzemieślników rozchodziły się za pośrednictwem jarmarków w szerokim promieniu dokoła i szły też masami na Wołoszczyznę, gdzie znajdowały zbyt łatwy i korzystny, zwłaszcza wobec dobroci swego wykonania. Pod tym względem na zawsze pozostanie chlubnym świadectwem dla sumiennosci i uzdolnienia lwowskich rzemieślników dyplom Jagiełły z r. 1391, w którym Adamowi cieśli darował trzecią część dochodów z młyna przed bramą Halicką, podnosząc w słowach bardzo pochlebnych roboty i budowy, które tenże Adam dla króla przemyślnie (*industriose*) wykonał.

Wyrazem duchowych potrzeb ówczesnego mieszczaństwa są także zawody, jak malarstwo, muzyka i specjalność czasów średniowiecznych... *joculatores*, czyli po prostu błazny, których zadaniem było dowcipami swymi rozweselać towarzystwo w czasie większych zebrań, jak chrzciny, wesela i t. p.

Dziwnie złą wróżbę dla przyszłej sławy Lwowa, jako miasta artystycznego, stanowią losy pierwszego znanego na bruku lwowskim malarza, niejakiego Jana. Mistrz ten bowiem z całą słuszością uważany być może za symbol „bryndzy“ i biedy malarskiej, a kilkakrotne wzmianki w najstarszej księdze miejskiej pozwalają się domyślać, że uczeń i następca św. Łukasza prowadzić musiał we Lwowie he-

roiczną walkę ze swymi wierzycielami, którzy z wielkim uporem, choć nie wiadomo z jakim skutkiem, włązili na „wszystkie jego dobra ruchome i nieruchome“. Mieszczanin Paweł Curtus wystąpił z pretensją sześciu grzywien, Jakób sługa miejski żądny był odebrania swoich pięciu grzywien i 40 gr., a nawet niejaki Tomasz zgłosił swój dług w kwocie 49 gr. Sądząc z ówczesnej wartości pieniędzy, suma długów malarza Jana przekraczała znacznie wartość przeciętnego majątku mieszczkańskiego, a jeżeli mistrz okazał się człowiekiem uczciwym i uiszczył się ze swoich zobowiązań — to prawdopodobnie znalazł się bardzo rychło w nad wyraz smutnem położeniu... tureckiego świętego.

Bardziej osiadłymi i finansowo zrównoważonymi byli dwaj inni, żyjący we Lwowie w czasach Władysława Jagiełły malarze, Łukasz i Stanisław. Obydwaj mieli domy w mieście, opłacali przykładowie wszystkie podatki i daniny miejskie, a Stanisław jeszcze ponadto podatek kawalerski, był bowiem bezżennym. Ta ostatnia okoliczność nie budziła snąc do niego wielkiego zaufania na ratuszu, bo nie znajdujemy ani nawet śladu, jakoby mu miasto powierzało jakie roboty. Co do Łukasza natomiast, to pobrał on z kasy miejskiej raz 2 kopy groszy za malowanie okien, drugi raz 20 gr. za odnowienie obrazu, przedstawiającego Chrystusa na osiołku czyli niedzielę palmową. Co do okien, to wielkie stosunkowe honorarium każe się domyślać, że chodziło tu o witraże, „Chrystus na osiołku“ zaś był malowidłem miejskiem, pochodzącem z czasów dawniejszych, które zdobiło prawdopodobnie zewnętrzną ścianę ratusza. Dalsze losy tego obrazu są zupełnie nieznanne, w każdym jednak razie jest to pierwsze i jedyne za czasów Władysława Jagiełły malowidło, o którym się przynajmniej wzmianka zachowała.

Co do muzyki, tu jej potrzebę zaspakajali przede wszystkim gitarzyści (*citerczatores*). Być może, że był także i inny rodzaj muzykantów, ale o nich nie znajdujemy żadnej wzmianki w naszych aktach. Natomiast w rachunkach dworu Władysława Jagiełły znajdujemy częste wiadomości o muzykantach ruskich, których dwór królewski angażował niezawodnie we Lwowie. Polem popisów śpiewackich były głównie kościoły, jedynym zaś zorganizowanym chó-

rem chór młodzieży szkolnej, który poza kościołem produkował się jeszcze tylko, jak wiadomo... w łaźni. Jeżeli wreszcie jest mowa o muzyce, to nie należy zapominać także o organiście katedralnym Piotrze, którego talent przy sporządzaniu rur wodociągowych mieliśmy sposobność gdzie indziej poznać.

Do innych, już jednak całkiem mniej godziwych rozrywek należały w średniowiecznym Lwowie karczmy i... gra w kości.

Karczma, względnie wyszynk piwa i miodu (wódki jeszcze podówczas nie znano) był instytucją uprzywilejowaną. Już w dyplomie lokacyjnym Kazimierza Wielkiego jako kardynałny przywilej mieszczan lwowskich wymieniono, że nikomu nie wolno budować karczem w okręgu milowym od Lwowa. Obliczone one były przeważnie na konsumentów zamiejscowych, wśród okolicznej ludności. W samym bowiem mieście gospody wobec rozwoju życia rodzinnego niebardzo miały, przynajmniej na pozór, co robić. Jedne cechy w czasie swoich schadzek dostarczały im konsumentów, czasem magistrat pobierał od nich trunki, gdy chodziło o przyjęcie gości, a źródła u browarników i miodowarów już się wyczerpały. Mimo to gości śnać nie brakło w szynkowniach i to nawet ze stanu duchownego, jak tego dowodzi opisana przez nas na innym miejscu, a bardzo dla miasta kosztowna sprawa pobicia kleryka z dyecezyi przemyskiej przez samego szynkarza.

Jak wyżej wspomnieliśmy, treścią i esensją gospód miejskich i podmiejskich było piwo i miód. Piwa wyrabiano w średniowiecznym Lwowie bardzo dużo, tak, że czasami aż dziwno, skąd ostatecznie niewielkie miasto utrzymać mogło tylu browarników. Za Ludwika węgierskiego było ich we Lwowie trzech, lecz już w początkach piętnastego wieku trzynastu, liczba wystarczająca na założenie własnego cechu. Warzyli oni piwo tak na własny rachunek, jako też i dla konsumentów bezpośrednio, którzy przynosili im gotowy sład i odbierali później odpowiednią miarę napitku.

Sądząc z wybitnie częstych wzmianek, płynęło piwo we Lwowie średniowiecznym chyba potokami. Sam magi-

strat potrzebował go i zużywał w olbrzymich ilościach na dary honorowe, na przyjęcia w ratuszu, na traktament dla służby w czasie różnych uroczystości. Wogóle każde przyjęcie gościa, choćby był nim sam król, lub najwyższy dostojnik, rozpoczynało się od wtoczenia do jego kwatery jednej lub kilku nawet beczek piwa, rajcy w najdalszą nawet drogę się wybierający nigdy nie zaniedbywali zaopatrzyć się w odpowiednią ilość chłodzącego napoju. Ile razy król się pojawił w pobliżu Lwowa, czy to w Gródku, w Dobrostanach, lub Glinianach, natychmiast ruszał woźnica miejski ze świeżym ładunkiem piwa na miejsce i witał niem monarchę. Nie gardzili lwowskiem piwem arcybiskupi i biskupi, kanclerze i wojewodowie, ono zalewało każdy rankor, jaki kto mógł mieć do miasta, na piwnych potokach raźniej płynęły sprawy miejskie, nawet pisarze w kancelaryi królewskiej szybciej i sprawniej zapisywali pergaminowe płachty przywilejów, mając gardło jęczmieniem płynem zwilżone.

Nie tak masowo produkowany, ale niemniej popularny był we Lwowie średniowiecznym miód pitny. Warzyło go kilku miodowarów, a wiaderka i beczułki tego napoju rozchodziły się również w formie prezentów i chętnie były przez dostojników duchownych i świeckich widziane. Obfitość pasiek na „ziemi miodem płynącej“ przyczyniała się do taniości tego napoju.

Zgoła wyjątkowe stanowisko zajmowało we Lwowie w tych czasach wino. Wilkierz z r. 1387, uchwalony przez radę i całe pospólstwo miejskie, stanowił, że nigdzie indziej nie wolno szynkować wina, jak tylko w piwnicy ratuszowej. Tam jest miasto jedynie do tego rodzaju wyszynku uprawnione, albo ten, kto to prawo razem z piwnicą od miasta wydzierżawił.

W czasach Władysława Jagiełły posiadał Lwów własne winnice. Na stokach południowych dzisiejszej góry piaskowej udawała się, jak już o tem mówiliśmy, wcale dobrze winna latorośl. Wino to jednakowoż rodzime, lwowskie, nie zdołało sobie wyrobić należytej marki.

To też w księgach rachunkowych znajdujemy wzmianki o różnych rodzajach wina, sprowadzonego nieraz ze stron

bardzo dalekich. Jest wino południowe, małmazya, jest t. z. *wallischweyn*, a nawet wino reńskie (*rheinweyn*).

Jako trunek znacznie droższy od piwa i miodu, okazuje się wino rzadziej na stole mieszczańskim i rzadziej też miasto honoruje winem dostojników i gości. Mimo to w czasie dorocznego bankietu w dniu 22. lutego, przy wyborze rajców i ławników, urządzonym na cześć starosty, wydatki na wino dosięgają wcale znacznych kwot. Otrzymywał też wielokrotnie i Jagiełło dary honorowe w postaci wina, jak niemniej i inni dygnitarze.

W związku z karczmami, gospodami, szynkarzami stoi także hazard, który w formie gry w kości nie tylko, że nie był we Lwowie średniowiecznym nieznanym, ale stał się prawdziwą plagą społeczną, przeciwko której wkroczyć musiało całe miasto. Wilkierzem uchwalonym przez radę i pospólstwo miejskie w przeddzień prawie wjazdu królowej Jadwigi do Lwowa (18. stycznia 1387) zakazano gry w kości w całym Lwowie bez żadnego wyjątku. „Nikt nie śmie grać w kości o żadną stawkę, tak małą, jak wielką, a który gospodarz przekonany zostanie, że pozwala grać w swoim domu, ten zapłaci karę jedną grzywnę, gracze zaś, którzy wygrali, zapłacić mają również jedną grzywnę, razem z całą sumą wygraną. Kto zaś przegrał, zapłaci karę w wysokości jednej grzywny. A gdy który gospodarz po trzykroć zostanie przekonany, że pozwala grać u siebie w domu, to ma być pozbawiony karczmy i prawa wyszynku“.

W ten sposób przyszła ostatnia godzina na kosterów lwowskich tak, że za Władysława Jagiełły nie było już we Lwowie hazardu, chyba gdzieś w zupełnie zamkniętych towarzystwach, lub w gospodach przedmiejskich.

Jeżeli hazard uważany być może za chorobę społeczną, na której wyleczenie rada miejska miała środki w zakresie własnej władzy — to na choroby fizyczne, które nawiedzały Lwów ówczesny, stosunkowo bardzo mało było ratunku. A zwłaszcza na jedną chorobę, najstraszniejszą, która nie wiedzieć skąd się brała we Lwowie i kiedy znikła — na trąd, żadnego lekarstwa nie znano, jak tylko litość i ofiarę na osłodzenie losu tym najnieszczęśliwszym jednostkom. Czy ci chorzy, którzy mieli schronisko poza murami miasta, koło kościoła św. Stanisława, byli rzeczywiście trądem do-

tknięci i jakiego rodzaju była ta choroba, trudno dociec z niedokładnych wzmianek w księgach rachunkowych. Nieszczęśliwych tych nazywa pisarz miejski stale „*arme sichen*“, a tak ów subiektywny wyraz litości, jak zakaźny pierwiastek w samej nazwie, jak wreszcie stosunki Lwowa ze Wschodem, gdzie straszna zaraza od dawna miała siedlisko, pozwalają się domyślać, że tu istotnie chodziło o trędowatych, dla których „*spital der armen sichen*“ był schroniskiem wyłączającym ich na zawsze ze zdrowego społeczeństwa.

Lżej chorych, starców i kaleki mieściły dwa szpitale w murach miejskich: św. Ducha i św. Elżbiety. W owych czasach były to przede wszystkim dzieła pobożności, mające na celu wypełnienie chrześcijańskiego obowiązku wobec bliźnich. Stąd też kościół miał decydujący wpływ przy ich zakładaniu, a bardzo duże prawa wobec zarządu. Na gruncie lwowskim wywoływało to ustawiczne spory mieszczaństwa z duchowieństwem, spory, o których mówimy na innem miejscu, a które miały swe źródło w poczuciu własności, jakie mieli mieszczanie, założyciele i hojni fundatorowie tych zakładów. Zwłaszcza najstarszy, początkiem swym założenia miasta sięgający szpital św. Ducha był przedmiotem szczególnej pieczołowitości całego Lwowa, a za czasów Jagiełły otrzymał trwałe podstawy materialne w hojnej darowiźnie mieszczanina Jana Eisenhutila.

Poza tem okazała się widocznie potrzeba drugiego szpitala dla obcych, potrzeba stać bardzo piekąca, skoro w r. 1418 delegacya miejska wybrała się aż na sobór w Konstancyi i tam od papieża Marcina V. uzyskała dyplom polecający biskupowi przemyskiemu, aby zatwierdził ów nowy szpital pod wezwaniem św. Elżbiety się wznoszący.

Na mniejsze ludzkie dolegliwości uniwersalnym środkiem była łaźnia, a łaźiebny, jako z urzędu swego na straży zdrowia ludzkiego stojący, potrafił w danym wypadku wyprostować i na właściwe miejsce nastawić kość przetrąconą, połatać łeb rozbity, lub zeszyć rany od miecza czy dzidy. Poza tem w spisach podatkowych widnieją stale dwaj medycy: Benedykt i Łazarz, ale o nich i o ich wykształceniu medycznym nic nie wiadomo poza tem, że jeden z nich wyjeżdżał na koszt miasta gdzieś nad rzekę Dniestr,

dla leczenia jakiejś pani Mitko. Na choroby wreszcie zwierzęce, a zwłaszcza końskie, wypróbowanym lekarzem był każdy kowal lwowski, który w danym wypadku przedzierał się w konowala, z rozmaitym, czasem nawet bardzo ujemnym skutkiem, bo rachunki miejskie niejednokrotnie wspominają ze smętkiem o koniach, które „pomarły“ (*mortui sunt*).

Od chorych i od końskiej padliny czas wrócić do tej zdrowej, jędrnej i przedsiębiorczej społeczności, która kładła podwaliny przyszłego rozwoju i wielkości Lwowa. Zaaferowana handlem i przedsiębiorstwem, pędząca życie przy ladzie kupieckiej, w dalekich rozjazdach za zyskiem, lub w twardej pracy przy rzemieślniczym warsztacie, nie miała ta społeczność ani czasu, ani ochoty mówić zbyt wiele o sobie samej. Dzieła, czyny, ten cały zrab karnej i silnej organizacyi miejskiej świadczy najlepiej o średniowiecznym mieszczaństwie lwowskim, ale jakie ono było samo, jak wyglądało na ulicy i u siebie w domu, o tem nie przechowały się żadne bezpośrednie wiadomości.

Jedną jednakowoż rzecz i to może najbardziej charakterystyczną dla współczesnej stopy życiowej powziąć można, pozbierawszy liczne wiadomości z miejskich ksiąg rachunkowych. Jest to wykaz tych rzeczy i przedmiotów, które uważane były we Lwowie za ostatni wyraz zbytku i elegancyi, które uznawano za podarki godne króla i najwyższych dostojników, godną ofiarę kościelną, spadek dla potomności, lub rzecz, o którą się warto było procesować.

Do takich rzeczy należało przedewszystkiem złoto i srebro. Złoto było w średniowiecznym Lwowie wielką rzadkością i w wyjątkowych tylko wypadkach służyło za podarki. W r. 1404 wydało miasto na przykład 15 grzywien i 20 gr. na złote, bliżej nieoznaczone przedmioty, wysłane królowej, w r. 1426 znowu otrzymał dr. Oporowski, późniejszy arcybiskup gnieźnieński, złoty pierścień, wartości półtrzecia florena.

Częściej powtarzają się wyroby srebrne, a mianowicie pasy, łyżki, kubki (korczak) i t. p. Mieszczanin Mikołaj Halbekost ofiarował sto srebrnych guzików na kielich do katedry, do Rzymu w czasie sporu z plebanem zawieziono w darze sześć srebrnych kielichów i t. d. W testamentach

spotykają się często srebrne wyroby. Jan Zomersteyn zostawił ich za 26 grzywien, jaką zaś wartość miały pasy srebrne, świadczy testament Jerzego Czepnera, który pas swój podzielił na dwie części, przeznaczając go po połowie dla każdej ze sióstr swoich.

Prawdziwą jednak specjalnością Lwowa średniowiecznego był jedwab i dywany. Wieźli je kupcy lwowscy ze Wschodu, pilnując zazdrośnie wyłączności swojej handlowej i praw składowych, stąd też towarów tego rodzaju nigdzie nie było można dostać, jak tylko we Lwowie i stąd dopiero rozchodziły się one po całej Polsce. Toż samo i sukna zachodnie każdego gatunku i rodzaju znajdowały się obficie w składach lwowskich, a że był to przedmiot zawsze cenny i zawsze poszukiwany, tedy rzecz można, że cała polityka komunalna miejska opierała się na postawach jedwabiu, które w miarę potrzeby i interesów miejskich rozdzielano hojnie na wszystkie strony.

Znano podówczas kilka rodzajów jedwabiu, a przede wszystkim „kamcha“, której postaw kosztował przeciętnie pięć kóp groszy, dalej jedwab biały, czarny i kolorowy. Ze sukien znane były we Lwowie, cenione i poszukiwane sukna angielskie (*de Englia*) z Londynu i Cochester, z Flandryi, jak mechelskie, tyńskie, brukselskie, z Bruges, Arras, Popperingen, sukna śląskie, jak zytawskie (*de Zythavia*), zgorzelickie (*stamina Gorliczensia*), wrocławskie i wreszcie nieznanego bliżej pochodzenia atlantyckie (*stamina Atlantica*). Również nie umiemy odgadnąć znaczenia materii „*schynabaw, schonebaff*“ i t. p., która o tyle jest ciekawa i zwraca na siebie uwagę, że obdarowywano nią wyłącznie królowę, a razu pewnego nawet rajczynię lwowskie korporatywnie w r. 1407 wręczyły taki „*schynabaw*“ drugiej żonie Jagiełły, Annie. Materja ta — jak czytamy na jednym miejscu — sporządzoną była ze szytego płótna (*de tela sutili*), skutkiem czego można się domyślać, że tu chodziło o haft jakiś czy aplikację.

Co do dywanów, to niestety rachunki miejskie nigdy nie opisują, jak one wyglądały, z jakiej materji były tkane, skąd pochodziły, jakie desenie były na nich, lub inne wyobrażenia. Jako dary jednak przychodzą one daleko częściej, aniżeli na przykład ręczniki złotem przetykane,

które w r. 1406 wiozło poselstwo lwowskie aż do Rzymu, w czasie sporu z plebanem i ręczniki ormiańskie, co do których nie wiadomo, czem się tak bardzo odznaczały.

Toż samo i buty ormiańskie czerwone, jak i wogóle wyroby szewców lwowskich miały snąć ustaloną sławę, skoro n. p. w r. 1405 wiezie poselstwo trzy pary butów dla króla aż do Opatowa, w r. 1407, w czasie pobytu króla we Lwowie rozdano aż dziewiętnaście par obuwia, w czasie zgody z plebanem odegrały pewną rolę 4 pary butów. Kiedy indziej znowu wojewoda ruski Szafraniec wcale się nie obraził, gdy mu miasto ofiarowało parę butów (*unum par botorum*), najwięcej zaś ich konsumowali pisarze kancelaryi królewskiej, którym każda para butów ofiarowana przez miasto dodawała bodźca do pospiechu w wygotowaniu aktów, na których miastu zależało.

Z innych przedmiotów, które we współczesnem wyobrażeniu uchodziły za ostatni wyraz zbytku, wymienić jeszcze należy: tybinki (*tebencae, pendisalia*), były to ozdoby na siodło, zwieszające się po obu bokach konia, nieraz bardzo kosztowne, siodła i uprząż na konie o czerwonych rzemieniach, mitry, to jest ozdobne, bodaj czy nie perłami, lub złotem wyszywane czapki, czy bindy, które otrzymywał od miasta zarówno jego przyjaciel, pożyczający pieniędzy biskup przemyski Maciej, jak Żyd Wołczko, figura na dworze królewskim wcale wpływowa i finansista znamienity, jak wreszcie i sam Aleksander wojewoda mołdawski. Czasami rozdzielano nawet gotowe części garderoby: szuby, futra, jupki (*iopula*), duchownym długie płaszcze ruskie (*perae ruthenicales*), rękawiczki i t. p.

Najwięcej jednak dostawały się tak królowi, jak dygnitarzom, jak wreszcie każdemu mile na ratuszu widzianemu gościowi artykuły spożywcze. Pod tym względem są miejskie rachunki niewyczerpaną kopalnią szczegółów kulinarnych i pozwalają zaglądnąć do kuchni mieszczańskiej i do garnków z tą samą dokładnością, z jaką kumoszka przedmiejska umie opowiedzieć, co jej sąsiedzi jadają na śniadanie, obiad i kolację.

Była średniowieczna kuchnia lwowska dziwnie pieprzona i dziwnie egzotyczna, przyprawna wszystkimi korzeniami wschodnimi, mocno piwem, winem i miodem pod-

lana, zażółcona szafranem, rybami płynąca, w miarę słodka i „pikantna“, a przedewszystkiem obfita. Pierwszy lepszy obiad lub śniadanie chłoneły olbrzymie masy wiktuałów, a do tego całe kamienie pieprzu, imbieru, szafranu, stosy bochenków chleba, setki ryb, a wszystko to w dziwnie nierównomiernych ilościach. Taki na przykład bankiet na ratuszu w r. 1405 dla jakiegoś Wawrzyńca Schirmera, razem z mięsem, różnemi potrawami, miodem i piwem kosztował 150 gr., a do tego wszystkiego same migdały 40 gr.; w r. 1411 król otrzymuje od miasta 10 kamieni wyziny i do tego 10 karpów, gdyby zaś ktoś chciał zliczyć wszystek pieprz, imbier, szafran i t. p. wyekspensowany w sprawach miejskich na podarunki, lub bankiety, toby otrzymał ogromne sumy.

Główną zastawą stołu współczesnego były ryby, świeże, suszone, solone, wielkie i małe, wyzina, kawior, karpie, jakieś drobnutki rybki zwane *allecia* i inne znowu nazywające się *schewrihi*, grzbiety jesiotra (*dorsa sturionum*) i nieznanego nam gatunku *pisces czebruni*. Z pieczywa, obok chleba, pojawiały się strucle (*struclones*) i pierniki, które nawet na rynku sprzedawała piernikarka (*pampuschynne*).

Z innych przypraw wymienić należy cytryny, których dwieście nawieziono do Krakowa na chrzciny królewicza Kazimierza, figi, których na przykład wojewoda wołoski w r. 1406 otrzymał w cenie 4 kóp groszy, oliwa, rodzyнки, karafioły, ryż, cukier i t. d., nie licząc oczywiście przysmaków miejscowych, tego, co przynosiły sady, pasieki lwowskie i ogrody, a także obory i chlewy, z których wychodziły okazy (*una szwynka bona*) godne stołu samego kanclerza koronnego Ciołka...

SPIS TREŚCI.

	Str.
I. Na tle dziejowem. Ciężary podwójnego berła. Między Polską a Węgrami. Królowa Jadwiga. Dziedzictwo Jagiełły. Złoty wiek handlu. Rozwój życia miejskiego. Królewski gość. Gra o posiadanie Lwowa. Trzecia stolica Polski	5
II. W dniach „Wielkiej wojny”. Do Łęczycy. Pisarz Jan. Jagiełło we Lwowie. Ofiara na cele wojenne. Pożyczka. Po bitwie grunwaldzkiej	20
III. Miasto. Podzamecze. Jurydyka plebańska. Łany miejskie i obszary. Wsie. Przedmieścia. W środku murów miejskich. Porządki. Rynek. Cyrkuły. Ulicami Lwowa	28
IV. Fortyfikacje miejskie. Dawna warownia. Roboty forteczne za Jagiełły. Zmiana systemu fortyfikacyjnego. Konflikt Rady miejskiej z królem. Pożar bramy krakowskiej. Krajobraz wojenny. Proch strzelniczy i pierwsze armaty we Lwowie	43
V. Ludność. Liczba mieszkańców. Równouprawnienie narodowe. Rusini. Niemcy. Polacy. Ormianie. Tatarzy. Żydzi. Karaici. Inne narodowości	59
VI. Skarbowość miejska. Księgi rachunkowe. Dochody: własne, monopole, opłaty, podatki. Wydatki: w sprawach publicznych, zarząd, bezpieczeństwo publiczne, kościół. Długi miejskie	70
VII. Mennica. Kwartniki i denary ruskie: Kazimierza W., Władysława Opolczyka i Ludwika Węgierskiego. Władysława Jagiełły: półgroszki ruskie i lwowskie. Mincarze. Mennica. Przejście do jednolitej monety państwowej	91

	Str.
VIII. U stóp ołtarza.	
Hojny fundator. Myśl o piekle. Dzieła pobożności. Bójki z klerykami. Złota zgoda	102
IX. Życie i obyczaje.	
Panowie i damy. Kulturalny charakter Lwowa. Organizacya cechowa. Sztuka i rozrywki. Życie umysłowe. Szpitale. Przedmioty zbytku. Kuchnia	113

